

Stanisława Platówna
niezwykłe wakacje

Rozdział I

Kto to jest - A.B.C.?

Śmieszne pytanie! Każde dziecko z pierwszej klasy, a nawet wszystkie bystrzejsze przedszkolaki wiedzą, co to jest ABC. Bardzo przepraszam! Pytanie brzmiało: „k' t o", a nie „? ? to jest".

No właśnie, teraz to już nie jest takie proste, prawda? Bo wcale nie chodzi o trzy pierwsze litery alfabetu. Szkoda się wysilać i tak nikt nie zgadnie. A.B.C.

— to nazwa pewnej bardzo dziwnej rodziny. Dlaczego dziwnej? O tym będzie mowa później, a zresztą czy samo wybranie przez rodzinę takiej nazwy nie jest dziwne?

Rodziny przecież nazywają się zwyczajnie _ Kowalscy, Nowakowie, Michałowscy... A tu nagle — A.B.C.

Wszystko to zaczęło się dosyć dawno. Był sobie pewien młody człowiek, który nazywał się Andrzej Ciekoński. Drugie jego imię, którego nie używał i które figurowało tylko w metryce i w dowodzie osobistym, brzmiało Bronisław. Młody człowiek ożenił się z pewną młodą dziewczyną, która nazywała się Anna Czernik, a drugie jej imię, którego nie używała, brzmiało Barbara.

Było więc małżeństwo — Andrzej Bronisław i Anna Barbara Ciekońscy. Powoli sprawa się wyjaśnia, praw-

5

da? Wystarczy spojrzeć na pierwsze litery imion i nazwiska i oto otrzymujemy tak zwane inicjały — A.B.C. Ale na tym nie koniec.

Młode małżeństwo jakiś czas mieszkało tylko we dwoje, a potem zaczęły przybywać dzieci. Najpierw córka, potem syn, potem znów córka. Żeby było śmiesznie, rodzice nadawali im imiona zaczynające się na A i na B.

Najstarsza dziewczynka otrzymała imiona: Agnieszka Beata, chłopiec: Artur Bogdan, najmłodsza: Alicja Bożena.

A ponieważ wszyscy nosili nazwisko Ciekońscy, wszyscy mówili o sobie — „my A.B.C".

Potem przybył jeszcze do tej rodziny pies. Było wiele kłopotu z wyszukaniem mu imienia, które zaczynałoby się i na A, i na B. Wreszcie znaleziono takie imię — pies został nazwany Ali Babą. Dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że na co dzień Angieszka Beata była tylko Agnieszką, Artur Bogdan tylko Arturem, zaś Alicja Bożena tylko Alicją. Również pies bywał przywoływany krótko — Ali.

Skoro już została wyjaśniona sprawa „A.B.C", należałoby coś więcej opowiedzieć o tej dziwnej rodzinie.

Na pozór wszystko wyglądało tak, jak w innych rodzinach. A.B.C. mieszkali we Wrocławiu, w ładnej dzielnicy zwanej Sępolno, gdzie prawie wcale nie było zwykłych kamienic, lecz długie szeregi domków jednorodzinnych z ogródkami.

A.B.C zajmowali jeden taki domek z ogródkiem, w którym od frontu rosły kwiaty, dwa drzewka wiśniowe i jeden włoski orzech, a od tyłu pomidory, pietruszka, marchew i inne pożyteczne jarzyny.

Rodzice pracowali, dzieci, z wyjątkiem Alinki, chodziły do szkoły, pies pilnował domu. Tata A.B.C. był architektem, ale nie budował nowych domów, lecz

6

odnawiał stare, bardzo stare budynki. Pracował w biurze konserwacji zabytków i zajmował się wyłącznie zamkami, basztami, kościołami i pałacami. Mama A.B.C ukończyła historię sztuki; jej specjalnością było malarstwo ścienne. Najstarsza dziewczynka miała czternasty rok i chodziła do siódmej klasy, chłopiec był o rok

młodszy, kończył klasę szóstą, a ostatnia latorośl A.B.C. miała dopiero sześć lat i na razie uczęszczała do przedszkola.

Ali Baba był pięknym okazem wilczura i choć liczył dopiero cztery lata, według zgodnej opinii rodziców, miał więcej rozumu niż wszystkie dzieci razem wzięte. — Nic dziwnego — obrażała się Alińka, słysząc raz po raz, że Ali jest mądrzejszy od niej — on już skończył szkołę, a ja za rok pójdę do pierwszej klasy.

I była to prawda. Ali jako młody pies został oddany do „szkoły”, gdzie nauczono go wielu rzeczy. Umiał warować, skakać przez najwyższe płoty, czołgać się, biegać po drabinie, odnajdywać ukryte przedmioty, a wszystko na rozkaz. Po ukończeniu nauki Ali otrzymał dyplom ku wielkiej zazdrości dzieci, które musiały zadowalać się zwyczajnymi świadectwami.

Żeby już skończyć z opisem rodziny A.B.C, należy jeszcze dodać, że posiadała ona samochód. Dla obcych była to zwykła, dość rozklekotana skoda, furgonetka przerobiona na wóz osobowy. Dla A.B.C był to członek rodziny, 4co prawda kapryśny i marudny, ale bardzo kochany.

I oczywiście, jak wszyscy A.B.C, samochód miał również dwa imiona. Gdy motor pracował równiutko, sprzęgło nie szarpało, a zawory nie stukały, bywał nazywany Agapitem. Gdy jednak silnik (co się zdarzało dość często) miewał humory i nie chciał zapalić, choć tata A.B.C. twierdził, że wszystko jest w porządku i nie widzi żadnej przyczyny, lepiej pasowało do

7

niesfornego wehikulu imię Barnaba, samo w sobie dość ponure i nieprzyjemne. Dom rodziny A.B.C. był nieco dziwaczny. Na pozór wyglądał zwyczajnie, miał ściany, okna, drzwi i dach jak wszystkie domy. Ale w środku... Właściwie tylko kuchnia była urządzona „jak u ludzi” (wyrażenie pani Rzeszytko, sprzątaczkii, która raz na dzień usiłowała doprowadzić do ładu „ten zwariowany dom”). Reszta pomieszczeń, a było ich pięć, nie licząc łazienki, niewiele miała wspólnego z normalnie umeblowanymi pokojami. Na parterze mieściły się „apartamenty” rodziców. Pokój ojca był szczelnie wypełniony książkami, które nie mieszcząc się na wysokich pod sam sufit regałach, zalegały stół, biurko, parapet okienny, a nawet, co tu ukrywać, część podłogi.

Poza książkami w pokoju znajdował się tylko rajz-bret, czyli specjalna deska kreślarska, kilka krzeseł i wąski tapczan. Był jeszcze co prawda wygodny miękki fotel, ale dzieci nie pamiętały, by ktokolwiek na nim siedział. Zwykle wylegiwały się tu opasłe tomiska, po które ojcu łatwiej było sięgać tam niż wysoko na półkę.

W pokoju mamy było również sporo książek, głównie albumów z reprodukcjami obrazów, ale nie były one tak bezczelne, jak u ojca. Leżały grzecznie na półkach, połyskiwały barwnymi okładkami przez szkło biblioteczeki, słowem, zachowywały się jak normalne książki. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że pokój mamy A.B.C. był urządzony jak pokój. O nie!

Stał tu wprawdzie tapczan, biurko, fotel, nawet radio na małej półeczce i donica z ogromnym fikusem, ale te rzeczy były zupełnie pozbawione znaczenia. Ważne były „zbiory”. Na ścianach, na półkach, na podłodze leżały, stały, wisiały różne przedmioty, o których niewtajemniezeni mawiali .— rupiecie.

8

Ale dla rodziny A.B.C. były to skarby cenniejsze od tych, które leżały w gablotach Muzeum Śląskiego, a nawet od tych, które oglądali w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Jakże można było określić mianem rupieci alabastrową głowicę kolumny z wyobrażeniem liści akantu albo kamienną tablicę z resztkami kolorowej mozaiki, albo drewnianą, polichromowaną głowę anioła, uratowaną ze spalonego wiejskiego kościółka?!

Wprawdzie głowica zagrażała dostęp do szafy, mozaika utrudniała otwieranie okna, a wszystkie mamine zbiory „łapały kurz”. (To znowu określenie pani Rzeszytko, która miała raz na zawsze przykazane sprzątanie tego pokoju bez pomocy odkurzacza, od czasu kiedy niezręcznie manewrując szczotką utraciła nos jakiejś kamiennej figurze).

Dzieci uwielbiały pokój matki i choć trudno było się w nim poruszać swobodnie, wysiadywały godzinami, skulone, na tapczanie (o ile mama miała czas, naturalnie), słuchając jej opowiadań o zamkach, które zwiedzała, o legendach i podaniach przywiązanych do starych baszt, murów i wież zamkowych.

Pozostałe pokoje znajdowały się na pierwszym piętrze i zajmowały je dzieci.

Pokój dziewczynek był podzielony na dwie części. W mniejszej królowały lalki, misie, kuchenki i rondelki, słowem, całe gospodarstwo Aliriki. Druga część, znacznie większa, należała do Agnieszki. I tu uprzywilejowane miejsce zajmowały „zbiory”. Nieważne było łóżko, nieważny stolik do nauki i półka z książkami.

Najcenniejszą rzeczą w tym pokoiku były albumy i katalogi.

Agnieszka zbierała zdjęcia, pocztówki, reprodukcje przedstawiające zabytkowe budowle, pałace, zamki, kościoły, karczmy, wieże, baszty, polskie i zagraniczne.

Wybierała się oczywiście na historię sztuki, choć rów-

9

nie mocno pociągała ją archeologia, ale na ostateczną decyzję miała jeszcze sporo czasu.

Pani Rzeszytko stukała się znacząco palcem w czoło wchodząc do tego pokoju, gdzie ściany były szczelnie zawieszane płytami pilśniowymi, na których Agnieszka urządzała „wystawy”, zamieniając co pewien czas tematykę. Raz były to wyłącznie zdjęcia Wawelu, zamku, dziedzińca, katedry, murów, innym razem fotografie zamków dolnośląskich, które po pewnym czasie ustępowały miejsca pocztówkom przedstawiającym pałac w Wersalu.

Agnieszka zdobywała swoje „okazy” różnymi sposobami. Wydawała na nie prawie całą miesięczną pensję, otrzymywaną od rodziców, sterroryzowała koleżanki i rodzinę zmuszając do oddawania jej otrzymywanych widokówek, prowadziła wreszcie ożywioną korespondencję i wymianę z rówieśnikami z innych krajów, wyszukując skrupulatnie adresy zamieszczone w kącikach zainteresowań w różnych czasopismach.

Nauczyciele historii, geografii i polskiego byli zachwyceni Agnieszką i jej wiadomościami. Mniej zachwyty wykazywał profesor matematyki, jeszcze mniej fizyk, ale trudno przecież dogodzić każdemu!

Artur zajmował drugi pokój na piętrze, duży, jasny, z wielkim oknem i balkonem.

O ten pokój toczył się wieczny spór między bratem a siostrami (on jest sam i ma więcej miejsca niż my dwie!) Stale też mówiono na dole, to znaczy u rodziców, o tym, że trzeba by nareszcie zainstalować ogrzewanie na mansardzie, przenieść tam Arturka i chociaż jeden pokój urządzić „po ludzku”.

To mama po każdej wizycie, kiedy okazywało się, że na dole nie ma na czym posadzić gości, a podanie kawy jest czynnością ogromnie skomplikowaną, snuła wielkie plany reorganizacyjne, kupowała (w myślach

10

oczywiście) nowe meble, telewizor, dywan, zasłony (koniecznie gładkie, ciemne i z grubego materiału!) i urządzała pokój, w którym nareszcie będzie można

spokojnie posiedzieć i porozmawiać.

Ojciec potakiwał gorliwie, po czym rozchodzili się, każde do siebie, tata zasiadał przed rajzbretem, matka tonęła w jakimś dziele o freskach i cała sprawa szła w zapomnienie aż do następnej wizyty. Najnieszcześniejszym w takich chwilach był Artur, drżał bowiem, że zostanie pozbawiony swego pięknego pokoju i — o co mu najbardziej chodziło — światła. Bo Artur, jak wszyscy w tym domu, miał fioła na punkcie sztuki. Wszyscy z wyjątkiem Alinki, kolekcjonującej, jak na razie, lalki i kolorowe guziki, które ze sztuką niewiele mają wspólnego.

Artur miał sporo zebranych roślin w zielniku, kilkanaście Okazów motyli, kilka albumów ze znaczkami, ale kolekcjonerstwo nie było jego „konikiem”. Prawdziwą pasją Artura było malarstwo. Własne malarstwo. Cały wolny czas Artur poświęcał tworzeniu coraz to nowych obrazów. Malował wszystko, pejzaże, portrety, martwe natury, i nie przejmował się głupimi pytaniami sióstr, które miały wątpliwości, czy kolejne dzieło Artura przedstawia jabłka na talerzu, czy panią Rzeszytko? Wzruszał ramionami, ubolewając nad ich ignorancją, i zabierał się do malowania następnego obrazu.

Znajomi rodziców, wśród których było wielu artystów, kiwali głowami nad twórczością Artura, mówili, że chłopiec „czuje kolor”, że „łapie linię” i że chyba coś z niego wyrośnie. Potem rozpoczynali dyskusję o naiwnym realizmie, o malarstwie ludowym, o Nikiforze i Ociepcie i kłócąc się zapamiętali, wychodzili z „pracowni” — tak Artur nazywał swój pokój — pozostawiając chłopca na pastwę linii i koloru.

11

Pani Rzeszytko żegnała się ukradkiem wchodząc do pokoju Artura. Bo jakże! Z każdej ściany patrzyły na nią „bohomyzy”, szczyrzyły zęby jakieś dziwne portrety-fantazje, a na jedynej nie zawieszzonej rysunkami ścianie Artur, próbując nauczyć się techniki malowania na suchym tynku, wyrysował ogromnego diabła z rogami, ogonem i paszczą buchającą ogniem.

Matka, sprowadzona przez panią Kzeszytko dla oceny ogromu zniszczeń, nie stanęła na wysokości zadania. Zamiast oburzyć się na syna i zarządzić naprawienie szkody, pociągnęła palcem po świeżej jeszcze farbie i powiedziała: — Zła zaprawa, samo niedługo odpadnie.

Po czym wręczyła synowi książkę traktującą o technice malarstwa ściennego.

Jak więc wynika z krótkiego opisu rodziny A.B.C., była to rodzina dziwna („zwariowana” — twierdzili niechętni, „oryginalna” — poprawiali przyjaciele).

I jak wszyscy zwariowani i oryginalni ludzie — rodzina A.B.C. miewała zwariowane i oryginalne przygody.

Jedna z nich, chyba najdziwniejsza, cudowna i niebezpieczna zarazem, miała nastąpić wkrótce. A wszystko zaczęło się od tego, że mama A.B.C. wyszperała gdzieś stare dokumenty i tata A.B.C. pojechał z tymi dokumentami do Warszawy. Wszyscy z napięciem oczekiwali jego powrotu. Było to dziesiątego czerwca 1967 roku...

Rozdział II

Dokąd A.B.C. pojedą na wakacje?

— Jest! Przyjechał! — krzyknął Artur zeskakując z okiennego parapetu i pognął schodami w dół, gubiąc po drodze jeden sandał. Alinka, piszcząc z zachwytu, obrała krótszą drogę, po prostu usiadła na poręczy schodów i znalazła się na dole sekundę przed bratem.

Ali Baba z przeraźliwym ujadaniem popędził za nimi. W drzwiach zderzyli się z

matką, która równie podniecona jak dzieci, wybiegła z pokoju. Ale wszystkich wyprzedziła Agnieszka, odrabiająca lekcje w ogrodowej altance. Na widok zajeżdżającej taksówki jednym skokiem znalazła się przy furtce.

— Załatwiłeś coś? Zbadali te dokumenty? Zgodzili się? Czy naprawdę są autentyczne? Pojedziecie do tego zamku?

Wszystkie te pytania wystrzeliły równocześnie z siłą i szybkością karabinu maszynowego i przy akompaniamencie basowego poszczekiwania Ali Baby. Kierowca taksówki przedmiotowo zatrzasnął drzwiczki swojej warszawy i odjechał pełnym gazem. Tata A.B.C, bardziej odporny, flegmatycznym ruchem podał teczkę Arturowi, dużą paczkę owiazaną sznurkiem — Agnieszce, parasol — Alince, po czym spokojnie ruszył w stronę domu.

13

— Tatusiu! — jęknęły chórem dzieci.

— Andrzeju! — zawołała matka.

— Hau! — uzupełnił Ali Baba.

— Jestem głodny? — powiedział z pretensją ojciec — tak się spieszyłem, że nie zdążyłem zjeść obiadu.

Nigdy żaden posiłek nie został przygotowany z równą szybkością. Alinka chwyciła obrus, Artur przyniósł nakrycia, Agnieszka błyskawicznie odgrzała mięso i ziemniaki. Nim ojciec wyszedł z łazienki, obiad stał na stole.

— No? — spytała matka nalewając zupę.

— Widzę, że nie dacie mi zjeść spokojnie — zaśmiał się ojciec — a więc słuchajcie: po pierwsze — dokumenty są autentyczne...

— Hurra! — krzyknął Artur.

— Cicho! — zgromiła go Agnieszka.

— Po drugie — zgodzili się na przeprowadzenie badań na miejscu. Mam to na piśmie.

— Świetnie! — ucieszyła się mama i ucałowała ojca w policzek.

— Po trzecie... — ojciec podniósł w górę widelec i spojrzał na dzieci — po trzecie mam dla was pewną propozycję dotyczącą wakacji.

Dzieci zamieniły się w słuch.

— Do Czarnego Stoku możemy pojechać wszyscy.

— Jak to, my też? —? Andrzej, zwariowałeś?! — Tatku, cudownie!

Ojciec zasłonił uszy.

— Proszę o spokój — powiedział surowo — bo V/ tych warunkach nie mogę mówić...

Uciszyło się momentalnie.

— A więc... możecie spędzić wakacje w Czarnym Stoku. My z mamą pojedziemy kilka dni wcześniej, wy będziecie musieli jakiś czas zostać sami na gospodarstwie i zaraz po rozdaniu świadectw dołączycie do nas.

14

— Andrzeju — przerwała matka — to nie ma sensu. Będą nam tylko przeszkadzać. I przecież było postanowione, że pojedą do babci.

— Otóż to —? powiedział ojciec — okazuje się, że z tych planów nici. Spotkałem w Warszawie Józka i dowiedziałem się, że mama akurat na lipiec dostała sanatorium, a Krystyna ostatnio nie najlepiej się czuje. Właśnie mieli do nas napisać.

— Ach, Boże — zmartwiła się mama — i co teraz będzie? Dzieci tak się cieszyły, że pojedą do Józków...

— Przecież mówię, że pojedą z nami.

— Absurd! — oburzyła się mama. — I co będą robić? Pętać się po zrujnowanym

zamku? Przecież tam w ogóle nie ma gdzie mieszkać! Domek dozorczy jest maleńki, ledwo my się tam zmieścimy. A gotowanie, masz pojęcie, co to będzie za kłopot?!

— Skarbie — powiedział słodko ojciec — zaczekaj, wszystko obmyśliłem.

Dzieci z napięciem wpatrzyły się w ojca.

— Zamek leży wśród bardzo pięknych lasów, u stóp wzgórza płynie rzeczka, jest mnóstwo miejsca na rozbicie obozu. Dlaczego mamy mieszkać ciasno i niewygodnie w domku dozorczy? Weźmiemy namioty, rozbijemy obóz u stóp zamku. My będziemy pracować, a dzieci spędzą dwa miesiące na swobodzie, w doskonałym powietrzu. I wcale nie będziesz musiała prażyć się przy kuchni, popatrz, co kupiłem!

Sięgnął po paczkę owiązaną sznurkiem.

— Kuchenka turystyczna! — krzyknął Artur.

— Widzę, że właściwie nie ma o czym mówić — westchnęła mama. — Już i tak wszystko załatwiłeś...

— Jeszcze nie wszystko — uśmiechnął się ojciec — trzeba kupić butlę gazową, pożyczyć drugi namiot i materace, przejrzeć sprzęt, przygotować zapasy...

15

i po

? — Nie wiem, czy powinnam się zgodzić — zaczęła niepewnie matka — takie wakacje samopas, bez dozoru... Przecież nie będziemy mieć czasu, aby zajmować się dziećmi.

— Kochanie — ojciec przechylił się przez stół i położył rękę na splecionych dłoniach matki — nie przesadzaj z tym dozorem. Przecież to są duże dzieci, a my [brat] nie będziemy pracować od świtu do nocy. Agnieszka wy. j pomoże ci, Artur też...

— Będziemy grzeczni, naprawdę — Alinka objęła matkę za szyję. — I Ali nas będzie pilnował...

— Mamo — jęknął Artur — zgódź się, błagam! Wy-Artu obrazasz sobie, jakie ja tam będę miał pejzaże?

— A w ogóle to przecież bajeczne wakacje — rozmarzyła się Agnieszka — u stóp średniowiecznego zamku, w cieniu starożytnych baszt i blanków...

A,,; — W Czarnym Stoku nie ma baszt — przerwała jej kstt- matka.

— Wszystko jedno — nie ustępowała Agnieszka —? ale i tak będzie szalenie romantycznie. Może zobaczymy ducha, który błądzi po zamkowych komnatach przy (??)1 świetle księżycy...

— Ja nie chcę! — pisnęła Alinka. _____? — W Czarnym Stoku nie ma duchów — powiedziała

matka. — To jest, w ogóle nie ma żadnych duchów! — rozirowała się nagle.

— Sama nam opowiadałaś! — oburzył się Artur. Sch! — Ach, Boże, co za dzieci! Opowiadałam wam le-

^ gendy, baśnie, podania!

— Nie szkodzi, bez duchów też będzie romantycz-?°*? nie — zgodziła się Agnieszka.

?^ \ — Hau? — odezwał się nagle Ali Baba, jakby chciał

zapytać: „A ja? Czy pomyśleliście o mnie?” " *; — Pies pojedzie,

pojedzie z nami — pospieszył za-

pewnić go Artur.

! ??

kien dło ; Re» I

pak-
- t! Vi
CiU,
brzi Nie
sen,
Z

Ojciec odsunął talerz i wstał od stołu.

— Byłbym zapomniał — powiedział sięgając po fajkę — pokój dozorczy i tak będzie zajęty. Mają nam przysłać specjalistę od zdejmowania fresków. O ile, oczywiście, będzie miał co zdejmować.

— Teraz mi dopiero o tym mówisz! — rozgniewała się mama. — W takim razie trzeba będzie pomyśleć o drugim namiocie...

— Więc pojedziemy? — krzyknął Artur.

— Mama się zgadza? — Agnieszka aż podskoczyła z emocji.

— Jak wspaniale! — Alinka złapała Alego za szyję i ucałowała w sam czubek głowy.

— Zgadzam się, zgadzam. Alusiu, nie całuj psa, Antur, zwariowałeś? Puść mnie w tej chwili! Agnieszko!

To ostatnie słowo zostało stłamszone lawiną oszalałych uścisków.

Ojciec wyszedł z garażu pogwizdując wesoło, spojrzął na rodzinę zgromadzoną przed domem i — „zatkało go” (określenie Artura). Dopiero po chwili odzyskał mowę.

— Czyście poszaleli?! — jęknął. — To wszystko ma się zmieścić w samochodzie?! Mowy nie ma!

— Ależ, tatusiu — zaprotestowała Agnieszka — to są same najniezbędniejsze rzeczy!

— Przecież wyjeżdżamy na dwa miesiące — poparł siostrę Artur.

— Agapit jest pakowny — wyzywająco powiedziała matka.

— Owszem, ale Barnaba ma słabe resory — warknął gniewnie ojciec.

??? w tym gracie? — spytał wskazując na murkiem wiklinowy kosz. wakacje A.B.C.

17

— Och, to tylko naczynia kuchenne, naprawdę same potrzebne rzeczy — matka zasłoniła sobą zagrożony pakunek.

— Zaraz zobaczymy — mruknął ojciec i po chwili mocowania się ze sznurkami odrzucił wieko.

— Anno Po cóż ci stolnica, na miłość boską?! — krzyknął.

— A na czym będę robić makaron? — obraziła się mama.

— Będziesz gotować kupny.

— Kiedy niedofory. ?— Nie szkodzi.

Stolnica została odłożona na bok. Ten sam los spotkał maszynkę do mięsa i formę do pieczenia babki.

Dyskusja ciągnęła się kilkanaście minut, w końcu matka dała się przekonać. Kosz został odstawiony na bok, cały „sprzęt gospodarski” zmieścił się w tekturowym pudle. Następnie ojciec przystąpił do szturmowania na dwie ogromne walizy.

— Nie, nie — jęknęła matka — z tego nic nie pozwolę wyrzucić! Dzieci muszą mieć w czym chodzić!

— Nie będziecie tam robić rewii mody! — powiedział twardo ojciec i w ten sam sposób została zlikwidowana połowa rzeczy Agnieszki i Artura, i Alinki. Zamiast dwóch walizek na załadowanie do samochodu czekała jedna.

Matka z głębokim westchnieniem usiadła na kamiennych schodach. Ach, ten Andrzej! —? Masz minę niczym muza tragedii — ojciec przysiadł obok i zapalił fajkę — naprawdę połowa tych rzeczy była niepotrzebna. Wprawdzie Agapit jest pakowny, ale pojedziemy górzystą trasą. Nie można go tak obciążać.

— Tatuś — przymiliła się Alinka — ale ja muszę zabrać wszystkie lalki i kuchenkę, i żelazko...

18

— Mowy nie ma.

— No to co ja tam będę robić — usta Alinki wygięły się w podkówkę — bez lalek, bez misia...

— Córuniu? — ojciec przygarnia dziewczynkę i gładzi ją czule po gęstych, ciemnych włosach — będziesz miała mnóstwo zajęcia. Będziesz się kąpać w rzece, zbierać jagody, grzyby, będziesz chodzić na piękne wycieczki.

— Z tobą? — Alinka podnosi na ojca rozjaśnione oczy. ' - ?

— Czasem ze mną — obiecuje ojciec — ale częściej z Agnieszką i z Arturkiem.

2*

19

— Ja nie będę mieć czasu — protestuje Agnieszka —? muszę zrobić nowy katalog.

— Nie, Agnieszko, zostawisz to w domu. Nie będziesz przez całe wakacje ślęczeć nad katalogiem. Zresztą jak sobie wyobrażasz taką pracę? Przy tym jednym malutkim stoliku?

— To zostanę w domu! — buntuje się Agnieszka. — Wolę wcale nie jechać, jeśli nie mogę zabrać zbiorów!

— Zostań — mówi spokojnie ojciec — tobie będzie smutno, nie nam. Artur — kiwa na syna — pokaż swoje kłamoty.

Artur okazał się rozsądniejszy. W jego walizce oprócz kilku książek znajdowały się farby, pędzle i tylko dwa bloki rysunkowe.

— Przynajmniej jedno dziecko ma dobrze w głowie — wzdycha z ulgą ojciec. — Teraz proszę to wszystko, co zostało odłożone, zanieść do domu i zabieramy się do ładowania. Niedługo zacznie się ściemniać, a jutro wczesnym rankiem wyjeżdżamy.

— Ale ty jesteś frajerka — mówi Artur do siostry, taszcząc razem z nią pusty wiklinowy kosz — przecież możesz zabrać swoje katalogi do plecaka. Ojciec przyjedzie po nas pustym wozem i nic nie zauważy. Wepchniemy plecak do bagażnika i spokój. Ja też przygotowałem sobie mnóstwo rzeczy, które zabiorę później.

— Myślisz? — mówi z nadzieją Agnieszka.

— Jasne! Tata ma trochę racji z tym bagażem. Aga-pit mógłby się załamać.

Było już prawie całkiem ciemno, kiedy skończono ładowanie rzeczy do samochodu.

Przy kolacji raz jeszcze omówiono szczegóły. Rodzice pomyśleli o wszystkim.

Pani Rzeszytko będzie przychodzić codziennie,

20

zrobi zakupy, ugotuje obiad i przyrządzi coś na kolację. Rachunki zapłacone z góry, rzeczy z pralni odebrane, wielkie pranie zrobione, polisa ubezpieczeniowa przedłużona.

—? Przed samym wyjazdem zanieście kwiaty do pana Majewskiego i zostawcie mu klucz od furki; obiecał, że będzie nam podlewać ogródek. Agnieszko, tu jest kartka, na której ci zapisałam wszystkie sprawy do załatwienia. Tatuś przyjedzie po was dokładnie za tydzień, to znaczy w piątek. Pamiętajcie zamykać drzwi na wszystkie zamki i na łańcuch, nie wpuszczajcie nikogo Obcego do domu i opiekujcie się Alinką.

Matka naląła sobie jeszcze jedną szklankę herbaty.

— Nie wiem, Andrzeju, czy dobrze robimy zostawiając ich samych na gospodarstwie

— powiedziała sięgając po cukier. — Może ja jednak zostanę...

— Nie zostaniesz — powiedział stanowczo ojciec — nic im się nie stanie. Nie mieszkają na pustyni, dookoła pełno porządnych, życzliwych ludzi. A na wszelki wypadek mają numer telefonu w gajówce. Gdyby zadzwonili, gajowy za pół godziny nas zawiadomi. No już, przestań się martwić na zapas i chodź spać. Jutro czeka nas pracowity dzień.

— Nie wiem, jak ja przeżyję ten tydzień! — westchnęła matka wstając.

— Powiedzieć ci jak? — zaśmiał się ojciec. — Na drabinie opukując tynki.

— Ty zawsze musisz żartować — nasrożyła się, ale zaraz potem uśmiech wygładził jej zagniewaną twarz. — Swoją drogą aż mnie palce swędzą do tej roboty!

— Widzisz! — powiedział ojciec.

Rozdział III

Czyżby początek przygody?

— Całe szczęście, że już pojutrze przyjedzie tatuś! — westchnęła Aiinka i

mocniej objęła kudłaty łeb Ali Baby. — Oni mi okropnie dokuczają, wiesz, piesku?

— Pewnie — sarknęła Agnieszka przymierzając świeżo wyprasowany kołnierzyk, który miała właśnie zamiar przyszyć do mundurka, by jutro na rozdaniu świadectw wyglądać przyzwoicie — okropnie ci dokuczamy, bo pilnujemy, żebyś wypła mleko i umyła uszy.

— Tak, wczoraj poszliście do kina, a mnie kazaliście siedzieć w domu —

rozzaliła się Aiinka.

— I tak byś nic nie rozumiała — odparła z wyższością Agnieszka — jesteś za mała.

— To co, że nie rozumiałabym — odparła zaczepnie Aiinka — ale byłabym w kinie!

— Oj, nie nudź! Myślisz, że ja już też nie mam dość tego wiecznego rozglądania się za tobą? Stale gdzieś znikasz. Powiem mamie, jaką ma posłuszną córkę. Gdzie byłaś po obiedzie?

— Tak sobie spacerowałam — bąknęła Aiinka i nagle objęła siostrę za szyję. — Agnisiu, nie gniewaj się,

22

nie mów nic mamie, bo już nigdy nie zostawię nas samych na gospodarstwie.

— No dobrze, dobrze, nie powiem. Przestań mnie ścisnąć, bo nie mogę przyszyć kołnierzyka. A gdzie Artur?

— W swoim pokoju. Pakuje plecak i okropnie się złości, że nie może zmieścić wszystkiego.

Agnieszka zrobiła ostatni ścieg, obcięła nitkę i powiesiła mundurek na wieszaku.

— Chodźmy zobaczyć — powiedziała.

W pokoju Artura panował straszliwy nieład. Chłopiec raz jeszcze wyłożył całą zawartość plecaka na podłogę i zrozpaczonym wzrokiem patrzył na swoje skarby.

Było ich za wiele, żeby wszystko mogło się zmieścić.

—? Agnisiu — powiedział na widok wchodzących sióstr — zamieńmy się plecakami, twój jest trochę większy.

—? Mowy nie ma! Już się zapakowałam i ledwo wszystko dało się upchać. Po oo ci to? — spytała wskazując na gruby zwój liny.

— Może się przydać. W takich starych zamkach są zwykle głębokie piwnice bez schodów, zawałone studnie, może trzeba będzie wchodzić do nich spuszczac się po linie.

— Prawda? —? zamyśliła się Agnieszka — pamiętasz, co mama opowiadała o lochach

zamkowych w Książu?

— No właśnie. Więc sznur może się przydać.

— Ale po co ci kocher, tego już nie rozumiem. Mamy przecież taką piękną kuchenkę gazową.

— Oj, Agnieszka, ty wcale nie masz wyobraźni. A gdy pójdziemy na wycieczkę, będziesz wlokła ze sobą kuchenkę i butlę?! Kocher jest leciutki, mam zeszłoroczne paliwo w kostkach...

— Racja, nie pomyślałam o tym.

23

— ? ?? to jest? — spytała Alinka podnosząc z podłogi jakieś pudełko.

— Nie rusz! Zostaw! ?—? krzyknął Artur. —? To jest kompas.

— Co to kompas? — dociekała dalej Alinka.

—? Oj, nie nudź! To jest takie urządzenie, które pokazuje... pokazuje, gdzie są schowane słodycze.

— Naprawdę? Eee, pewno bujasz...

— Cicho! — syknęła Agnieszka. —? Zdaje się, że ktoś dzwoni do furki.

Nadstawili uszu. Rzeczywiście ktoś dzwonił.

— Ala, biegnij i zobacz, kto to. Może pan Majewski.

— Dlaczego zawsze ja? — odęła się Alinka. — Rozkazujecie mi, bo jestem najmłodsza.

Wstała jednak posłusznie i pobiegła na dół. Wróciła po dłuższej chwili z pękata torbą.

— Kto to był? Pan Majewski?

— Nie — odparła Alinka sięgając do torebki — to był jakiś całkiem obcy pan.

— Czego chciał? — Artur oderwał się na moment od plecaka.

— Pytał, czy tu mieszka pani doktor Ciekowska. Powiedziałam mu, że mieszka, ale wyjechała, i tatuś też wyjechał, i że jesteśmy sami na gospodarstwie, całkiem jak dorośli.

— Czego on mógł chcieć od mamusi? — zamyśliła się Agnieszka.

— On mówił, że zna bardzo dobrze naszą mamę i że przyjechał specjalnie, żeby się z nią zobaczyć. Powiedziałam mu, że mama jest w Czarnym Stoku i że tam ją może odwiedzić. Wtedy on...

— Wiesz co, Alusiu, ty jednak jesteś okropny głuptas! — oburzył się Artur. — Ile razy mama mówiła, że z obcymi nie wolno wdawać się w rozmowy! Co masz w tej torbie? — zainteresował się nagle.

24

— Cukierki. To on, ten pan mi dał. I powiedział, że jestem bardzo mądrą dziewczynką, tak! Tylko wy zawsze mi wymyślacie od głuptasów.

— Nie gniewaj się, Aluniu — zaczął Artur — czasami potrafisz być bardzo, bardzo mądra.

Mała spojrzała nieufnie na brata.

— Tak mówisz, bo chcesz, żebym się z tobą podzieliła tymi cukierkami. A właśnie, że sama zjem wszystko!

— Toś ty taka? Czekaj! — Artur puścił się w pogoń za uciekającą siostrą.

Z otwartej torebki posypały się słodycze.

— Ej, dzieci, uwaga! — krzyknęła Agnieszka. — Zdaje się, że nikt z nas nie skosztuje tych cukierków!

Wskazała na Ali Babę, który z wniebowziętą miną rozwijał już trzeci karmelek z kolorowego staniolu i połykał go jednym kłapnięciem.

— Wstrętny pies! Oddaj, to nie twoje! — Alinka gorączkowo zbierała rozsypane

słodycze.

Potem już w zgodzie cała trójka zabrała się do spożywania niespodziewanego podarunku. O wizycie nieznanego pana nie było mowy.

Artur ocknął się i usiadł gwałtownie na łóżku.

— Dlaczego mnie szarpiesz, puść, Ali, zwariowałaś?! Zaspany, jeszcze niezupełnie przytomny, zobaczył tuż obok siebie wilczura, który ciągnął go za rękaw piżamy i warczał cicho, ale groźnie.

Artur oprzytomniał. Coś się musiało stać, skoro Ali go zbudził. Wstał i ujawszy psa za obrozę, podszedł do drzwi pokoju sióstr. Ale tam było zupełnie spokojnie. Nagle dreszcz przebiegł po plecach chłopca. Może zapomnieli zamknąć okna na parterze, może zakradli się złodzieje?!

Ali warczał coraz groźniej, sierść mu się zjeżyła, szarpnął się i jednym skokiem dopadł drzwi.

— Ali! — krzyknął Artur. — Do nogi!

pies nie usłuchał, rozkazu, skoczył, przednimi łapami naciskając klamkę, otworzył sobie drzwi trąciwszy je łbem i zniknął. Po sekundzie na dole coś się zakotłowało, Artur usłyszał stłumiony jęk i stukot przewracanych mebli.

— Agnieszka! — zawołał i wpadł do pokoju sióstr. — Agnieszka, ktoś się zakradł do domu! Ali go zamorduje!

Dziewczynka wyskoczyła z łóżka, trzęsącymi się rękami usiłowała naciągnąć szlafrok.

—? Zostaw to — szepnęła drżącym głosem Artur. Zęby mu szczękały jak w febrze.

— My... myślisz, że to złodziej? — wykrztusiła Agnieszka.

Uchylili ostrożnie drzwi. Na schodach było ciemno, hall oświetlała słabo żarówka paląca się przez całą noc na zewnątrz domu, nad drzwiami wejściowymi.

— On... on jest w pokoju mamusi! — wyszeptała z trudem Agnieszka.

—? Zbiory! Mamusine zbiory! — przeraził się Artur.

— Nie, nie puszczę cię. — Agnieszka z całej siły uczepliła się ramienia brata, który zrobił krok w kierunku schodów. — Nie możesz tam iść, on ci zrobi coś złego!

?— Ale zbiory... — protestował Artur. Nagle do uszu dzieci dobiegł żałosny skowyt, potem usłyszały brzęk szkła i wszystko ucichło.

— Ali Baba! — krzyknęli oboje i popędzili na dół, zapominając o lęku.

Wpadli do pokoju matki, Agnieszka przekreśliła kontakt.

26

— Ali! piesku! on go zabił, zabił! — Artur klęknął przy leżącym nieruchomo psie i usiłował dźwignąć bezwładny łeb.

Agnieszka płakała w głoś.

— Wody, przynieś wody! — rozkazał Artur. Agnieszka pobiegła do kuchni, Artur tymczasem

obmacywał nieruchome ciało Alego.

— Nie ma żadnej rany, żadnego złamania — powiedział do siostry niosącej pełną miednicę.

27

Złany obficie wodą Ali mrugnął kilka razy powiekami, westchnął, wreszcie uniósł łeb i zawarczał słabo.

— Żyje! — krzyknął Artur i ucałował psi pysk. Ali uniósł się z trudem, przednie łapy mu drżały

i rozjeżdżały się bezsilnie, ale podtrzymywany przez dzieci wstał po chwili i chwiejnym krokiem zaczął obchodzić pokój, wężąc przy tym gorliwie.

Wtedy dopiero dzieci przypomniały sobie o włamywaczu. Strach o Alego był większy niż lęk przed złodziejem, pobiegły na dół bez chwili namysłu. Ale teraz...

— Może on tu jeszcze jest? — szepnęła Agnieszka rozglądając się trwożnie.

— Wykluczone, Ali nie zachowywałby się tak spokojnie. Patrz! — Artur wskazał palcem na kawałek materiału leżący na podłodze. — To Ali tak go urządził.

Chwycił za ubranie i nie puszczał. Wtedy widocznie ten łotr ogłuszył go kopnięciem.

Oglądali pilnie spory kawałek zielonego materiału, wydarty prawdopodobnie z płaszcza.

— I co teraz będzie? — Agnieszka bezradnie rozejrzała się po pokoju. —? Szyba zbita, wszystko przewracane, pani Rzeszytko za głowę się złapie!

— Oszalałaś? — oburzył się Artur. —? Musimy sami wszystko uporządkować! Nikt nie śmie wiedzieć, co się tu działo dzisiaj w nocy.

— Racja. Mama przecież nie chciała nas zostawić samych —? przyznała Agnieszka — wszystko byłoby na ojca, to przecież jego pomysł. Tak, tata miałby masę przykrości...

— A poza tym ojciec zaraz zawiadomiłby milicję, zaczęłoby się śledztwo, przesłuchania i co najmniej ze trzy dni musielibyśmy jeszcze zostać we Wrocławiu.

—? Och, Artur, nie!

— No widzisz, musimy sami posprzątać. Całe szczęście-
2*

cie, że Alinka śpi i nic nie słyszała. Pamiętaj, ani słowa o tym!

Agnieszka podniosła przewrócone krzesło, wyrównała ściągniętą z tapczanu narzutę, poukładała równiutko poduszki.

— Trzeba zebrać szkło — powiedział Artur — pójdę po szczotkę.

—: A okno?! Artur, co zrobimy z oknem? — zmartwiła się Agnieszka.

— Trudno — powiedział Artur — niech będzie na mnie. Powiem pani Rzeszytko, że to ja zbiłem.

— Będzie okropnie gderać!

— No to co? I tak zawsze gdera. Przynajmniej będzie mieć powód. I zaraz jutro trzeba będzie pójść do szklarza, nie możemy wyjechać i zostawić Okna ze zbitą szybą.

Artur pobiegł do kuchni po szczotkę i po chwili wrócił ogromnie podniecony.

— Agnieszko, drzwi wejściowe są uchylone, on musiał otworzyć je wytrychem!

— A łańcuch?

— Łańcuch wisi.

— Pewno nie założyłeś go na noc.

— Ja? Ty zawsze zamykasz drzwi i sprawdzasz okna wieczorem. To twoja wina!

—? Moja? — Agnieszka aż pobladła z gniewu. — Ty miałeś pilnować zamykania domu!

— Nieprawda, ty!

— Wcale nie, bo ty,

W tej chwili usłyszeli cichutki skowyt. Umilkli i nachylili się nad psem.

— Co ci jest, piesku? Boli cię? — spytał Artur. Ale wilczur siedział spokojnie z otwartą paszczą

i wywieszonym jęzorem. Wyglądało to, jakby się śmiał.

29

— Dajmy spokój kłótniom •— powiedział Artur wstając — bierzmy się lepiej do roboty.

Po półgodzinie pokój przybrał normalny wygląd. Agnieszka zapastowała nawet podłogę, aby usunąć ślady rozlanej wody.

— No to możemy iść spać — ziewnął szeroko Artur — niedługo zrobi się jasno.

— Swoją drogą — powiedziała Agnieszka — ciekawa jestem, czego ten złodziej szukał? Nic nie zabrał, na pewno. Sprawdziłam dokładnie, wszystkie mamu-sine zbiory są nie tknięte, szafa zamknięta na klucz... Artur! — krzyknęła widząc, że brat idzie na oślep ku oknu — co robisz, drzwi są tutaj!

— Dobra — mruknął sennie Artur. — Zamknij światło i zgaś drzwi.

Agnieszka zgasiła światło i zamknęła drzwi. Idąc po schodach za ślaniającym się i potykającym na każdym stopniu bratem, pomyślała z wyższością:

„Jacy ci mężczyźni są niewrażliwi. Ja na pewno oka nie zmrużę aż do rana”.

Ale gdy tylko wśliznęła się do łóżka, poczuła okropną senność, w głowie zawirowały jakieś strzępy myśli, obrazów i po chwili Agnieszka spała spokojnym snem, tak jak Alinka i Artur.

Tylko Ali, leżąc na swoim posłaniu obok tapczanu Artura, raz po raz unosił łeb i warczał cicho, obnażając potężne kły, jakby chciał powiedzieć:

„Może jeszcze ktoś spróbuje walczyć ze mną? Czekam”.

Artur umierał z niecierpliwości. Gdzie ta Agnieszka się podziewa? Już godzinę temu skończyło się rozdanie świadectw, a jej nie ma i nie ma. Pewno poszła

30

z koleżankami na lody. Alinka też się gdzieś zawieruszyła, wstrętna smarkula, trzeba będzie jej natrzeć uszu!

Artur aż podskakuje z emocji. Taka nowina, taka ważna nowina! Prawdę mówiąc Artur wpadł tylko na chwileczkę do domu, by zabrać album ze znaczkami. Jeden chłopiec z jego klasy miał świetną finkę i zgodził się zamienić na pięć serii polskich znaczków. I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

No nareszcie! Idzie Agnieszka, a za nią w podskokach biegnie Alinka.

—• Artur, wiesz — woła Agnieszka już od furtki — mam tylko jedną trójkę, z fizyki, dwie czwórki, a reszta same piątki!

— A ja dostałam nagrodę, bo byłam najgrzeczniejsza! — piszczy Alinka.

—? Wielka sztuka dostawać nagrody w przedszkolu — mówi lekceważąco Agnieszka —• zobaczysz później. Artur, co się stało, dlaczego nic nie mówisz? Masz złą świadectwo?

— Gdzie tam — macha ręką Artur — dobre, ale posłuchaj, Agnieszko, stało się coś okropnego!

— Znowu zło... — zaczyna Agnieszka i urywa nagle, patrząc z niepokojem na młodszą siostrę. Nie, nic nie słyszała, pokazuje Alemu książeczkę z obrazkami, zachwycona i przejęta swoją nagrodą.

— Dzwonił tatuś ?—? mówi półgłosem Artur — nie przyjedzie po nas, bo Barnaba nawalił! Naprawa potrwa co najmniej trzy dni!

— A co z nami? — pyta przerażona Agnieszka.

— Mamy czekać na następny telefon —? mówi ponuro Artur — jeśli tatuś naprawi Barnabę, przyjedzie po nas w poniedziałek, jeśli nie, będziemy musieli poczekać do następnego czwartku na samochód z biura konserwacji zabytków.

33

?— Okropność! — Agnieszka siada na kamiennym schodku. — Jeszcze trzy dni we Wrocławiu!

— Optymistka — wykrzywia się Artur — o ile znam Barnabę, nie da się naprawić co najmniej przez tydzień. Będziemy musieli czekać do czwartku!

— Nie, to straszne, ja się chyba wścieknę ze złości!

Alinka, która dopiero teraz ocknęła się z zachwyty, podnosi głowę i patrzy

niespokojnie na rodzeństwo.

— Co się stało? — pyta. — Dlaczego jesteście tacy źli?

— To się stało, że jeszcze tydzień mamy zostać w domu — mówi Artur i kopie z wściekłością kamyk leżący na ścieżce.

— Dlaczego? — usta Alinki zaczynają drgać. — Ja» nie chcę! Tak się cieszyłam, że już jutro...

— Wszyscyśmy się cieszyli — mruczy Artur — nie becz, to nic nie pomoże.

— Mu-muszę beczeć — płacze Alinka — ja chcę jechać do mamy...

Agnieszka nagle podnosi się ze schodków i kiwa na Artura.

— Słuchaj — mówi — czy pani Rzeszytko wie o tym telefonie?

— Nie, akurat poszła do szklarza z tą szybą.

— Bardzo gderać? — Agnieszka na chwilę zapomina o zmartwieniu.

— Nawet nie, powiedziała tylko, że gdybyśmy zostali jeszcze tydzień, to roznieślibyśmy dom na kawałki i chwala Bogu, że już wyjeżdżamy.

— No więc właśnie, kto wie, co jeszcze mogłoby się stać przez ten tydzień — mówi Agnieszka — ja... ja się trochę boję.

— Czego? — wzrusza ramionami Artur.

32

Agnieszka nachyla się nad bratem i szepce mu do ucha:

— A jeśli on wróci?

— Coś ty?... —? Artur spojrział ze zdumieniem na siostrę.

Była blada, oczy miała rozszerzone, pełne lęku. Chłopiec wstrząsnął się. A może Agnieszka ma racj^? Dziś złodziej uciekł spłoszony przez Alego, ale jutro...

— Co wy tam szepczecie? — zaniepokoiła się Alinka. — Powiedzcie mi!

— Cicho bądź, my się naradzamy.

— Ja też chcę się naradzać.

— Alusiu ?—? Agnieszka wiedziała, jak zażegnać wzbierającą w oczach Alinki ulewę łez — masz tu pieniądze, biegnij do kuchni, weź termos, ten z szeroką szyjką, i przynieś trzy porcje lodów z cukierni.

Alinka pobiegła w podskokach, za nią pognał nie mniej zachwycony Ali Baba.

—? No więc co zrobimy? — spytała Agnieszka, gdy młodsza siostra zniknęła za furtką. — Ja nie zostanę sa'ma w domu. Możesz się ze mnie śmiać, ale ja się boję!

Artur powiedział mężnie:

— Bać się nie ma czego, Ali nas zawsze obroni, ale rzeczywiście będzie nieprzyjemnie.

— Słuchaj, a gdybyśmy pojechali sami? Pani Rzeszytko nie wie, co ci powiedział ojciec przez telefon. Trudno, będziemy musieli skłamać, powiemy jej, że ojciec kazał nam przyjechać pociągiem.

— A skąd weźmiemy pieniądze na bilety? — spytał praktycznie Artur.

— Nie udawaj, że masz pustą skarbonkę. Tymczasem wyłożymy ze swoich.

— Eeee...

— No to nie, siedź sobie w domu i czekaj...

3 — Niezwykłe wakacje A.B.c.

33

Nie, na to Artur nie miał ochoty. Ale, jeszcze nie przekonany, powiedział:

— Myślisz, że damy sobie radę? Ja wcale nie wiem, gdzie jest ten Czarny Stok...

I tyle bagażu, trzy plecaki, pies, Alinka...

— Wszystkiego się dowiemy w informacji. Zaraz pojedziemy na dworzec, kupimy bilety... O, wraca Alinka. Więc najpierw zjemy lody, a potem jazda do miasta!

Rozdział IV

Pierwszy dzień wakacji niezbyt udany

— Więc to tak — mówiła Agnieszka drżącym głosem — to my stajemy na głowie, żeby was jak najprędzej zobaczyć, a wy, zamiast nas pochwalić i ucieszyć się, witacie awanturą?

Artur niepokojąco pociągał nosem, Alinka beczała całkiem otwarcie. Rodzice spojrzeli na siebie z zakłopotaniem.

— Agnisiu — powiedziała matka obejmując starszą córkę — przecież my się bardzo cieszymy... naprawdę. Ogromnie stęskniliśmy się za wami. Ale, zrozum, zjawiacie się zupełnie niespodziewanie, mimo telefonu ojca, który kazał wam czekać co najmniej do poniedziałku, obłoceni, zziązani, ledwo żywi ze zmęczenia...

—? Oczywiście — powiedział ojciec zapalając fajkę. — Już się dałaś ugłaskać!

Jazda do namiotu! — dodał groźnie. — Potem j a sobie z wami porozmawiam.

Po półgodzinie dzieci, umyte i przebrane, siedziały nad ogromną porcją jajecznicy. Gdy patelnia została wyskrobana do czysta, a ostatni łyk mleka przełknięty z głośnym siorbnięciem, ojciec powiedział:

?»

35

— No, a teraz gadajcie! Skąd wam przyszło do głowy jechać pociągiem? Skąd wzięliście pieniądze na bilety? A w ogóle czy" to taka tragedia zaczekać trzy dni? Przecież w poniedziałek byłbym po was przyjechał.

— Myśmy przypuszczali, że nie naprawisz Barnaby do poniedziałku — szepnęła ze skruczą Agnieszka — baliśmy się, że cały tydzień zostaniemy we Wrocławiu.

— No tak — mruknął ojciec pocierając niezbyt dokładnie ogoloną brodę — z Barnabą nigdy nic nie wiadomo...

— Właśnie — ożywił się Artur —? więc zlekliśmy się, że jeszcze tyle dni zostaniemy sami, i pani Rze-szytko już nas miała dość...

— Pewno jej dokuczaliście — wtrąciła matka.

— Skąd, wcale nie — zaprzeczyła Agnieszka — ale mówiła, że ma za dużo roboty i w ogóle...

— I w ogóle już nie chcieliśmy być sami w domu. Bo właśnie... —? Artur urwał i zaczerwienił się. Gapa, o mało nie wygadał wszystkiego!

Matka zauważyła zmieszanie syna.

— Stało się coś? Mieliście jakieś kłopoty?

—? Nie, mamusiu, skądże — zaprzeczyła szybko Agnieszka — ale tak nam było smutno bez was, zwłaszcza wieczorem.

Matka energicznym ruchem zebrała ze stołu puste kubki. Taką już miała naturę, że w zdenerwowaniu musiała coś robić.

— Widzisz — powiedziała patrząc z wyrzutem na ojca — mówiłam ci, że nie powinniśmy byli zostawiać ich samych.

—? No więc postanowiliśmy jechać pociągiem. Na dworcu dowiedzieliśmy się, jakie są połączenia, i kupiliśmy bilety — kończył Artur sprawozdanie.

36

— Za co? — przerwał mu ojciec.

— Wzięliśmy tymczasem z naszych oszczędności.

— Co to znaczy „tymczasem”? — pytał nieubłaganie ojciec.

— No bo przecież... myśleliśmy...

— Myśleliście, że rodzice zwrócą wam te pieniądze, co? Nie, moi drodzy, za swoje zwariowane pomysły sami będziecie płacić. To będzie dla was ostrzeżenie na przyszłość.

Dzieciom wydłużyły się twarze. Po zapłaceniu bi-

37

letów w skarbonkach zaświeciło dno. No trudno, będą musieli obejść się bez pieniędzy.

— Dobrze, tatau — powiedziała pokornie Agnieszka.

— Jednego jeszcze nie rozumiem — zaczęła matka — w jaki sposób przekonaliście panią Rzeszytko, że macie jechać pociągiem?

— Ona nie wiedziała o telefonie tatusia — Agnieszka zaczerwieniła się po korzonki włosów — to znaczy, wiedziała, że tatuś dzwonił, ale nie wiedziała, co mówił. I myśmy...

— Pięknie — powiedział ojciec — okłamaliście panią Rzeszytko i powiedzieliście, że kazałem wam przyjechać pociągiem, tak?

Dzieci w milczeniu skinęły głowami.

— Wstyd? — ojciec wstał od stołu tak gwałtownie, że aż zabrzęczały pozostawione na nim nakrycia.

— Zrobiliście ojcu wielką przykrość. Wiecie, jak nienawidzi kłamstwa... — włączyła się do rozmowy mama.

— Już nigdy nie będziemy — Alinka przytuliła się do kolan matki.

— Alinka nic tu nie jest winna. Ona nawet nie wiedziała, co powiedzieliśmy pani Rzeszytko — wstawił się za siostrą Artur —? poza tym ona już usypia — dodał patrząc na nią.

— Biedactwo, strasznie jest zmęczona. Andrzej, zanieś Alinkę do namiotu. A wy też już idźcie spać. Jutro opowiecie resztę — ujęła się za najmłodszą latoroślą mama.

Artur i Agnieszka odetchnęli z ulgą. Nawet całkiem nieźle poszło.

— Artur, obudź się nareszcie! — Agnieszka targnęła śpiącego twardo brata za ramię. — Artur!

38

Chłopiec zamamrotał coś sennie i obrócił się na drugi bok. Ale Agnieszka nie ustępowała. Zastosowała środek ostateczny i niezawodny — zaczęła łaskotać brata w ucho. Artur zerwał się i patrząc błędnym wzrokiem na Agnieszkę, zapytał:

— Co się stało? Dlaczego budzisz mnie o świcie? Przecież są wakacje.

— Po pierwsze, nie ma mowy o świcie, już dawno po ósmej — powiedziała surowo Agnieszka — a po drugie, Artur, coś strasznego przyszło mi do głowy!

— Co przyszło? Skąd przyszło? — pytał Artur, niezupełnie jeszcze przytomny, siadając na posłaniu.

— Nie błażnij. Pomyślałam sobie, że to wszystko, co zdarzyło się ostatnio, nie mogło być tylko przypadkiem.

—? O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

— Jaki ty jesteś czasem tępy! — wykrzywiła się Agnieszka pogardliwie. — Pomyśl, najpierw jakiś mężczyzna przychodzi odwiedzić mamę. Ta głupia koza mówi mu, że jesteśmy w domu bez rodziców. Tej samej nocy ktoś włamuje się do naszego domu... Artur, mnie się zdaje, że to był ten sam człowiek!

— Cicho! — syknął Artur. — Jeszcze ktoś usłyszy. —; Kiedy właśnie przyszło mi na myśl, że powinniśmy jednak o wszystkim powiedzieć rodzicom...

—? Zwariowałaś? — obruszył się Artur. — Mało ci było wczorajszej awantury? A zresztą, umówiliśmy się, że milczymy jak grób.

— Wiem, wiem, ale sam pomyśl. To się bardzo łatwo może wydać... Zresztą nie tylko o to chodzi, Artur, przecież dom został zupełnie pusty! Jeśli ten włamywacz wróci...

— Po co miałby wracać?

— Za pierwszym razem nic nie zabrał, bo spłoszył

39

go Ali. Jeśli teraz przekona się, że w domu nie ma nikogo, może spróbować szczęścia jeszcze raz.

Artur odrzucił koc, ukląkł na posłaniu i zbliżywszy usta do ucha siostry, wyszeptał:

— Wiesz, nie jestem taki pewny, czy on niczego nie zabrał.

— Jak to? — przeraziła się Agnieszka. — Przecież sprawdzaliśmy!

— Sprawdzaliśmy zbiory i rzeczywiście nic nie brakowało. Ale ja potem przypomniałem sobie, że jedna szuflada w biurku była otwarta i wszystko w niej poprzewracane. Miałem ci o tym powiedzieć, ale jakoś zapomniałem.

— Artur, co było w tej szufladzie?! — Agnieszka aż pobladła z wrażenia.

— Prawdę mówiąc, nic ciekawego. Duże koperty, a w nich rysunki, wiesz, takie różne rzuty poziome i boczne. Ojciec robił mamie plany zabytków na kalce technicznej.

Nagle Artur zerwał się gwałtownie z posłania, zapominając, że nie jest w domu.

Uderzył głową w płótno, aż cały namiot zachybotał się.

— Co robisz, rozwalisz namiot! Ale Artur nie myślał o namiocie.

— Agnisiu — wyjąkał — jeśli tam były plany jakiegoś zamku... jeśli coś zginęło z szuflady... Słuchaj, to bardzo prawdopodobne, oni dowiedzieli się, że u mamy w szufladzie znajduje się plan zamku, więc postanowili zdobyć ten plan i szukać na własną rękę!

— Czego? — spytała trzeźwo Agnieszka.

— Na przykład zakopanych skarbów — wykrztusił Artur.

— Wiesz co, przyłóż sobie zimny okład na głowę! — zadrwiła Agnieszka. — Szajka włamywaczy, zakopane

40

skarby, ukradzione plany, wszystko w 1967 roku w rodzinie państwa Ciekońskich!

Przecież ty bredzisz, Arturku, albo streszczasz kiepski kryminał.

— Ale coś zginęło z szuflady! — zaperzył się Artur.

—? Sam powiedziałaś, że nie jesteś pewny, czy nic nie zginęło, a to zasadnicza różnica.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Agnieszka spojrzała na brata i powiedziała niepewnym głosem:

—? Ach, ja już sama nie wiem, co o tym sądzić. Może ty masz trochę racji?

Chociaż nie wierzę w żadne ukryte skarby.

— Skarby-nie-iskarby, a rodzicom nie możemy o niczym powiedzieć. Są bardzo zajęci, mają ważną pracę przed sobą, a ty chcesz im zawracać głowę włamywaczem.

Przecież mama ze zdenerwowania nie będzie mogła w ogóle pracować. A ojciec?

Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybyśmy im powiedzieli o wszystkim?

— No tak — mruknęła Agnieszka — poszukiwania mamy są bardzo ważne. Jeśli się okaże, że mama miała rację i że właśnie tutaj znajdują się te cenne freski...

— Właśnie — przerwał jej brat. — Ostatecznie nic się przecież nie stało. Na razie...

Artur przerwał i nagle rozejrzał się po namiocie.

— Słuchaj, gdzie jest Alinka?

— Alinka? Śpi tutaj na trzecim materacu.

Artur zerwał koc okrywający posłanie. Było puste.

— Pewno wstała wcześniej i kręci się po obozie — uspokoiła brata Agnieszka. Mocowali się przez chwilę z błyskawicznym zamkiem zamykającym wejście do namiotu. Wybiegli oboje i struchleli. Obozowisko było puste.

41

Namiot rodziców starannie zasnurowany, przed namiotem stolik, fotele, ani śladu Alinki i ani śladu psa.

— Tu jest kartka — zauważyła Agnieszka, wskazując palcem na stolik.

Dzieci — czytał Artur — śniadanie przygotowane, mleko trzeba tylko podgrzać.

Jesteśmy w zamku — mama.

— Ale gdzie Alinka? — jęknęła Agnieszka. — Aluu! Alusiu! — zawołała głośno.

— Tu jestem — usłyszeli cienki głosik. Zafalowały gałęzie leszczyny i z gęstwiny krzaków

wysunęła się potargana główka i umorusana buzia najmłodszej siostry, a za nią uśmiechnięty pysk Ali Baby.

Agnieszka odetchnęła z ulgą, zaraz potem zawołała jednak gniewnie:

— Nie wolno ci nigdzie samej łązić, rozumiesz? Dosyć najedliśmy się przez ciebie strachu.

— A ja najadłam się poziomek — powiedziała zuchwale Alinka —? żebyście wiedzieli, ile ich tam jest!

— Gdzie? — spytali równocześnie Artur i Agnieszka.

— Tam, na stoku. Zatrzęsienie. Jadłam i jadłam, a ich wcale nie ubywało. Pokażę wam.

— Najpierw śniadanie — mruknęła cokolwiek udobruchana Agnieszka. — Nie? — przypomniała sobie napomnienia matki — najpierw mycie. Tu gdzieś niedaleko jest rzeczka: Artur, weź ręczniki i mydło.

— Ja wiem gdzie, ja wam pokażę — ofiarowała się Alinka.

— Ta smarkata zdążyła już wszystko obejrzeć — mruknął z uznaniem Artur — no, idź przodem, ty turystko!

Rozdział V

Ali Baba myli się

— Już tydzień jesteśmy w Czarnym Stoku i nic się nie dzieje — powiedział z żalem Artur siadając obok Agnieszki pod krzakiem kwitnącego głogu.

— Uhm — mruknęła niewyraźnie dziewczynka. Trzymała w zębach trawkę, którą umacniała wianek

ze stokrotek, spleciony dla Alinki.

—? Nie mieliśmy racji — ciągnął dalej Artur — to wszystko było przypadkiem, i dobrze się stało, że o niczym nie powiedzieliśmy rodzicom. Martwiliby się i denerwowali całkiem bez potrzeby.

Agnieszka wplotła ostatnie pasmo trawy, połączyła oba końce wianka i zawołała:

— Alusiu, masz twój wianuszek, już gotowy!

Mała, buszująca w krzakach, zjawiała się natychmiast i zachwycona przymierzyła dzieło siostry, po czym pobiegła z Alim w stronę zamku. Artur wyciągnął się na trawie, założył ręce pod głowę i pilnie obserwował obłoki. Agnieszka poruszyła się niespokojnie.

— Wiesz, Artur — powiedziała — a ja jednak ciągle jeszcze się boję...

— Czego? —? spytał lekceważąco 'brat.

— Sama nie wiem... Że coś się stanie. Przecież

43

my siedzimy w Czarnym Stoku i nie możemy wiedzieć, co się dzieje we Wrocławiu. Może znowu okradli dom?!

— Pan Majewski ma adres rodziców. Przychodzi codziennie podlewać ogród, gdyby coś się stało, napisałby list albo wysłał depeszę.

Mówiąc to Artur uśmiechnął się pogardliwie. Jakie te dziewczęta są śmieszne! Taka Agnieszka na przykład. Niby starsza od niego o rok (dla ścisłości o rok i dwa miesiące), potrafi się stawiać i daje mu często do zrozumienia, że jest o wiele mądrzejsza, żąda nawet, aby słuchał jej poleceń, a czasami zachowuje się równie głupio jak Alinka. Zupełnie nie potrafi myśleć logicznie!

Z początku, kiedy on, Artur, wyrażał obawy, że nocne włamanie do mieszkania mogło mieć jakiś związek z wizytą nieznanego, który podarował Alince słodycze, wyśmiała go i kazała przykładac zimne kompresy na głowę. A teraz, kiedy nic się nie dzieje, Agnieszka nagle wpada w panikę i gotowa jest wymyślać najbardziej nieprawdopodobne historie na poparcie swoich „złych przeczuć”.

„Przez te wszystkie awantury zapomniałem o malowaniu — myśli Artur —? trzeba będzie jutro przygotować papier i farby. Zamek na skale i cała okolica aż się prosi o malowanie. I pogoda wspaniała”...

Zerknął na Agnieszkę. Siedziała zamyślona, poważna, objawszy dłońmi podkurczone kolana. Ona też zapomniała o swoich zbiorach i katalogach. Co prawda przez pierwsze dni pobytu w Czarnym Stoku mieli masę zajęcia. Trzeba było wypakować i porządnie ułożyć rzeczy, wykopać nowy, większy dół na śmieci, przenieść gdzie indziej kuchenkę, umieszczoną dotychczas pod przystawką namiotu.

Artur przy pomocy ojca zbudował coś w rodzaju

44

daszka wspartego na czterech słupkach. Można było pod nim gotować. nawet w czasie deszczu, bo dach był spleciony z mocnych leszczynowych prętów, pokryty gałęzmi jedliny i brezentową płachtą. Kuchenkę ustawiono na stole zbitym z brzoźowych polan.

Ta robota pochłonęła pełne dwa dni, potem trzeba było zwiedzić okolicę, wyszukać odpowiednie miejsce do kąpieli w małej, ale czystutkiej rzeczce płynącej o jakieś sto metrów od obozowiska.

Rzeczka była dość płytka, znowu więc Artur z niemałym wysiłkiem, przy pomocy siostr, zbudował tamę, tworząc sztuczne jeziorko, w którym woda miała około pół metra głębokości. Oczywiście o porządnym pływaniu nie mogło być mowy, ale można było chlapać się do woli, nie obijając kolan o kamieniste dno.

No, a wreszcie zamek! Zaraz pierwszego dnia poszli tam we trójkę, obejrzeli najpierw zewnętrzny dziedziniec, otoczony wałącym się murem, zarośnięty zielskiem, pełen gruzu i kretowisk.

Aż trudno było uwierzyć, że właśnie tutaj po otwarciu bramy wjeżdżały orszaki rycerzy, dudniły końskie kopyta po kamiennych płytach, że tu zatrzymywały się karety pełne wystrojonych dam i kawalerów.

Brama prowadząca na dziedziniec wewnętrzny była zniszczona, zachował się tylko łuk ceglany z wpuszczoną kratą, zakończoną ostrymi zębami i wieżą. Tam kiedyś przebywał dowódca załogi zamkowej — wyjaśniła dzieciom mama i surowo zabroniła wchodzenia do wieży.

— Schody są uszkodzone i wiszą na słowo honoru — powiedziała — a w ogóle wolałabym, żebyście tu nie przychodzili sami. Pełno dziur, nie zabezpie-

45

czonych wejść do lochów, jeszcze które wpadnie i dopiero będzie bal! ?

Prawdę mówiąc mama niepotrzebnie się lękała. Dzieci uznały zamek za niezbyt interesujący. Jedno skrzydło było całkowicie zrujnowane, pozostała po nim tylko ściana z pustymi otworami okien, drugie, chociaż zachowane w całości, było puste

i smutne. Odrapane nagie ściany, podłogi dziurawe, pełne śmieci i odpadków. Właściwie tylko główna, środkowa część zamku zachowała się w niezłym stanie, ale tam właśnie rodzice prowadzili poszukiwania i trudno było poruszać się wśród drabin i rusztowań, w huku młotków i kurzu odbijanych tynków.

Stanowczo dzieci wołały kąpiele w rzece, wycieczki do pobliskiego lasu, zbieranie poziomek i czarnych jagód.

Agnieszka ocknęła się z zadumy, spojrzała na zegarek.

?— Dochodzi dwunasta — powiedziała — trzeba będzie wracać do obozu, mama kazała obrać i nastawić ziemniaki i przygotować mizerię. O pierwszej przyjdzie, żeby wykończyć obiad.

Artur podniósł się leniwie i spytał bez entuzjazmu:

— Dziś moja kolejka?

— Twoja.

Nagle usłyszeli głos Alinki i zerwali się na równe nogi.

— Artur, Agnieszka — krzyczała dziewczynka — chodźcie szybko, Ali go złapał i nie puszcza! Szybko!

Pobiegli pędem za siostrą.

— Co tu robisz? Skąd się tu wzięłeś? — pytał z ogromnym zdumieniem Artur, patrząc na chudego, wystraszonego chłopca, nad którym stał warcząc

46

i szczerząc zęby bardzo z siebie zadowolony Ali Baba.

?— Zabierz psa? — mruknął niechętnie chłopak — nic złego nie zrobiłem.

Artur chwycił Alego za obrożę i, mimo jego oporu, odciągnął psa kilka kroków w tył.

Chłopiec usiadł i z uwagą zaczął oglądać rozdarty rękaw koszuli. Spod strzępów płótna wyjrzało chude, dość brudne ramię, naznaczone śladami psich zębów.

— Och — przestraszyła się Agnieszka — Ali cię ugryzł! Pokaż, może trzeba opatrzeć.

— Obejdzie się — burknął chłopiec — gorzej, że koszulę poszarpał. Nie mam drugiej. No, co tak stoicie nade mną i gapicie się jak na teatr! — krzyknął gniewnie. — Człowieka nie widzieliście?!

Dzieci zmieszały się. Rzeczywiście, wpatrywały się w nieznanego chłopca z nie ukrywanym zdumieniem i ciekawością. Chłopak, jak chłopak, nic w nim nie było nadzwyczajnego, tyle że był brudny, obdarty i patrzył nieufnie, prawie wrogo.

Ale to miejsce, to dziwne miejsce, gdzie wywęszył go Ali! A odbyło się to tak:

Kiedy przybiegli na krzyk Alinki, wystraszona i zdyszana dziewczynka zaprowadziła rodzeństwo na południowy stok. Tu pod krzakami leszczyny ciemniał obmurowany cegłą otwór, zarośnięty pokrzywami i łopianem.

— Zajrzałam tam, bo zdawało mi się, że usłyszałam szelest, a wtedy Ali wyrwał mi się i zniknął w tej dziurze. Po chwili usłyszałam krzyk i bardzo się złękłam

?— opowiadała ogromnie przejęta Alinka — więc pobiegłam po was.

Przywoływany raz po raz Ali odpowiadał triumfalnym szczeknięciem, ale nie wychodził z podziemia. Wtedy Artur przypomniał sobie, że ma w kieszeni zapalki.

47

Wsunęli się odważnie w ciemny, ziejący stęchlizną otwór i pełznąc na czworakach znaleźli się po chwili w obszernym lochu. Świecąc jedną zapalką po drugiej zauważyli mocny, sklepiony strop, jakieś dziury czy przejścia w ścianach, a w najodleglejszym kącie leżącą na ziemi postać i stojącego nad nią Ali Babę.

— No dobrze — powiedział Artur — mówisz, że nie zrobiłeś nic złego, w takim

razie co tu robisz? Przecież nie mieszkasz w tej piwnicy?

Chłopiec sięgnął do worka leżącego pod ścianą, wyjął stamtąd kawałek świecy i mruknął:

— Zapal.

Żółte, migotliwe światełko oświetliło jego wymiżniętą twarz, skudłone włosy i oczy obwiedzione ciemnymi kręgami.

— Mieszkam — powiedział wyzywająco — już piąty dzień.

Dzieci popatrzyły na siebie ze zdumieniem. Czy ten chłopiec zwariował?

— Nie rozumiem — wzruszyła ramionami Agnieszka — dlaczego wybrałeś sobie akurat to miejsce? Przecież tu jest okropnie! Nie masz domu, rodziców?

Chłopiec nie odpowiedział. Zaległo długie milczenie, przerywane tylko warczeniem Ali Baby.

Artur błędził wzrokiem po piwnicy słabo oświetlonej ogarkiem świecy. Ten chłopak chyba nie kłamie, mieszka tu naprawdę! Urządził loch wcale nieźle, w kącie ma posłanie z sosnowych gałęzi przykryte workami i chyba jakimś płaszczem, pod ścianą stoi drewniana paka, na niej świeca, garnuszek, nóż, kawałek chleba, w kącie blaszana puszka po marmoladzie pełna wody.

Artur westchnął z zazdrością. To jest dopiero przy-

48

goda! Mieszkać w opuszczonych lochach, samemu gospodarować, samemu zdobywać pożywienie! Nagle namiot, w którym sypiał, nadmuchiwane materace i ciepłutkie śpiwory wydały mu się czymś idiotycznym, dobrym dla małych dzieci albo dla starszych osób, które nie mogą obyć się bez komfortu. Milczenie przerwała Agnieszka.

— Może jesteś głodny? — spytała.

— A jak myślisz? — burknął nieuprzejmie zapytany. — Przecież mam tylko ten kawałek chleba. To już ostatni...

— Ojej, że ja o tym nie pomyślałam — zmartwiła się Agnieszka — chodź, my tu mieszkamy pod zamkiem w namiotach, zjesz z nami obiad.

— Nie — mruknął chłopak.

— Ależ dlaczego? — zdumiał się Artur. — Przecież sam powiedziałaś, że jesteś głodny.

W tej chwili zachwycająca przygoda nieznajomego chłopca straciła w jego oczach część romantyzmu. Głód — to chyba niezbyt przyjemne uczucie.

— Nigdzie stąd nie pójdę! — krzyknął chłopiec i wpił się rękami w brzeg posłania. — Nikt mnie nie może zobaczyć... — dokończył szeptem.

—? Więc ty... ty się ukrywasz? — domyśliła się Agnieszka. — Ale dlaczego? Przecież sam mówiłeś...

— Muszę się ukrywać i koniec! Nie wasz interes. A jeśli wypapłacie komuś, że tu jestem, to ja... to ja... zabiję się! — krzyknął z rozpaczą.

Boże drogi, co za historia! A dopiero co mówili, że w Czarnym Stoku nic się nie dzieje. Ładne nic! Tajemnicza kryjówka, nieznajomy chłopiec, który musi się z jakiegoś powodu ukrywać, i ta straszna, niezrozumiała groźba...

— Uspokój się — powiedziała miękko Agnieszka — nikomu nic nie wygadamy. Jeśli nie chcesz iść z nami,

4 — Niezwykle wakacje A.B.C.

19

przyniesiemy ci obiad tutaj. Będziemy ci przynosić codziennie.

.....

— Naprawdę? — chłopiec spojrzął z niedowierzaniem. — Ale ja, ja nie mam

pieniędzy...

— Głupi jesteś — obruszył się Artur — kto mówi o pieniądzach?

— Trzeba by mu przynieść trochę rzeczy, przecież on nic nie ma — zatroszczyła się praktyczna Agnieszka — ręcznik, mydło, koszulę...

— I koc — wróciła bardzo przejęta Alinka — bo tu jest okropnie zimno.

— Mam przykrycie — chłopiec wstał z posłania i z dumą rozpostarł przed dziećmi bardzo porządny zielony płaszcz.

Artur cofnął się o krok, oczy Agnieszki zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— A więc to ty! — krzyknął Artur. — I mówisz, że nie zrobiłeś nic złego!

— Ty... ty, złodzieju! — zawtórowała bratu Agnieszka. — Dlatego Ali złapał cię i nie puszczał! I teraz jeszcze

warczy.

...

Chłopiec odrzucił płaszcz na posłanie. Spojrzał na rozgniewane rodzeństwo i powiedział wyzywająco: -, — Nie wiem, o czym mówicie. Ja tego płaszcza nie ukradłem.

, — Pewno, że nie — krzyknął Artur — ale włamałeś się do naszego domu! Chciałeś nas okraść, tylko pies ci przeszkodził. O, tu brakuje kawałka materiału, który wyrwał Ali.

Artur podniósł płaszcz i przybliżył go do światła. Obok kieszeni widniała duża, wyszarpana dziura.

— Mówię wam, że znalazłem ten płaszcz — upierał się chłopiec — był już podarty, dlatego wziąłem go.

Ale Artur nie słuchał, grzebiąc gorączkowo w kieszeniach.

50

— Mam — krzyknął — wiedziałem, że muszę mieć ten kawałek materiału! Schowałem go wtedy w nocy.

Dzieci pochyliły głowy nad płaszczem, a Artur przyłożył brakujący kawałek.

— Zgadza się, to ten sam płaszcz — powiedziała Agnieszka — od razu mi się zdawało, że już gdzieś widziałam ten materiał.

— No i co, jeszcze będziesz się wypierał, że byłeś w naszym mieszkaniu w nocy, że otworzyłeś drzwi

4*

51

wytrychem?! Pies cię poznał — gorączkował się Artur.

Chłopiec usiadł na swoim posłaniu i powiedział ponuro:

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie. Nie włamywałem się do żadnego mieszkania, nie mam żadnego wytrycha, a ten płaszcz znalazłem w lesie, jakieś trzy kilometry stąd. Był zwinięty w kłębek i wepchnięty w dziuplę, dlatego wziąłem... Ktoś wyrzucił go, a mnie mógł się przydać.

Artur ochłonął. To brzmiało prawdopodobnie, chociaż z drugiej strony...

— Przecież ten płaszcz jest na tego chłopca za duży — usłyszeli nagle cienki głos Alinki.

Artur chwycił leżący na posłaniu płaszcz i rzucił go chłopcu.

— Przymierz! — rozkazał.

Chłopiec wstał i posłusznie włożył płaszcz. Pierwszy wybuchnął śmiechem Artur.

Agnieszka i Alinka zawtórowały mu z całego serca. No tak, jak mogli przypuszczać, że chłopiec kiedykolwiek nosił ten płaszcz! Rękawy zwisały mu poza kolana, a poły wlokły się po ziemi.

— Przepraszam cię — powiedział Artur — to wszystko przez Alego, myślałem, że on się nigdy nie myli.

— Ali nie pomylił się, zapamiętał zapach płaszcza i dlatego właśnie rzucił się na tego chłopca — sprostowała Agnieszka. — Bo widzisz — zwróciła się do nieznajomego — u nas naprawdę był włamywacz. Otworzył sobie wytrychem drzwi i splądrował pokój mamy. Usłyszał go Ali, on jest bardzo mądry, tresowany, rzucił się na złodzieja i walczył z nim. Włamywacz uciekł przez okno, a my Alemu zabraliśmy z pyska ten właśnie kawałek materiału. Więc nie

52

dziw się, że w pierwszej chwili wydało się nam to wszystko bardzo podejrzanе.

— Ja się nie dziwię — powiedział jakoś smutno chłopiec — ale gdyby nie ta mała, opowiedzielibyście o wszystkim rodzicom.

— Nasi rodzice nie wiedzą o tym włamaniu — wyznała Agnieszka — i Alinka też o niczym nie wiedziała.

— Oni zawsze przede mną mają jakieś tajemnice — poskarżyła się dziewczynka.

— Boże, która to godzina? — przeraziła się nagle Agnieszka.

— Po pierwszej — stwierdził ponuro Artur.

— No to klops! — jęknęła. — Mama już przysłała i będzie się gniewać, że nic nie przygotowane. Lecimy. A ty — powiedziała do chłopca — bądź spokojny, nie wydamy cię. I czekaj tu na nas.

Rozdział VI

Nowy A.B.C.

— Jak to dobrze, że nasza mama bywa czasem zupełnie nieprzytomna! — powiedział Artur.

Agnieszka oburzyła się.

?— Jak śmiesz tak mówić o rodzonej matce?!

— Ależ to prawda — bronił się Artur — mama, kiedy pracuje, obojętnieje na wszystko, co nie jest pracą. Widziałas przecież, wcale nie zwróciła uwagi na to, że spóźniliśmy się i że ziemniaki nie były nastawione.

— Całe szczęście — mruknęła Agnieszka — a zresztą nic wielkiego się nie stało, ugotowałam makaron zamiast ziemniaków. Podaj mi ten rondel i nie stój jak mumia. Wycieraj szybko naczynie, przecież mamy zanieść obiad temu chłopcu.

— Prawda!

— Ugotowałam więcej zupy i makaronu, a mięso tak podzieliłam, że została jeszcze jedna porcja — powiedziała Agnieszka układając suche już talerze i nakrycia w pudle.

— To dlatego czuję się niedojedzony — jęknął Artur.

— Ty zawsze jesteś niedojedzony! — zadrwiła Agnieszka. — A zresztą możesz „dojeść” chlebem.

54

— No chodźmy już, on przecież na nas czeka — zniecierpliwiła się Alinka.

— Nie przeszkadzaj :— zgromiła ją starsza siostra — pomóż nam, to będzie pędzej.

— A co mam robić?

— Czekaj — zamyśliła się Agnieszka — przecież nie będziemy maszerować z garnkami w ręku... Wiem! Wyjmij z tego pudła zupy w proszku, budynie i kisiele — rozkazała — włóż je do nylonowych woreczków, są w moim plecaku, w bocznej kieszeni.

Artur tymczasem zniknął w namiocie. Wyszedł zeń po chwili, niosąc mydło, ręcznik i koszulę.

— Trzeba by mu zanieść grzebień — powiedział — na pewno się nie cesał przez

cały ten czas.

— Weź mój — zaoferowała się Alinka.

' — A ty czym będziesz się czesać? — spytała Agnieszka.

— Twoim.

Agnieszka skrzywiła się. Bardzo nie lubiła spótek z Alinka. Ale trudno, chłopiec musi mieć grzebień.

— Słuchaj — zaniepokoił się Artur — przecież to wszystko będzie zimne, zanim dojdziemy na miejsce.

— Racja — zmartwiła się Agnieszka — ale co na to poradzimy?

— Wiem — ucieszył się Artur —? zaniemiemy mu kocher! Widzisz, jak dobrze zrobiłem biorąc go ze sobą? A ty się kłóciłaś, że niepotrzebny!

Pudło zostało szybko zapakowane. Zupa, makaron z mięsem, miseczka waniliowego budyniu, pół bochenka chleba, stoik dżemu i kawałek kiełbasy.

— Trzeba mu dać trochę herbaty i cukru, zagotuje sobie wodę na kocherze i będzie miał kolację — powiedział Artur.

Agnieszka dołożyła torebkę z cukrem i paczkę herbaty.

55

— Trzeba wziąć łyżkę i widelec — przypomniał sobie Artur — przecież nie będzie jadł palcami!

Nowe zmartwienie. A.B.C. posiadali tylko pięć nakryć, po jednym komplecie dla każdego.

— Trudno — powiedział Artur — jakoś sobie poradzimy, będziemy jeść na zmianę.

— Dobrze — zgodziła się bez entuzjazmu Agnieszka — a jakby mama coś zauważyła, to powiem, że zgubiliśmy łyżkę i widelec podczas mycia naczyń.

— Ty jednak jesteś niezły kłamczuch — pokręcił głową Artur — a jak ja czasem... coś tego, to zaraz trujesz mi głowę cały dzień!

— Ja przecież nigdy nie kłamię! — obraziła się Agnieszka. — Teraz muszę... dla wyższych celów.

— No dobra, dobra, chodźmy już, bo nam ten „wyższy” cel umrze z głodu. Ala, biegnij naprzód i gdyby ktoś szedł, to zawołaj. Nikt nas nie może widzieć.

Na szczęście olszynowy lasek był pusty, nikogo też nie spotkali na ścieżce biegnącej w poprzek stoku. Przed wejściem do lochu Artur zatrzymał się i wyjął z kieszeni latarkę elektryczną.

— Pamiętałeś o tym? Jak to dobrze — ucieszyła się Agnieszka — bardzo niemiło czuł się w ciemnościach.

— Ja zawsze o wszystkim pamiętam — powiedział wyniośle Artur.

— Z wyjątkiem tego, że uszy też trzeba myć od czasu do czasu — dogryzła mu siostra.

Artur zlekceważył złośliwą uwagę i znikł w otworze.

— Uważaj — syknął — rozlejesz zupę!

— No to jesteśmy — powiedziała wesoło Agnieszka — przynieśliśmy ci obiad...

56

— Gdzież on jest? — zaniepokoił się Artur. — Halo, chłopiec, odezwij się!

Obeszli całą piwnicę, oświetlając każdy kąt latarką. Loch był pusty, chłopiec zniknął.

— On pewno nie mógł wytrzymać z głodu i odszedł — jęknęła Alinka.

— Nigdzie nie mógł pójść, uspokój się, Alusiu —? powiedział Artur — przecież wszystkie jego rzeczy są na miejscu.

— Może zemdłał? — zaniepokoiła się Agnieszka.

Ali Baba, obwąchujący pilnie wszystkie kąty piwnicy, zatrzymał się nagle przed

ciemnym otworem umieszczonym dość wysoko nad ziemią, zawęszył gorliwie i szczerknął krótko, jakby chciał powiedzieć: „on jest tam”.

Artur wspiał się po wystających ceglach i oświetlił ciemną czeluść.

— (Słuchaj, jesteś tu? Przynieśliśmy ci obiad. Wracaj!

Dalekie echo odpowiedziało:

— acaj, acaj, acaj...

—? Tam jest korytarz — Artur zsunął się na ziemię bardzo podniecony — może loch ma połączenie z zamkiem? Agnieszka, musimy zbadać to przejście!

— Daj mi spokój — ofuknęła go siostra — gdzie ten chłopak się podział? Może stało mu się coś złego?

— Nic mi się nie stało, tu jestem — usłyszeli nad głowami szorstki głos.

Chłopiec zeskoczył na ziemię i patrzył na nich bez uśmiechu.

— Nareszcie! — ucieszyła się Agnieszka. — A myśmy już się bali, że odszedłeś stąd albo że przydarzyło ci się coś złego. Gdzieś chodził?

— Schowałem się — mruknął ponuro chłopak.

— Schowałeś się? Dlaczego?

57

— A skąd mogłem wiedzieć, czy przyjdziecie tutaj sami? Mogliście powiedzieć o mnie rodzicom.

—? Przecież obiecaliśmy ci, że nic nie powiemy — oburzył się Artur — nie wierzylesz nam?

— Nikomu nie wierzę — burknął chłopiec.

— Ale dlaczego? — nie ustępował Artur.

— Bo tak.

— Mniejsza o to — przerwała kłopotliwe pytania Agnieszka — masz tutaj obiad.

Umiesz się obchodzić z kocherem? Artur, pokaż mu.

Odgrzany na kocherze dbiad został spałaszowany w mgnieniu oka. Wyskrobując do czysta miseczkę z budyniem, chłopiec powiedział:

— Ale to było dobre! Już dawno nie jadłem prawdziwego obiadu — i po raz pierwszy uśmiechnął się.

Boże, jak ten chłopiec jadł! Ręka mu się trzęsła, rozlewał zupę po brodzie, po piersiach... Musiał być straszliwie wygłodzony.

— Tu są zapasy na kolację i na jutrzejsze śniadanie, tu koszula. Zdejm tę starą.

— Agnieszka usiłowała mówić swobodnie, ale coś dławilo ją w gardle.

— Tu masz ręcznik i mydło. Chodź do kąta, będę ci polewać ręce.

Prymitywne to było mycie, bez ciepłej wody, bez miednicy, ale Agnieszka i tak była zadowolona.

— Ależ z ciebie brudas! — zaśmiała się.

— Ty byś też była brudna na moim miejscu — powiedział chłopiec — i nie śmiej się ze mnie! — krzyknął zirytowany.

— Przepraszam — zmieszła się Agnieszka — nie chciałam ci zrobić przykrości...

— Gdybyście musieli nocować w polu albo w lesie, albo po cudzych piwnicach, też nie bylibyście tacy eleganccy!

58

— ?? gniewaj się — powiedziała cicho Agnieszka — przecież my ci chcemy pomóc...

— Mnie nikt nie może pomóc — odparł ponuro chłopiec i usiadłszy na posłaniu, ukrył twarz w dłoniach.

— Nazywam się Adam Cybiński — zaczął chłopiec i nagle przerwał słysząc trzy radosne okrzyki.

— Coś takiego! — zawołała Alinka.

— Nieprawdopodobne! — to Agnieszka.
— Co za zbieg okoliczności! — Artur.
— O co chodzi? — zdumiał się chłopiec. Alinka podskakiwała z emocji.
— A drugie imię? Jakie masz drugie imię? — spytała.
— Może Bolek, Broniek albo Bogdan? — pytał Artur.
— A może Bazyl albo Bartłomiej? — wtórowała mu Agnieszka.
— Zwariowaliście? Nie mam drugiego imienia! Nazywam się po prostu Adam.
Radość dzieci przygasła.
— Szkoda — zmarkotniała Alinka — byłbyś tak, jak i my A.B.C.
— Słuchajcie — powiedział Adam Cybiński wyraźnie speszony — jeśli imam wam opowiadać o sobie po to, żeby was zabawiać...
— Ależ nie, my ci wszystko wytłumaczymy, uspokój się.
I Artur szybko wyjaśnił, o co chodzi.
— No więc rozumiesz, my wszyscy mówimy o sobie A.B.C, i dlatego ucieszyliśmy się, że i ty będziesz należał do naszego klanu.
— Rozumiem — uśmiechnął się Adam — to rzeczywiście heca! Ale ja — posmutniał nagle — ja nie

59

mogę do was należeć. Brakuje mi przecież drugiego imienia na „B”.
— To drobiazg. Grunt, że jesteś Adam i że twoje nazwisko podobnie jak nasze zaczyna się na ? — uspokoiła go Agnieszka.
— Zresztą możemy ci nadać drugie imię, na przykład Bonifacy — zaproponował Artur.
— Eee, takie jakieś... — skrzywił się Adam.
— A jakby ci się podobało: Adam Bogumił? — spytała Agnieszka. — To stare, słowiańskie imię.
— Adam Bogumił? — zastanowił się chłopiec. — Dobra, niech będzie.
— No więc zaczynaj jeszcze raz od początku.
— Nazywam się Adam Cylbiński. Prawda! I Bogumił! Urodziłem się w Łodzi. Rodziców wcale nie pamiętam, zginęli oboje w wypadku kolejowym, kiedy miałem parę miesięcy. Wychowywałem się u babci. W zeszłym roku i babcia umarła. Właśnie kończyłem ósmą klasę...
— Czekaj — wtrąciła się Agnieszka — skończyłeś ósmą klasę w zeszłym roku? To ile ty masz lat?
— W grudniu skończę piętnaście.
Dzieci spojrzwały z niedowierzaniem na Adama. Był taki drobny i chudy, że dawały mu najwyżej trzynaście lat. Ale mniejsza z tym.
— I co zrobiłeś, kiedy babcia umarła? — spytała bardzo przejęta Alinka.
— Babcia długo chorowała i wiedziała, że umrze. Napisała do swego syna, a mojego wuja, żeby się mną zaopiekował. Wuj przyjechał, po pogrzebie zlikwidował mieszkanie, sprzedał wszystkie rzeczy po babci i zabrał mnie na wieś. Bo wuj ma gospodarstwo. Wcale nie chciałem z nim jechać, chciałem się uczyć! Miałem bardzo dobre stopnie i byłbym poszedł do ogólniaka, a potem na medycynę. Ale co miałem

60

zrobić! Prosiłem wujka, żeby mnie zostawił w Łodzi, byłem pewny, że dam sobie radę. Mój wychowawca obiecał, że postara mi się o internat i o stypendium. Ale wuj nie zgodził się. „Pobędziesz u mnie rok, odkarmisz się na wsi, a potem sam pošlę cię do liceum” — powiedział.
Wychowawca przyznał wujowi rację, tym bardziej że szedłem o pół roku za wcześnie,

i namówił mnie, żebym pojechał na rok na wieś. Byłem wątpy i chorowity, no to on mi tłumaczył, że wzmocnię się na wiejskim wikcie i powietrzu, a potem będzie mi łatwiej szła nauka. I że jeden rok przerwy to nic wielkiego, byłem powtarzał materiał. Uwierzyłem, a nawet byłem zadowolony. Nigdy nie mieszkałem na wsi, tyle co na koloniach. No i pojechaliśmy.

— I co? I co? — gorączkował się Artur.

— Okłamał mnie! Zamiast do liceum, wujek chciał mnie zapisać do szkoły rolniczej!

— Czekaj — wtrąciła Agnieszka — uspokój się. Przecież kiedy wuj zabierał cię na wieś, zostało postanowione, że przewiesz na rok naukę, bo jesteś wątpy i chorowity, prawda?

— Tak.

— No więc kiedy wuj miał cię zapisać do liceum, skoro sam mówiłeś, że to wszystko stało się w zeszłym roku?

— Wy nic nie rozumiecie — zaperzył się Adam. — Przez cały czas czekałem cierpliwie, ale kiedy na wiosnę wspomniałem wujkowi, że trzeba złożyć podanie o przyjęcie do szkoły, wysłać papiery i że będę musiał pojechać do Łodzi na egzamin, wuj zaczął kręcić. Mówił, żebym się zastanowił, że czeka mnie strasznie dużo nauki, że mogę nie podołać i żebym policzył, ile lat upłynie, zanim zostanę lekarzem.

— To prawda, miałbyś przed sobą cztery lata do

61

matury i chyba sześć lat studiów medycznych... — wtrąciła Agnieszka.

— Tak samo obliczył wujek — ciągnął dalej Adam — i tłumaczył, że szkoła rolnicza trwa tylko trzy lata, a potem już mógłbym razem z nim gospodarować, ale ja nie chcę. Zresztą nie macie pojęcia, jak ciężko tam ludzie pracują, nie na moje zdrowie. Dosyć się napatrzyłem. Od wiosny do jesieni trzeba wstawać o czwartej rano, czy święto, czy niedziela krowom, świniom, kurom trzeba dać jeść. Wodę musisz nosić ze studni, drzewo rąbać... Właściwie tylko w zimie jest trochę mniej roboty, tyle co koło gospodarstwa. I wuj, i ciotka prawie nigdy nie odpoczywali, nawet w niedzielę mieli zajęcie.

— To twój wujek sam gospodaruje? Nie ma żadnej pomocy? — odezwał się Artur.

— Żadnej — odparł ponuro Adam — mieli jednego syna, ale im umarł. A wujek nie jest już młody iw dodatku utyka na jedną nogę, bo był ranny na froncie.

— I ty im pomagałeś w gospodarstwie? — spytała Agnieszka.

— A jak myślisz? — odparł ze złością Adam. — Z początku niewiele potrafiłem pomóc, tyle że wodę nosiłem ze studni i zamiatałem podwórze. Jakoś głupio byłoby siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wujek i ciotka harują od rana do wieczora. Zresztą chciałem się im odwdziżyć. A potem, zaraz po żniwach, ciotka spadła z drabiny, złamała prawą nogę, a ja musiałem zająć się gospodarstwem. Wujek miał pilne roboty w polu, najpierw podorywki, potem kopanie ziemniaków, potem zbiórka buraków cukrowych. No to ja sam zacząłem obrządzać trzy krowy, świnie, kury, gęsi, sprzątałem, paliłem w piecu. Tyle tylko miałem pomocy, że sąsiadka przychodziła krowy wy-

62

doić i ciotka jedną ręką jaki taki obiad ugotowała. Cały dzień biegałem od jednej roboty do drugiej i ciągle nie mogłem zdążyć.

— No tak — mruknął Artur? — musiało ci być niewesoło. Dla kogoś nie przyzwyczajonego to naprawdę ciężka praca.

— No, ale przecież ciotka w końcu wyzdrowiała? — spytała Agnieszka.

— Wyzdrowiała — mruknął ponuro Adam — ale roboty wcale nie ubyło. A to dach na stodole zaczął przeciekać, a to płot trzeba było naprawić, a to chlewy na zimę opatrzyć. Musiałem we wszystkim pomagać wujkowi, tym bardziej że okazało się, że jestem „zmyślny”, jak powiedział wuj, i do każdej roboty się nadaję. .-.-

...

— No dobrze, rozumiem, że miałeś dużo pracy i że ta praca ci się nie podobała — powiedziała Agnieszka — ale właściwie dlaczego uciekłeś i dlaczego kryjesz się w tej dziurze?

— Mówiłem wam przecież, że chcę się uczyć! — krzyknął Adam. — Kiedy wujek zaczął mi odradzać pójście do liceum i namawiać, żebym został u niego na wsi, pomyślałem, że nie mam co liczyć na jego pomoc. I że sam sobie muszę pomóc. Więc postanowiłem, że ucieknę, pojadę do Łodzi, odszukam mego wychowawcę, tego, który obiecywał mi internat i stypendium, i jakoś sam dam sobie radę. Pierwszy raz uciekłem w połowę maja. Miałem trochę swoich pieniędzy, pojechałem autobusem do Ząbkowic, poszedłem na dworzec, kupiłem bilet do Łodzi, a ponieważ pociąg miał odejść dopiero za dwie godziny, wyszedłem do miasta. I nie do wiary! Zaraz na; pierwszej ulicy spotkałem, wujka... ;, :-

...,-

— A to pech! — westchnął Artur.,.....

^p Wybrałem taki dzień na ucieczkę, kiedy wujka

63

nie było w domu, pojechał po jakieś nasiona czy sadzonki. Ale nie wiedziałem, że właśnie do Ząbkowic. Wujek od razu wszystkiego się domyślił, bo miałem ze sobą walizkę, okropnie się rozgniewał, krzyczał, że jestem niewdzięczny, że nie mam serca, że on mnie przyjął jak rodzzonego syna, a ja mu płacę za chleb kamieniem. Tak właśnie powiedział.

Artur i Agnieszka spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Komu właściwie przyznać rację? Trudno przecież potępić Adama za jego zapał do nauki i piękne plany, a z drugiej strony, wujkowi nie można się dziwić, że chce zatrzymać chłopca na wsi, dać mu fachowe wykształcenie i zapewnić sobie następcę.

— No, a co było dalej? — spytał Artur odkładając na potem rozstrzygnięcie trudnego problemu.

—? Wróciłem z wujkiem do domu, co miałem robić. Potem była jeszcze jedna awantura, ciotka płakała i w rezultacie wujek obiecał, że wszystko się załatwi, że pójdę do liceum, wprawdzie nie do Łodzi, ale do Ząbkowic, bo to niedaleko i mógłbym dojeżdżać autobusem. Nawet byłem zadowolony, bo jednak przywiązałem się do ciotki i wujka przez ten rok, no i przecież nie mam żadnej innej rodziny...

— No i wujek nie dotrzymał obietnicy — domyśliła się Agnieszka.

— Nie dotrzymał. Z początku co dzień obiecywał, że pojedziemy do Ząbkowic, ale zawsze mu coś przeszkodziło. A to koń zachorował, a to jakaś pilna robota czekała, i tak zeszło do połowy czerwca. A jak zaczęły się sianokosy, już nie było mowy o liceum. Czekałem cierpliwie, ale w końcu zrozumiałem, że na nic moja cierpliwość. I że wuj może nawet posłałby mnie do liceum, ale zanim to załatwi, ja już będę za stary do szkoły. Dwudziestego trzeciego czerwca wuj i ciotka poszli na jakieś zebranie do gminy, a ja zostałem

64

sam w domu. Wyłamałem szufladę, w której wuj zamknął moje świadectwa i papiery (widać bał się, że ucieknę), wziąłem ze Spiżarni bochenek chleba, kawałek słoniny i ser, i... i zabrałem wujkowi sto złotych...

— Ukradłeś?! — przeraziła się Agnieszka.

— A co miałem robić? —? krzyknął prawie z płaczem Adam. — Swoje pieniądze wydałem na bilet i zmarnowały się, innych nie miałem, a przecież pieszo do Łodzi nie zaszedłbym. Zostawiłem swoje książki, ubranie, bieliznę, to więcej warte niż sto złotych. Zresztą zostawiłem list do wujostwa... napisałem, że bardzo dziękuję za wszystko, że przepraszam za uciezkę i za te zabrane pieniądze i żeby mnie nie szukali, bo za nic nie wrócę na wieś, a jak zostanę lekarzem, to wszystko im oddam.

— No tak, ale... — Artur znów nie wiedział, jak osądzić postępek Adama.

— Szedłem polami, omijałem wsie — ciągnął dalej Adam, nie chcąc widać powracać do sprawy pieniędzy — bałem się, że wujek będzie mnie szukać. Potem znalazłem wejście do tej piwnicy i postanowiłem przeczekać tu jakiś czas, póki wszystko nie ucichnie. Wyście mnie znaleźli i koniec na tym.

— I długo tu chcesz zostać? — spytała Agnieszka.

— Jeszcze parę dni. Potem pojedę do Łodzi.

— Teraz?! Przecież są wakacje. I tak nic nie załatwisz!

Adam spuścił głowę i milczał.

Agnieszka spojrzała z rozpaczą na Artura. Trzeba coś wymyślić! Nie mogą przecież zostawić tego chłopca swojemu losowi.

— Wiesz co — zaczął Artur — może jednak porozmawiamy o tobie z naszymi rodzicami...

— Nie! — krzyknął Adam zrywając się z posłania. — Jeśli piśnecie choć słówko, ucieknę!

5 — Niezwykle wakacje A.B.C.

65

— Ale przecież nie możesz tu siedzieć w nieskończoność! — rozgniewała się Agnieszka. Co za uparty chłopak!

— Daj spokój, Agnisiu — wtrącił pojednawczo Artur — jeśli Adam nie chce, żebyśmy powiedzieli o nim rodzicom, to trudno. Musimy sami znaleźć jakieś wyjście. Na razie będziemy ci codziennie przynosić jedzenie. I musisz wychodzić na powietrze, na słońce. Rozchorujesz się siedząc stale w tej piwnicy. A zresztą możemy wystawiać wartę.

— No dobrze — zgodził się niechętnie Adam? — prawdę mówiąc trochę mnie głowa boli. Wychodziłem tylko w nocy po wodę. A właściwie — powiedział nagle nie swoim głosem — dlaczego wy jesteście tacy dobrzy dla mnie? Przecież jestem obcy...

— Dobrzy? — zastanowiła się Agnieszka. — ...Eee nie zawracaj głowy, chodź lepiej na spacer!

Rozdział VII

Za dużo tych przypadków

Minęły trzy dni i nic nowego nie zaszło. Adam dalej mieszkał w swojej kryjówce, ale dzięki klanowi A.B.C. powodziło mu się coraz lepiej. Jadał teraz smacznie i obficie trzy razy dziennie, wysypiał się jak król pod ciepłym grubym kocem dostarczonym przez nowych przyjaciół i coraz śmielej i częściej wychodził razem z nimi na spacer, przekonawszy się, że okolica jest pusta i łatwiej natknąć się na zająca, przycupniętego pod krzakiem niż na człowieka.

Po wielu burzliwych dyskusjach udało się Agnieszce i Arturowi przekonać Adama, że jego podróż do Łodzi na razie nie ma sensu. Jest lipiec, wakacje, a więc szkoły i internaty zamknięte, wychowawca, na którego pomoc i opiekę Adam liczył, na pewno wyjechał na urlop.

— Co zrobisz sam w mieście, bez mieszkania, bez pieniędzy, bez pomocy? — gorączkował się Artur i zaproponował, by Adam został w swojej kryjówce aż do

końca wakacji.

— Póki my tu jesteśmy, nie zabraknie ci niczego — oświadczyła Agnieszka — a potem pomyślimy, co z tobą zrobić. Zechcesz — pojedziesz do Łodzi, a nie, możesz pojechać z nami do Wrocławia. Tam też są

S7

szkoły i internaty, a nasi rodzice na pewno zechcą ci pomóc. Ale wydaje mi się, że musisz jakoś zawiadomić wuja, że żyjesz. Przecież on się strasznie martwi o ciebie!

Adam przyznał jej rację i przyrzekł wysłać za ich pośrednictwem kartkę.

— Ale rodzicom nie mówcie nic o mnie — prosił — póki nie zorientujecie się, co sądzą o tej sprawie. Możecie przecież spytać ich tak sobie, teoretycznie, co zrobiliby w podobnym wypadku.

Zgodzono się więc, że o pobycie Adama w zamku nie należy na razie nikomu nic mówić. Artur jednak miał pewne wątpliwości.

— Wiesz co — powiedział do Agnieszki trzeciego dnia pod wieczór, kiedy wracali od Adama do obozu — nie jestem pewien, czy jeszcze długo uda się nam utrzymać tajemnicę. Wczoraj słyszałem, jak mama dziwiła się, że strasznie dużo chleba wychodzi, i biadała nad maleńkim kawałeczkiem kiełbasy. „Było dwa kilogramy, a zostało może dziesięć deka. Kiedy oni to zdążyli zjeść?”

— Ja też słyszałam — powiedziała ponuro Agnieszka — a co gorsza, dziś rano ojciec szukał czegoś w samochodzie i zauważył brak koców na siedzeniach.

Powiedział nawet o tym mamie, ale na szczęście mama przeglądała swoje notatki i nie zwróciła uwagi na słowa ojca, a tata zajął się czym innym i

zapomniał o kocach.

Rodzice byli już w obozie, ojciec dłubał coś w silniku Barnaby, matka rozrabiała ciasto na naleśniki.

— No, jesteście — ucieszyła się na widok dzieci — zrobię dziś pyszną kolację: naleśniki z malinami. Kupiłam od dozorca pełen dzbanek, już są przebrane, trzeba je tylko osłodzić. Agnieszko, wyjmij cukier ze skrzynki.

68

Agnieszka sięgnęła po puszkę, otworzyła ją i zmar-kotniała. W puszcze było może ćwierć kilograma cukru, a może jeszcze mniej. Do malin wystarczy, ale zabraknie do herbaty. Przecież nie mogli w piątkę zjeść trzech kilogramów cukru! Adamowi zanieśli najwyżej pół kilograma, sami zużyli kilogram, niech będzie nawet półtora, więc gdzie jest reszta?

— Alinko — powiedziała surowo starsza siostra — dawałaś psu cukier?

Mała poczerwieniała gwałtownie i zaczęła szurać nogą po ziemi, co było u niej oznaką zakłopotania.

69

— Nie... to znaczy... dałam mu raz.

— Nie kłam! — przerwała Agnieszka.

— No, może dałam mu dwa razy, może trzy... nic nie pamiętam, kiedy na mnie krzyczysz!

?— Nie krzyczę, ale z tobą naprawdę trudno wytrzymać! Wiesz doskonale, że psu nie wolno dawać cukru!

— Kiedy on lubi!

Płaczliwe tony w głosie Alinki zwróciły uwagę matki.

— Alinko — powiedziała, zsuwając z patelni ostatni smakowicie przyrumieniony

naleśnik — tak nie można. Ja wiem, że bardzo kochasz Ali Babę, ale okazuj mu uczucie w inny sposób. Wczoraj zauważyłam, że w błyskawicznym tempie zniknęła kiełbasa, pies na pewno zachoruje, jeśli będziesz go tak opychać!

— Kiełbasy mu nie dawałam, to oni... — oburzyła się Alinka i urwała nagle słysząc donośne syknięcie Artura.

— Papła, skarżypyta! — szepnęła Agnieszka.

— Zdaje się, Andrzeju, że dzieci mają coraz lepszy apetyt —? powiedziała z zadowoleniem matka.

— Mówiłem ci, że pobyt tutaj dobrze im zrobi — odparł ojciec —? a zresztą, nie ma o czym mówić. Aga-pit już naprawiony, jutro pojedę do Kłodzka i przywiozę cukru, kiełbasy, chleba... Spisz mi na kartce jadalne braki.

Artur otarł pot z czoła, jeszcze raz mieli szczęście. A z Alinką trzeba będzie pogadać. Nieznośny smarkacz!

*

— Nareszcie! Nie mogłem się was doczekać! Wbrew zwyczajowi Adam czekał na trójkę A.B.C.

nie w swojej kryjówce, lecz na zewnątrz, pod krzakiem leszczyny.

70

— Pewno bardzo zgłodniałeś — zmartwiła się Agnieszka.

— Skądże — machnął ręką Adam — mam jeszcze sporo zapasów.

— Stało się coś? — spytał bardziej domyślny Artur.

— Tak. Ale chodźmy do lochu. Tu nas może ktoś usłyszeć.

Artur rozejrzał się niespokojnie.

— Przecież nikogo nie ma — stwierdził.

—? Nigdy nic nie wiadomo — szepnął tajemniczo Adam.

Zaintrygowane rodzeństwo podążyło posłusznie za chłopcem.

—: No mówże wreszcie, co się stało — zniecierpliwiła się Agnieszka.

Ale Adam nie spieszył się. Znalazł świecę, zapalił ją i dopiero wtedy wyjął z kieszeni długi, wąski pas materiału.

— Poznajecie to? — spytał.

— Nie... — odparła niepewnie Agnieszka.

— Czekał, czekał... — zastanowił się Artur — ja już gdzieś widziałem ten materiał...

— Pewno, że widziałeś — zaśmiał się z wyższością Adam — przecież to jest pasek od płaszcza znalezionego przeze mnie w lesie, w dziupli! Od tego samego płaszcza, z którego wasz pies wyszarpał kawałek materiału!

— Racja! — krzyknął Artur. — Ależ z nas gapy!

— No więc co z tego? — spytała obojętnie Agnieszka.

— To z tego, że pasek znalazłem dziś rano w krzakach, niedaleko wejścia do mojej kryjówki!

— Niemożliwe! — zdumiał się Artur. — Jesteś pewien, że płaszcz był bez paska? ,

— Oczywiście, jestem pewien.

— No dobrze — ziewnęła Agnieszka — ale nie ro-

71

zumiem, o co ci chodzi? Ktoś zgubił pasek, a ty robisz z tego wielkie historie!

— Nie, jaka ty jesteś niedomyślna, naprawdę! — oburzył się Adam. — Nie rozumiesz, że to nie może być przypadek?!

Artur zerwał się nagle, przewracając świecę, która zgasła.

— Agnieszko — powiedział zduszonym głosem — ' on ma rację! Za dużo tych

przypadków... to jest podejrzana sprawa. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem!
Agnieszka wzruszyła ramionami.

Artur był naprawdę wściekły. Co za gapa z tej Agnieszki!

— Posłuchaj — powiedział — czy nie pomyślałaś o tym, jakim cudem płaszcz człowieka, który włamał się do naszego mieszkania we Wrocławiu, zawędrował aż tu, w pobliże zamku?!

Agnieszka otworzyła szeroko oczy i usta. Nie wyglądało to zbyt inteligentnie, natomiast znakomicie odzwierciedlało stan umysłu dziewczynki — zdumienie i zaskoczenie.

— No, co powiesz teraz? — spytał chełpliwie Artur.

— Rzeczywiście — Agnieszka odzyskała mowę — skąd ten płaszcz tu się znalazł? A teraz znowu pasek?

— Wydaje mi się, że jest tylko jedno wyjaśnienie — w głosie Adama można było wyczuć nutę wyższości. Ostatecznie to on zwrócił uwagę na niecodzienny splot przypadków, a nie A.B.C.

— Jakie?

— Człowiek, który się włamał do waszego mieszkania we Wrocławiu, przyjechał za wami aż tutaj, do Czarnego Stoku. I ten człowiek nadal tu przebywa.

— Skąd wiesz? — spytała Agnieszka z trwogą.

72

- Przecież zgubił pasek — odparł ze zniecierpliwieniem Adam.

— To żaden dowód — zaoponowała Agnieszka. — Płaszcz znalazłeś przed tygodniem czy nawet wcześniej, więc skąd możesz wiedzieć, kiedy został zgubiony pasek?

— Dziewczyno, porusz trochę mózgowicę, przyjrzyj się uważnie temu paskowi!

— Już się przyjrzałam i co z tego? — zachnęła się Agnieszka.

— Patrzyłaś, ale nic nie widziałaś! — zirytował się Adam. — Popatrzcie jeszcze raz. Pasek jest czysty i suchy, tak czy nie?

— No tak.

— A wczoraj rano padał deszcz, prawda? I to porządny.

— Padał.

— No więc gdyby pasek leżał w krzakach dłużej niż od wczorajszego popołudnia, byłby mokry i obłocony!

Agnieszka spojrzała z uznaniem na Adama. Bystry chłopak, to mu trzeba przyznać.

— No więc co to może znaczyć? — spytał całkiem już pokonany Artur.

— To znaczy, że ten człowiek kręci się w pobliżu zamku, że był tu nie dalej niż wczoraj, a może nawet dzisiaj rano. To mi się zaczyna nie podobać. Po co tu przyjechał, czego chce?

— On chyba czegoś szuka!... ? — zaryzykowała Agnieszka.

— Ale czego? — spytali równocześnie Artur i Adam. Zaległo milczenie. Wszystkim zrobiło się nagle jakoś

niewyraźnie. Co za historia!. Włamanie, tajemniczy człowiek w zielonym płaszczu, zgubiony pasek... Był tutaj wczoraj albo dziś rano... A może i teraz siedzi

Ti

ukryty w jakiejś szczelinie i śledzi... Ale kogo? I dlaczego?

— Chodźmy stąd — powiedziała cichym głosem Agnieszka — tu jest tak jakoś dziwnie...

Chłopcy skwapliwie przyznali jej rację. Sklepione mury, cienie zalegające kąty lochu, krwisty odbłask świecy na ścianach, wszystko to w połączeniu z osobą tajemniczego człowieka w zielonym płaszczu stwarzało niemiłą nastrój.

Z ulgą wyszli na słońce.

— Jedno jest pewne — powiedział Artur przyciszonym głosem — to nie jest zwykły włamywacz! Gdyby po prostu chciał okraść dom, nie przyjeżdżałby za nami do Czarnego Stoku.

— I ja tak sędę — skinął głową Adam. Nagle poruszył się niespokojnie i spytał:

— Gdzie jest wasza siostrzyczka? Nie przyszła z wami?

—? Nie — odparła Agnieszka — obraziła się i została w obozie.

— Nie powinniście teraz zostawiać jej samej. To przecież jeszcze małe dziecko...

— Została z Ali Babą. Pies ją zawsze obroni. Artur zerwał się gwałtownie.

— Agnieszko! — krzyknął. — Ali Baba pojechał z ojcem do miasta.

— Na pewno?

— Ależ tak! Widziałem, jak wskoczył na tylne siedzenie i tata żadnym sposobem nie mógł go wysadzić. Wiesz, jak Ali lubi jeździć Agapitem.

— Wracajcie do obozu — powiedział stanowczo Adam — nie podoba mi się to wszystko.

— Oczywiście, wracamy — zgodziła się niechętnie Agnieszka — ale właśnie dziś mieliśmy przeszukać lochy, przynieśliśmy dwie latarki, sznur...

74

Agnieszka oddycha z ulgą, widząc z daleka kolorowe płótna namiotów. Zaraz przekonają się, że wszystko jest w porządku, i wrócą do Adama.

— Alinko! — krzyczy Artur. — Hop! Hop! Ala! Odpowiada im cisza. Obóz jest pusty.

— Może schowała się w namiocie — mówi drżącym głosem Agnieszka. Nie, w namiotach nie ma nikogo.

— Słuchaj, właściwie dlaczego myśmy się tak przestraszyli? — pyta po chwili. —

Na pewno poszła do mamy, do zamku, poskarżyć się na nas. Albo na południowy stok, na poziomki. A Adam zaraz wpadł w panikę!

— Patrz — szepnął nagle Artur — tu ktoś był... Agnieszka spojrzała i zbladła.

Plecak Artura był otwarty, a jego zawartość leżała na materacach.

— Brakuje kompasu — powiedział Artur, przejrawszy pobieżnie rozrzucone rzeczy.

— I mojej latarki! — krzyknęła Agnieszka włożywszy rękę w kieszeń umieszczoną na bocznej ścianie namiotu.

— Agnieszko, to straszne — wykrztusił Adam — on tu był!

— Kto?!

— On, właściciel zielonego płaszcza!

Rozdział VIII

Alinka na tropie

Alinka była obrażona na cały świat. Brat i siostra zrobili jej okropną awanturę z powodu głupiego cukru, nazwali skarżypyta, głuptasem i gadułą, mama nie pozwoliła iść ze sobą do zamku —? „nałykasz się kurzu i w ogóle będziesz tylko przeszkadzać” — tata spieszył się i nie chciał jej zabrać do miasteczka (była jeszcze nie umyta i nie ubrana, gdy Agapit ruszył w drogę), nawet Ali Baba, wierny i niezawodny przyjaciel, zdradził ją bezwstydnie: wybrał przejażdżkę z panem, choć prosiła go, by został.

Alinka, zła i rozgoryczona, odmówiła udziału w codziennej wyprawie do kryjówki Adama i została sama w obozie.

Z początku nie nudziła się. Wyjęła ze swego plecaczka wszystkie skarby przywiezione z domu i obejrzała je jeszcze raz.

Najbardziej cieszyła ją kolekcja różnobarwnych guzików. Bardzo lubiła je układać w rozmaity sposób, według kolorów, według wielkości, w kwadraty, koła, gwiazdy. Dziś jednak szybko znudziła ją zabawa, tym bardziej że składany stolik kiwał się

trochę, guziki zsuwały się z jego śliskiej powierzchni, a kilka najładniej-

76

szych okazów wpadło w gęstą trawę i nie mogła ich odnaleźć.

Spakowała swój plecak, odniosła go do namiotu i usiadłszy na materacu, popłakała sobie troszeczkę. Ze złości, z nudów, z żalu, że jest taka mała i wszyscy jej robią na złość. Wtem wzrok jej padł na plecak Artura.

„Obejrzę sobie jego rzeczy — pomyślała — nigdy mi nie pozwala dotknąć plecaka. Pooglądam, a potem poukładam wszystko porządnie i Artur wcale się nie domyśli, że ruszałam jego rzeczy”.

Ale zawartość plecaka mocno ją rozczarowała. Prawdę mówiąc nic w nim nie było nadzwyczajnego: farby i pędzle, ołówki i kredki, jakieś sznurki, druty, śrubki.

Nie warto było rozpakowywać tych rupieci. Nagle w bocznej kieszeni plecaka namacała jakieś pudełko.

„Aha — przypomniała sobie patrząc na okrągły, metalowy przedmiot ze wskazówką poruszającą się pod szklanym wieczkiem — to jest ten... no, jakże Artur nazwał to pudełko... kon... kom... kompas! Mówił, że wskazówka pokazuje miejsce, w którym są ukryte cukierki! Eee, pewno mnie nabierał! Ale... zaraz” — poruszyła pudełkiem, wskazówka drgnęła i obróciła się wyraźnie w kierunku plecaka Agnieszki. Zaciekawiona Alinka sięgnęła do bocznej kieszeni, zgodnie z tym, co mówiła wskazówka.

— Coś takiego! — Alinka poczerwieniała z zachwytu. — Więc to jednak prawda! Pod palcami zaszleściło celofanowe opakowanie. Wczoraj wieczór mama dała wszystkim po paczce pierników w czekoladzie. Alinka i Artur zjedli wszystkie pierniki po kolacji, Agnieszka widać schowała sobie „na potem”.

77

Alinka przeżyła chwilę rozterki — zjeść znaleziony piernik czy zostawić? Eee, lepiej nie ruszać, Agnieszka zrobi jej okropną awanturę. A skoro ma w ręce taki cudowny przyrząd, znajdzie sobie przy jego pomocy tyle cukierków i czekoladek, ile zechce! Włożyła piernikowe serca na miejsce, odstawiła plecak. Znow opadły ją wątpliwości. Igła wskazała pierniki, to prawda, ale Agnieszka je tam schowała. Przecież cukierki nie rosną ani w ziemi, ani na drzewach. Cukierki robi się w fabryce, a pierniki w piekarni...

Zaraz... zaraz... mama kiedyś opowiadała, że pierniki robiono w Polsce bardzo dawno temu i że ciasto stało w beczkach, długo, pięćdziesiąt lat albo i więcej... Więc może w takim starym zamku stoją gdzieś zapomniane beczki z piernikowym ciastem?

Mama mówiła, że piernik im starszy, tym lepszy. I rzeczywiście. Alinka raz skosztowała świeżo upieczony piernik, był bardzo twardy. Mama owinęła go w pergamin, schowała do spiżarki, a po dwóch tygodniach rozpuływał się w ustach... „Świetnie — myśli Alinka — poszukam pierników. Ale jeśli znajdę, nie dam nikomu, co najwyżej Ali Babie... i mamie, i tacie” — dorzuca po namyśle.

Wychodzi z namiotu, ale po chwili zawraca. A jeśli pierniki leżą gdzieś w lochu?

Będzie potrzebna latarka... zaraz, zdaje się, że Agnieszka ma taką malutką, kieszonkową... Jest!

Nie troszcząc się o pozostawiony bałagan, Alinka wyszła z namiotu. Z wzrokiem wbitym w cudowne pudełko, trzymane w ręku, idzie wytrwale przed siebie, wciąż w kierunku wskazywanym przez drgającą strzałkę. Wyszła poza obóz, już jest na ścieżce prowadzącej do zamku. Ścieżka wspina się stromo pod górę, Alinka nie zważa na to, idzie przed siebie. Nagle strzałka zmienia kierunek. Trzeba zejść z udeptanej

ścieżki. Nic nie szkodzi. Alinka wspina się po kamieniach, sapie, dyszy, jest już trochę zmęczona. Ale to nieważne, później sobie odpocznie, kiedy znajdzie beczki z piernikami. Agnieszka i Artur zrobią taakie oczy! Eee, ta strzałka mogłaby wybrać jakąś łatwiejszą drogę! Czy koniecznie trzeba się przedzierać przez zarośla? No, trudno.

A zresztą zamek już niedaleko, Alinka widzi nad głową szary, poszczerbiony mur. Daje nura w gęste chaszczce. Oj, ile tu kolców, trzeba uważać na sukienkę.

Coś zaszeleściło, Alinka podskoczyła upuszczając kompas. To tylko żaba. A wskazówka wciąż pokazuje ten sam kierunek — pod górę.

Trudno, skoro się coś postanowiło, trzeba wytrwać. Alinka podniosła upuszczony kompas i ruszyła przed siebie. Zarośla są coraz gęstsze, coraz trudniej przedzierać się przez nie. Alinka odsuwa zagrządzającą jej drogę gałąź leszczyny i nagle aż przystaje ze zdumienia.

Co za cudowne pudełeczko! Pokazało jej drogę do lochów! Obrośnięty krzakami tarniny, jałowca, leszczyny widnieje u podnóża zamkowego muru ciemny otwór. W głąb prowadzą wyszczerbione, nierówne schodki. Otwór wygląda jak jakaś bardzo stara, zniszczona brama. Na ceglany łuku, porośniętym mchem i trawą zasianą przez wiatr, widnieje kamienna tarcza z resztkami jakiegoś herbu czy napisu.

Alinka wsuwa głowę w ciemną czeluść. Wieje stamtąd chłód i piwniczny zgniły zapach. Trzeba poświecić latarką. O, są schody, i to wcale wygodne...

Alinka rozgląda się bezradnie. Iść czy nie iść? A może lepiej zaczekać i pokazać odkryte wejście rodzeństwu? Agnieszka mówiła, że pójdą zbadać podziemia... zawsze razem byłoby raźniej. Nie, nie, nie będzie mazgajem, pokaże im, że wcale nie jest taka mała i głupia!

Alinka odważnie schodzi schodkami w dół. Stożek światła wydobywa z mroku schody. Jest ich kilka, potem zaczyna się korytarz. O, jakie wysokie sklepienie, zupełnie jak w kryjówce Adama. I powietrze lepsze, nie takie stęchłe...

Korytarz rozszerza się, Alinka wchodzi do okrągłej piwnicy. Pełno w niej gruzu, cegieł, ogromnie utrudniających marsz.

No, strzałko, pokazuj drogę. Prosto? Dobrze, pójdziemy prosto. Korytarz zwęża się, trzeba bardzo uważać, patrzeć pod nogi, by nie potknąć się na kamieniu lub nie wpaść w dziurę. Uwaga, strzałka zmienia kierunek. No, cóż ty, moja droga, przecież tu jest mur, jakże mogę skrócić w prawo? Oo, jednak strzałka miała rację, tu jest jakiś boczny korytarz.

Alinka śmiało zapuszcza się w ciemność. Boczny korytarz ma około pięciu metrów długości, a na jego końcu znajduje się małe czworokątne pomieszczenie, z którego nie ma drugiego wyjścia. Alinka siada na przyłbie kamieni i uważnie patrzy na kompas. Strzałka wyraźnie ustawiła się w kierunku muru.

„Może tam jest jakiś schowek z piernikami?” — Ala usiłuje sobie wytłumaczyć dziwne zachowanie tak rozsądnej dotychczas strzałki. Oświetla dokładnie każdą ścianę. Na jednej z nich widnieje kamienna tablica z wyrytym dość niezdarne łbem końskim. Poniżej znajduje się jakiś napis i choć Alinka zna już wiele liter, nic z tego napisu nie może zrozumieć. Później są jeszcze cztery cyfry 1 — 8 — 0 — 5.

Ejże, czemu latarka tak słabo świeci? Z żarówki już nie tryska jasna smuga, na ścianie rysuje się błądy żółty krążek. Alinka zrywa się. Trzeba wracać, latarka niedługo zgaśnie, widocznie wyczerpała się bateria. Na myśl, że może zostać w podziemiach bez światła, dziewczynka czuje zimny dreszcz.

„Nie ma się czego bać — pociesza samą siebie — trafię nawet po ciemku, przecież szłam korytarzem przez cały czas prosto!” Ale strach zrobił swoje. Alinka zapomniała, że idąc tutaj skręciła w prawo, wracając więc, powinna skręcić w lewo. Biegnie w przeciwną stronę. Latarka daje coraz mniej światła, a droga nie kończy się. Mała potyka się w ciemnościach, kilka razy boleśnie uderzyła łokciem o twardą ścianę. Gdzież jest to wyjście, już dawno powinna zobaczyć światło dzienne!

— Mamo — płacze Alinka —? mamusiu!

Boi się okropnie, ale biegnie dalej, oddalając się coraz bardziej od miejsca, w którym weszła do lochów.

Nie zwraca teraz uwagi na to, że korytarz skręca raz w prawo, raz w lewo, że schody prowadzą to w górę, to w dół, że po prostu idzie inną drogą niż ta, którą przyszła.

Nareszcie! Alinka oddycha z ulgą, w oddali majaczy wątła smuga światła. Jeszcze kilkanaście kroków i zobaczy niebo, słońce, drzewa...

Nie ma słońca, nie ma drzew, jest duże puste pomieszczenie z otworem znajdującym się wysoko pod sufitem. Tamtędy właśnie przedostaje się do lochu dzienne światło.

Alinka siada na ziemi i wybucha płaczem. Dość długo była odważna i dzielna, teraz ryczy na cały głos, przywołuje mamę, ojca, Agnieszkę, Alego.

Po dłuższej chwili uspokaja się. Płacz nie pomoże, będzie krzyczeć z całej siły, wzywać ratunku, ktoś przecież ją usłyszy i znajdzie. Inaczej umrze tu z głodu i pragnienia. Alinka wstaje i zbliża się do źródła światła. Już otwiera usta, by zacząć wzywać pomocy, gdy nagle słyszy jakieś głosy. Ktoś rozmawia całkiem blisko, chyba tuż za ścianą. Alinka przykładą ucho do muru, ale nie słyszy nic.

Dopiero po chwili znajduje

8 — Niezwykle wakacje A.B.C.

81

nieduży otwór w ścianie. To stamtąd dochodzą wyraźne odgłosy rozmowy.

Alinka słucha i oczy rozszerzają się jej ze zdumienia.

— I co teraz zrobimy, Agnieszko? — spytał Artur. Głos mu drżał, chłopiec był blady i przejęty. Nie

mniej przejęta była Agnieszka. No, bo jakże? Już minęły dwie godziny, odkąd spostrzegli nieobecność Alinki, przeszukali całą okolicę, zarośla, byli nawet w dość odległym lesie — bez skutku! Alinka zniknęła.

— Trzeba będzie powiedzieć mamie — wyjąkała Agnieszka drżącym głosem — a zresztą może już niedługo przyjedzie ojciec z Alim. Pies ją wytropi, na pewno!

— Wobec tego zczekajmy na ojca — poddał projekt Artur — mama nic nie pomoże, tylko zdenerwuje się okropnie.

Agnieszka zaprotestowała energicznie. Nie mogą siedzieć beczynn timer czekać z założonymi rękami! Może małej coś się stało? Może wpadła do jakiegoś lochu i zraniła się, złamała rękę lub nogę? A może...

Agnieszka zerwała Się na równe nogi.

— Artur — wykrztusiła blada z trwogi. — A może ona utonęła?!

— Oszalałaś?! W tym potoczku?

— Za tamą jest głębiej, jeśli potknęła się i upadła... Artur bez słowa skoczył do namiotu. Po chwili wyszedł trzymając w ręku kostium kąpielowy Alinki.

— Nie poszła się kąpać — powiedział. Agnieszka odetchnęła z ulgą.

W tej chwili usłyszeli gwizd. Ktoś wyraźnie dawał sygnały powtarzając na przemian raz długie, raz krótkie gwizdnięcia.

— Ktoś tu idzie — powiedział Artur.

82

Sygnal nie ustawał.

— Idź, zobacz, kto to •—? poprosiła Agnieszka. Artur skoczył za namiot i po chwili wrócił prowadząc Adama.

— To ty? —? zdumiała się Agnieszka. — Nie bałeś się tu przyjść? Co się stało?

Adam, czerwony i zdyszany, wykrztusił z trudem:

— Chodźcie szybko, w podziemiach słycać płacz. Zdaje się, że to wasza siostra! Pobiegli pędem. Po drodze Adam opowiadał:

— Chodziłem po stoku i rozglądałem się za Alinka. Wtem wydało mi się, że ktoś idzie, więc uciekłem do mojej kryjówki i schowałem się w tym korytarzu, który mieliśmy dziś zbadać. I wtedy usłyszałem płacz. Byłbym sam poszedł, ale zabraliście obie latarki, a moja świeca już się kończy. Więc pobiegłem po was.

— Szybko, Agnieszko, biegiem! — krzyknął Artur.

— Żeby tylko nic złego się nie stało — dyszy Agnieszka.

— Po kiego licha wlaźła do podziemi? — złości się Artur. — I którądy się tam dostała? Może przez twoją kryjówkę?

— Wykluczone! Byłem cały czas w pobliżu, byłbym ją zauważył? — odpowiada Adam. Nareszcie kryjówka Adama. Chłopiec zgrabnie wspina się po wystających ceglach, podaje rękę Agnieszce, Artur radzi sobie bez jego pomocy. Przed nimi ciemny, zięjący chłodem korytarz.

— Agnieszko, zgaś latarkę — syknął Artur — wystarczy jedna, trzeba oszczędzać baterie.

Idący przodem Adam zatrzymał się.

— Słuchajcie! — syknął.

Tak, nie ulega wątpliwości! Słycać płacz, daleki i stłumiony, ale wyraźny.

6*

83

— Hop! Hop! Alusiu! — woła Agnieszka.

Mury odpowiadają dudniącym echem, głos rozplywa się i ginie gdzieś w ciemnościach.

— Idziemy! —? komenderuje Artur.

Ruszają szybkim krokiem, nad słuchując uważnie.

— Przestała płakać — mówi Agnieszka. — Jakże ją teraz znajdziemy? — dodaje zaniepokojona.

— Uwaga — woła Adam — schylcie głowy! Przejście jest niziutkie, nie wystarczy pochylić się, trzeba pełznąć na czworakach. Gruz zalegający korytarz boleśnie rani dłonie i kolana.

Ale to drobiazg, nikt nie zwraca uwagi na niewygodną drogę, na ból.

Korytarz rozszerza się, można wyprostować plecy.

— Znowu płacze — mówi Adam zatrzymując się.

— Nie, woła coś — nad słuchuje Agnieszka.

— Słyszałem wyraźnie: „mamo” — mówi Artur. — Biedna Alinka, sama, zabłąkana, w tych podziemiach.

— Hop! Hop! Alusiu, odezwij się! — krzyczy na wpół z płaczem Agnieszka.

Cisza. I nagle... wszyscy usłyszeli wyraźnie głos Alinki.

— Tu jestem, chodźcie do mnie, prędko, prędko!

— To już całkiem blisko — ucieszył się Artur — idziemy w dobrym kierunku. Dysząc i potykając się, biegli teraz w milczeniu. Wołanie Alinki powtarzało się

raz po raz.

— Tam jest światło! — krzyknęła nagle Agnieszka i zatrzymała się.

Artur zgasił latarkę, w ciemności zamajaczył jasny prostokąt. Kilkomna skokami znaleźli się przy nim.

— O rany — szepnął Artur — to jest wyjście z lochów! Gdzie my jesteśmy? Wypelzli kolejno na zewnątrz, rozejrzeli się.

81

— Jesteśmy na zewnętrznym dziedzińcu zamku — powiedziała Agnieszka. Popatrzyli na Siebie z przerażeniem. A więc korytarz, którym szli, nie prowadził do Alinki. Przeszli z jednego krańca zamkowego wzgórza na drugie. Co teraz będzie?

—? Wracamy — rozkazała Agnieszka — widać nie zauważyliśmy jakiegoś bocznego przejścia.

— Cicho! —? syknął Adam.

Wszyscy wytężyli słuch. Gdzieś daleko, jakby spod ziemi, doleciało ich stłumione wołanie.

— Hop! Hop! Agnieszko!

— Tu musi być drugie wejście! — krzyknął Artur.— Szukajmy.

Rozbiegli się po dziedzińcu, zaglądali pod każdy kamień, buszowali w zaroślach.

Stracili już nadzieję, gdy Adam krzyknął:

— Chodźcie tu!

Rzucili się ku niemu. Chłopiec mocował się z kamienną płytą, opatrzoną żelaznym, zardzewiałym uchwytem. Płyta przykrywała niedokładnie coś w rodzaju włazu, zostawiając szparę na szerokość dwóch dłoni.

Agnieszka pochyliła się nad szparą.

— Alusiu, jesteś tam? — zawołała.

— Jestem — usłyszeli cienki głosik — chodźcie, prędzej, boję się być sama!

— Zaraz, zaraz, bądź dzielną dziewczynką, to już niedługo potrwa — Agnieszka pocieszała siostrę, ale miała zrozpaczoną minę.

Jak dostać się do małej, która siedzi na dnie studni czy czegoś w tym rodzaju?

Tymczasem Artur razem z Adamem zdołali podważyć płytę i usunąć ją na bok.

Nachyleni nad otworem, zobaczyli drobną figurkę przycupniętą pod murem.

85

— Trzeba po nią zejść — zawyrokował Artur. Agnieszka była bliska płaczu.

Gładkie ściany i ze

sześć metrów głębokości!

— Sznury! — krzyknął Adam. — Macie sznury?

— Zostały w obozie! Już lecę! — Artur zniknął, jakby zdmuchnięty wiatrem.

Agnieszka, pochylona nad otworem, pocieszała płaczącą siostrę.

—? Alusiu, uspokój się, zaraz cię stąd wyciągniemy. Nie płacz, jeszcze tylko kilka minut.

— Jestem głodna — płakała Alinka — i zimno mi, ja chcę do mamy!

— Nie rycz! — rozgniewała się Agnieszka. — Po co wlaźłaś do podziemi?

— Po... po pierniki •—• wyszłochała Alinka. Agnieszka z niepokojem spojrzała na Adama. Co ta

mała plecie? W głowie się jej pomieszało ze strachu? Skąd tu pierniki?! Ale nie było czasu na zastanawianie się nad dziwną odpowiedzią siostry, bo właśnie wrócił Artur ze zwój eon mocnej cienkiej liny.

—? Wziąłem też dwa ręczniki, podłożymy je pod sznur, żeby nie gniótł Alinki pod pachami, kiedy będziemy ją wciągać — powiedział Artur.

— Słuchaj — Adam przytrzymał rękę Artura, który już zabierał się do spuszczenia sznura — myślisz, że taka mała dziewczynka potrafi obwiązać się sznurem tak, żeby można ją było bez ryzyka wyciągnąć? A jeśli węzeł nie wytrzyma i ona spadnie?

— No, więc co robić!?

— Jeden z nas musi spuścić się do lochu, może ja... jestem lżejszy od ciebie i łatwiej wam będzie mnie wyciągnąć z powrotem.

— Dobra.

Adam został mocno obwiązany sznurem pod pachami, Agnieszka i Artur chwycili linę i jazda!

86

— No, jak tam? — krzyknął Artur czując, że napięcie ustąpiło i lina zwisa całkiem luźno.

— W porządku — odkrzyknął Adam — już ją wysyłam do was na górę. Chwila oczekiwania i wreszcie usłyszeli głos Adama:

— Ciągnij!

Ostrożnie, kawałek po kawałku, przesuwali linę

87

w dłoniach, uważając, by szarpnięciem nie narazić Alinki na uderzenie o ścianę. Jeszcze dwa metry, jeszcze metr, w otworze ukazuje się głowa Alinki, ramiona, ręce. Agnieszka chwyta małą i stawia na ziemi.

— Alusiu, aleś nam napędziła strachu! Jak ty wyglądasz, moje biedactwo! I sukienka w strzępach!

— Później ją obejrzysz. Odwiążuj sznur, trzeba wciągnąć Adama.

Z chłopcem poszło łatwiej, bo chociaż cięższy od Alinki, był zręczny, wygimnastykowany i pomagał dzieciom podciągając się sam w górę.

— No to po zmartwieniu — odetchnął z całego serca Artur — teraz biegiem do namiotu, trzeba ją umyć i przebrać, zanim rodzice wrócą do obozu.

Alinka, bezpieczna, rozpromieniona, przytulona do ramienia siostry, uśmiecha się triumfalnie i mówi:

— A ja coś wiem! Ja coś słyszałam!

— Co takiego?

Alinka robi tajemniczą minę.

— Tam na dole byli jacyś ludzie i rozmawiali. I ja wszystko słyszałam, i teraz już wiem, co zabrali z naszego mieszkania.

— Co takiego?!

— Alinko, co ty pleciesz!

— Wcale nie plotę — obraziła się mała — słyszałam dobrze. Jeden powiedział: „Ty, durniu, po to się włamałeś do mieszkania Ciekońskich? Przecież to nie ten plan!”

A drugi odpowiedział: „Skąd mogłem wiedzieć, że są dwa plany?”

— Dwa plany? Co to ma znaczyć, Agnieszko? — spytał ogromnie podniecony Artur.

— Nic nie rozumiem? — odparła starsza siostra. — Na pewno dobrze słyszałaś, Alinko?

— Słyszałam wyraźnie. Przez taką rurę w ścianie.

88

— Nadzwyczajna historia! — rozpromienił się Adam. — Zupełnie jak w kinie! Agnieszka otrząsnęła się ze zdumienia. Teraz nie czas na rozwiązywanie zagadek.

Trzeba umyć i przebrać Alinkę.

— Dzieci, biegiem do obozu — zakomenderowała — dochodzi pierwsza, mama lada chwila skończy robotę. A ty — zwróciła się do Adama — wracaj do siebie, zaraz po

obiedzie pogadamy.

— Dobra.

— I dziękujemy ci! — krzyknął Artur za znikającym w krzakach Adamem.

Rozdział IX

Niespodziewani goście

— To są właśnie moje dzieci, panie redaktorze — powiedziała mama wskazując zajętą nakrywaniem do stołu trójkę —? jak pan widzi, nieźle sobie radzą.

Wysoki młody człowiek w dżinsach i sportowej koszuli zdjął z ramion ciężki plecak i przywitał się kolejno z Agnieszką, Alinką i Arturem.

— Agnieszko —? powiedziała mama — pan redaktor zje z nami obiad, skombinuje jakieś nakrycie.

— Ależ niech pani nie roibi sobie kłopotu? — zaproponował młody człowiek — mogę jeść ze swojej menażki, a nakrycie też mam własne.

Artur z uznaniem spojrział na gościa. Zaraz widać, że z niego prawdziwy turysta.

I jaki ma wspaniały aparat fotograficzny!

Może to fotoreporter?

?— Pan robi zdjęcia do gazety? — spytał nieśmiało.

?— Jak by ci to powiedzieć... — zaśmiał się młody człowiek — nie jestem zawodowym fotografikiem, raczej amatorem. Ale teraz opracowuję cykl reportaży o dolnośląskich zamkach i postanowiłem sam przygotować materiał zdjęciowy.

—? I będzie pan fotografował Czarny Stok? — zainteresowała się Agnieszka.

90

— Oczywiście, to bardzo piękny obiekt, choć mocno zrujnowany. Szkoda, że nie nadaje się do odbudowy. Interesujesz się fotografowaniem? — zwrócił się do Agnieszki.

— Tak... to jest właściwie tylko zbieram fotografie różnych zabytków. I strasznie chciałam mieć zdjęcie. Czarnego Stoku, ale my mamy nienadzwyczajny aparat i, prawdę mówiąc, nie bardzo umiemy fotografować.

— Świetnie — powiedział młody człowiek — dostaniesz tyle zdjęć Czarnego Stoku, ile tylko zechcesz.

— Och, dziękuję — Agnieszka aż poczerwieniała z zachwytu.

— Pan chodzi po Dolnym Śląsku na piechotę? — spytał Artur.

— Czasem piechotą, czasem autobusem lub pociągami, jak wypadnie. Połączyłem pracę z urlopem. Przepadam za taką włóczęgą z plecakiem. W zeszłym roku przeszedłem całutkie Bieszczady.

— A długo pan tu zostanie? — spytała Alinka.

— Nie wiem, może kilka dni, a może dłużej. W okolicy jest kilka ciekawych obiektów, chciałbym rozbić tu obóz, o ile oczywiście państwo nie będą mieć hic przeciwko temu —? ukłonił się pani Ciekońskiej — i robić dłuższe wypady.

Arturowi błysnęły oczy. Gdyby ten miły pan redaktor zechciał wziąć go kiedyś na taką wyprawę!

— Prosimy do stołu! — zawołała mama. — Agnieszko, nie zapomnij o obiedzie dla tatusia i dla Alego. Swoją drogą — dodała patrząc na zegarek — nie rozumiem, dlaczego tak długo nie wracają. Wyjechali przecież po ósmej.

— Oj, mamusiu — roześmiał się Artur — tak mówisz, jakbyś nie znała Agapita.

91

— Właśnie — powiedziała Agnieszka rozlewając zupę — pewno Agapit zmienił się w Barnabę...

— Oj, pan nic nie rozumie! — pisnęła Alinka.

— Agapit to nasz samochód — wyjaśnił Artur.

— Ale tylko wtedy, kiedy jedzie — uzupełniła Agnieszka.
— Kiedy się psuje, nazywamy go Barnabą — zaśmiał się Artur — bo musi pan wiedzieć, że my wszyscy jesteśmy na A i na B...
Dzieci na wyścigi zaczęły objaśniać nowemu znajomemu tajemnicę klanu A.B.C.
Wysłuchawszy opowieści, redaktor zaśmiał się serdecznie i powiedział:
— Szkoda, że mnie nie możecie przyjąć do swojego klanu. Ale ja nazywam się bardzo zwyczajnie: Feliks Figler.
— To wcale nie jest zwyczajne nazwisko! — podskoczył Artur. — Pana inicjały coś znaczą!
— Jak to?
— Niech pan posłucha — F.F., czyli Ef-Ef! To coś znaczy, a mianowicie: pierwsza klasa! I mnie się zdaje, że pan jest naprawdę pierwsza klasa!
— No cóż? —? uśmiechnął się z zażenowaniem pan Feliks — postaram się nie zrobić wam zawodu...
— Świetnie! A więc został pan „panem Ef-Ef”. Młody człowiek sięgnął do plecaka i wyjął tabliczkę czekolady.
— Trzeba to jakoś uczcić — powiedział kładąc czekoladę na stole.
Głośny warkot motoru odwrócił uwagę dzieci od pyszności w srebrnym opakowaniu.
— Agapit!
— Tatuś!
— Nareszcie, już zaczęłam się niepokoić — westchnęła pani Anna.

92

Ojciec z fasonem podjechał do obozu, zatrzymując samochód tuż przy samym namiocie. Wyskoczył szybko z wozu i powiedział do kogoś wysiadającego drugimi drzwiczkami.
— Jesteśmy na miejscu, zaraz panu przedstawię moją rodzinę.
Dzieci patrzyły ze zdumieniem na niskiego grubego pana, gramolącego się niezgrabnie z wnętrza Agapita. Któż to może być?
— Aniu, przedstawiam ci doktora Osińskiego z Mu-zeulm Narodowego w Warszawie. Przyjechał do nas jako specjalista od zdejmowania i przenoszenia fresków.
?— Jak to? — zdumiała się mama. — Już pana wysłali? Przecież jeszcze nie wiadomo, czy będzie co zdejmować.
Gruby pan potknął się na sznurach mocujących namiot, o mało nie zgubił okularów i z trudem odzyskując równowagę, Ukłonił się pani Ciekońskiej.
— Ale niezdara — mruknęła Agnieszka.
— Z niego nie będziemy mieć pociechy — syknął jej do ucha Artur.
— Pan doktor Osiński postanowił spędzić w Czarnym Stoku część swego urlopu — powiedział ojciec —? dlatego przyjechał wcześniej, nim wysłaliśmy wiadomość do Warszawy. Dzieci, wyładujcie prowiant z samochodu, tylko nie porozbijajcie jajek.
— Tak, tak — kiwnął śmiesznie głową nowy przybysz —? chciałbym tu zostać dłużej, o ile łaskawa pani wyrazi swoją aprobatę.
— Słyszałaś — szturchnął siostrę Artur — „łaskawa pani”!
— Ależ, panie doktorze, bardzo nam będzie miło. Pokój czeka na pana — odpowiedziała uprzejmie „łaskawa pani”.

93

— Tak, tak, to doskonale, jeśli można, chciałbym zaraz tam pójść, jestem trochę zmęczony, tak, jestem zmęczony.
Pani Ciekońska zaprotestowała. Trzeba przecież coś zjeść, zaraz będzie obiad.
— Tak, tak, dziękuję najuprzejmiej, ale my z szanownym małżonkiem już

skonsumowaliśmy obiadek w restauracji, tak jest, w restauracji — odparł doktor Osiński, kłaniając się niezliczoną ilość razy.

— Boże! — westchnęła Agnieszka — jak ten człowiek mówi! „Skonsumowaliśmy obiadek!”

— Co to znaczy? — spytała szeptem Alinka.

— To znaczy po prostu, że zjedli obiad — odparła Agnieszka. — Zabieraj te paczki, Alusiu.

Tymczasem pani Ciekońska przedstawiła mężowi redaktora Feliksa Figlera i opowiedziała o jego planach.

— Świetnie — ucieszył się pan Andrzej — będzie pan mógł sfotografować freski natychmiast po stwierdzeniu, że naprawdę istnieją. Sensacja pierwszej klasy! A poza tym jest czwórka do bridża. Arturku — obejrzał się za synem — zaprowadź pana doktora do zamku i powiedz dozorczy, żeby otworzył pokój.

— Tak, tak, dziękuję bardzo —? ukłonił się pan Osiński — dziękuję najuprzejmiej i przepraszam za kłopot. Pozwolę sobie pożegnać szanownych państwa.

„Ale okaz!” — westchnął w duchu Artur, biorąc walizkę nowo przybyłego.

Ten jednak zaprotestował:

— Nie, nie, młodzieńcze, to za ciężkie dla ciebie. Sam zaniosę, a jeśli już chcesz mi pomóc, weź z łaski swojej teczkę, tak jest, teczkę.

Gdy zniknęli za zakrętem ścieżki, pani Ciekońska powiedziała do męża:

94

— Ciekawam, po co on tak wcześniej przyjechał?

— Przecież powiedział, że chce odpocząć. —? Wiesz, obawiam się, czy...

Pani Ciekońska urwała nagle i z wielką energią zaczęła sprzątać ze stołu.

?— Więc to jest naprawdę ogromnie podejrzane — mówił z zapałem Artur siedząc w kucki obok Adama — no bo sam pomyśl: przyjeżdża z Warszawy specjalista od zdejmowania fresków, choć prace są dopiero rozpoczęte i rodzice nikogo nie wzywali, a w dodatku nie ten, którego oczekiwali...

— Skąd wiesz? — spytał Adam.

— Słyszałem, jak mama mówiła do ojca, że miał przyjechać pan... pan... zapomniałem nazwiska, ale wiem, że chodziło o kogoś, kto był w Egipcie i zdejmował freski w świątyni Faras. Słyszałeś o tym?

— No — skinął głową Adam — czytałem reportaż w „Świecie” o wyprawie profesora Michałowskiego.

— Właśnie. Ktoś z ekipy naukowej tego profesora. I nagle przysyłają kogoś zupełnie innego, nieznanego. I mama okropnie się zdenerwowała i powiedziała, że to nie jest w porządku, że to lekceważenie.

Adam zamyślił się. Pani Ciekońska miała słuszny powód do zdziwienia oraz irytacji, ale jego zastanowił inny fakt, na który Artur nie zwrócił uwagi.

— Mówisz, że ojciec spotkał tego pana po drodze do Czarnego Stoku? — spytał.

— Tak. Włókł się ze swoją walizką przez pola, i to nie od przystanku PKS-u, a z przeciwnej strony. Nawet tatuś mówił, że wcale nie rozumie, jak się ten gość tu dostał.

— No, widzisz, to właśnie jest podejrzane! — krzyknął Adam.

95

— Dlaczego? — zdziwił się Artur. — Dlatego, że nie przyjechał autobusem? Może go ktoś podwiózł autem albo furmanką.

— Ależ pomyśl tylko — zaperzył się Adam — ja dziś rano zauważyłem kogoś buszującego w okolicy zamku, to raz. Alinka usłyszała rozmowę dwóch mężczyzn, i to bardzo znamienną rozmowę, to dwa. I nagle zjawia się obcy facet, nie

zapowiedziany, nie oczekiwany i nie przyjeżdża normalnie, jak każdy, PKS-em, tylko idzie polami, tak jakby bał się pokazywać ludziom na oczy.

— Masz rację, to bardzo dziwne — powiedział w zadumie Artur.

— Założę się, że ten facet tak się zna na freskach, jak pies na gwiazdach, i że tu przyjechał w nieczystych zamiarach. Trzeba będzie go mieć na oku.

Artur nie odpowiedział, gdyż był pogrążony w rozmyślaniach. Adam ma rację, doktor Osiński mógł przyjechać do Czarnego Stoku już wcześniej, na przykład wczoraj lub dziś rano. Spotkał się tu ze swoim współnikiem lub pomocnikiem. To ich rozmowę o tajemniczym planie mogła słyszeć Alinka. Bo właściwie po co pracownik delegowany przez muzeum miałby przyjeżdżać tak wcześnie?

On mówi, że chce tu spędzić urlop. Dziwne upodobania! Czarny Stok jest wprawdzie ładnie położony, ale pokój w zamku niezbyt wygodny, ciemny i urządzony prymitywnie. No i stołowanie! Doktor Osiński będzie miał okropny kłopot ze stołowaniem. Samemu trzeba wszystko przynieść, samemu ugotować!

— Słuchaj — powiedział nagle Artur — myślisz, że doktor Osiński to człowiek w zielonym płaszczu?

— Taki on doktor jak ty arcybiskup! — prychnął pogardliwie Adam. — Przekonasz się, że on nie ma pojęcia o tym, co robią wasi rodzice.

96

— Ależ to bardzo szybko może się wydać! — krzyknął Artur. —? Jeśli mama znajdzie freski i okaże się, że on nie ma pojęcia o zdejmowaniu...

— Ty pała sękata, nie rozumiesz, że dlatego przyjechał wcześniej — powiedział z wyższością Adam — jemu prawdopodobnie chodzi o to, żeby nikt się nie dziwił i nie bronił mu myszkowania po zamku. A nim twoi rodzice znajdą freski, on może już dać dęba z tym, co tu znajdzie.

Zapadło milczenie. Po dłuższej chwili odezwał się Artur:

— Słuchaj, jak myślisz, czego on może szukać?

— Czy ja wiem? — wzruszył ramionami Adam. — Może ktoś tu ukrył coś cennego podczas wojny albo po wojnie.

— Przecież zamek od dawna nie był zamieszkaany!

— To co z tego? Właśnie dlatego mógł się świetnie nadawać na kryjówkę. A może tu są ukryte materiały szpiegowskie? Przecież nie wiadomo, kim jest naprawdę doktor Osiński... może to cudzoziemiec? Nie zauważyłeś obcego akcentu?

— Nie. On tylko strasznie śmiesznie mówi, taki, wiesz, ugrzecznony facet, co to ciągle się kłania, dziękuje, przeprasza. Do mamy mówi „łaskawa pani”, a do mnie „młodzieńcze”.

— To może być maska — mruknął Adam — stwarza sdbie inną osobowość. Na pozór chce uchodzić za grzecznego, dobrodusznego grubasa, co nikomu wody nie zamąci, a w gruncie rzeczy może być niebezpiecznym przestępcą. Czytałem, że bardzo często złoczyńcy zmieniają wygląd, zachowanie, nawet cechy charakteru, żeby zmylić otoczenie.

— Och, Adasiu, coś mi przyszło do głowy... może ty masz rację... może to szpieg? Przecież te plany, o których rozmawiali dwaj mężczyźni w podziemiach,

to

7 — Niezwykłe wakacje A.B.c

97

mogłyby być na przykład plany fabryki samolotów albo czołgów?

— Idźże, ty Sherlocku — wykrzywił się z pogardą Adam — skąd twoi rodzice wzięliby takie plany, przecież nie pracują w przemyśle zbrojeniowym! u—

Racja!

.....!

Artur przeciągnął ręką po rozgrzanych policzkach. Był podniecony i niespokojny. Co za historia! I to właśnie im musiała się przydarzyć taka przygoda. Jak dobrze, że nie pojechali do babci! Koledzy pękną z zazdrości, kiedy im opowie, jakie miał niezwykle wakacje!

?—Słuchaj — powiedział nagle Adam —trzeba będzie tego grubego faceta stale mieć na oku. Musimy się dowiedzieć, co on knuje i czego szuka. Mówię ci, że prędzej czy później czymś się zdradzi. Nie możemy oczywiście łączyć za nim wszyscy razem, bo w końcu połapie się, że go śledzimy. Trzeba ustalić dyżury.,, . - Artur przyznał koledze rację. Zaprotestował tylko przeciwko-wciąganiu w te sprawy Alinki, która jest za mała i za głupia.,

— Mylisz się----powiedział Adam — Alinka wcale nie jest głupia. A że mała — tym lepiej. On nie będzie taki ostrożny przy, Alinee, ?? to dziecko, i łatwiej może się zdradzić.

. — Też racja, ale na niej nie można polegać. Coś jej wpadnie do głowy, rzuci wszystko i polecą na przykład za motylem-;, .-._ ~ .j

. r- A gdzie ona teraz jest?

„f- Razem,,jz Agnieszka oprowadza redaktora po zamku, Obie zupełnie-oszalały na jego punkcie. Ale prawdę mówiąc, on się i mnie .podoba. To naprawdę morowy facet; Dziennikarz, turysta, na wszystkim się zna, -wszystko potrafi.. A jaki wysportowany. Mówię ci, jeszcze; nie widziałem, takiego człowieka! Mamie też

się ogromnie podoba, bo wesoły, grzeczny . i interesuje się freskami. Całe przedpołudnie przesiedział z nią razem w zamku i wypytywał o freski. Tym sobie kupił mamę na amen! W ogóle pasjonuje się sztuką, będzie pisał reportaże o dolnośląskich zamkach. Ostatnio był w Henrykowie, bardzo ciekawe rzeczy opowiadał ? klasztorze cystersów, gdzie znaleziono pierwsze zdanie napisane po polsku. W XIII wieku.

— Wiem, w Księżce Henrykowskiej.

— Właśnie. Słuchaj, a może panu Feliksowi powie o naszych podejrzaniach? Może by nam pomógł? Dziennikarze okropnie lubią takie tajemnicze historie.

— Oszalałeś? Skąd wiesz, czy on też nie ma złych zamiarów? Może to współnik doktora?

Artur znacząco popukał się w czoło.

— Ty chyba masz źle w głowie! Taki człowiek, dziennikarz, miałby być współnikiem przestępcy?!

Adam zawahał się. Ostatecznie nie można wszystkich podejrzewać, do kogoś trzeba mieć zaufanie...

— Jak chcesz... — powiedział niepewnie — ale ja bym się na twoim miejscu nie spieszył.

Artur przyznał mu rację. Ostatecznie można poczekać.

?— Jedno mnie tylko martwi —? powiedział po chwili —? wszyscy polubili pana Ef-Ef, wszyscy z wyjątkiem Ali Baby. Nie rzuca się na niego, nie warczy, ale jest nieufny i nie pozwala się pogłaskać. Pan redaktor mówi, że pies musi wyczuwać zapach kotów, bo w Warszawie pan Feliks hoduje dwa syjamskie koty. Nazywają się Ewaryst i Ewelina. Śmiesznie, co?

Adam machnął niedbale ręką.

—? Co się będziesz przejmował psem. Tobie się zdaje, że pies ma rozum jak

człowiek, a to przecież tylko zwierzę, tyle że wytresowane. Lepiej już wracaj do

7*

99

obozu. Wcześniej się ściemnia, zdaje się, że będzie burza.

Artur popatrzył na niebo. Adam miał rację. Na zachodzie kłębiły się ciemne chmury o niezwykle ostrych konturach, zapowiadające burzę. Niebo nad horyzontem różowił jeszcze odblask ostatnich promieni słonecznych, ale wyżej nabierało już nieprzyjemnego burożółtego koloru.

— Idę — powiedział wstając — a ty nie boisz się burzy?

— Coś ty, dziecko jestem? Słuchaj, zostaw mi latarkę, mógłbym w nocy pokręcić się koło zamku. Może coś wyśledzę.

— Idź, jeśli masz ochotę, ale bądź ostrożny — upomniał go Artur podając latarkę.

— Nie bój się o mnie. A wy na wszelki wypadek zajmijcie się tym cudownym panem Ef-Ef.

— No dobrze — zgodził się niechętnie Artur — ale przekonasz się, że niesłusznie go podejrzewasz. To naprawdę facet nie z tej ziemi!

Rozdział X

O rany, co się tu dzieje?!

Adam, nie zapalając latarki, wyszedł ze swojej kryjówki. Było wprawdzie zupełnie ciemno, ale błyskawice raz po raz oświetlały mu drogę.

Burza, która przed wieczorem przeciągnęła bokiem, omijając Czarny Stok, teraz wracała, tocząc od wschodu ciemny wał chmur, szybko pokrywający rozgwieżdżone niebo. Raz po raz huczał daleki grzmot.

Adam wzdrygnął się. Nie była to najprzyjemniejsza pora na samotne spacerowanie, ale chłopiec był pewien, że tajemniczy osobnik taką właśnie noc wybrałby na spenetrowanie zamku.

Chłopiec piął się ostrożnie w górę, miał zamiar dostać się na dziedziniec zamkowy przez poszczerbiony mur, omijając główne wejście, do którego droga prowadziła obok obozu A.B.C.

„Pies może mnie zwęszyć i narobi alarmu” — rozumował.

Zresztą na przełaj droga była krótsza, choć mocno niewygodna. Ale Adam nie zwracał na to uwagi. Piął się w górę, ostrożnie stawiając nogi obute w trampki, by nie zdradzić się najmniejszym szelestem. Co prawda ta ostrożność była mocno przesadzona. Wiatr robił tyle szumu miotając krzakami i koronami drzew, że

101
najwprawniejsze ucho nie dosłyszałoby szmeru kroków.

Nagle chłopiec przystanął. Czy mu się zdawało, czy w oknie północnej wieży mignęło światło!? Nie, to chyba błyskawica... Stał jeszcze dłuższą chwilę i wpatrywał się w ciemne zarysy wieży, aż do bólu wyęzając wzrok, ale błysk nie powtórzył się.

Tak, to na pewno była błyskawica. Uspokojony, ruszył naprzód. Jeszcze kilkanaście metrów i wyrasta przed nim zamkowy mur. Stare, zmurszałe kamienie mają pełno szczyrbów i występów, trzeba tylko umiejętnie stawiać stopy i przy odrobinie zręczności po kilku minutach można znaleźć się po drugiej stronie muru. Adam przycupnął za obrośniętym mchem kamiennym występem, który kiedyś zapewne był basztą, i wyęzzył słuch. Absolutna cisza, tylko wiatr szumi w otaczających zamek zaroślach i ze świstem przelatuje przez niczym nie zabezpieczone otwory okienne zamku. Teraz zahuczał grzmot i białe, zimne światło zalało dziedziniec. Uwaga, coś poruszyło się pod murem! Nie, to tylko falują krzaki kołysane

podmuchami burzy.

Adam spogląda w górę. Ciemny, milczący masyw zamku na tle odrobinę tylko jaśniejszego nieba wygląda groźnie i tajemniczo. A może lepiej wrócić do swojej bezpiecznej kryjówki? I tak nic nie dostrzeże w tych ciemnościach, a zapalenie latarki mogłoby zwrócić czyjąś uwagę...

Baczność, na wieży znów coś' błysnęło! To nie błyskawica, teraz Adam jest przekonany, że się nie myli. Blade światełko porusza się, zniża, tak jakby. ktoś szedł schodami w dół, przyświecając sobie latarką.

Adam, zapominając o ostrożności, zeskakuje z muru, łamie przy tym krzaki, " które trzaskają' pod ciężarem

?02

jego ciała z ogromnym hałasem. Głupstwo, ktoś jest na wieży! Trzeba się zacząć przy wejściu i sprawdzić, komu zachciewa się spacerować nocą po zamku i po co. Adam cicho jak kot przemyka się na wewnętrzny dziedziniec. Na chwilę stracił z oczu wieżę-, zasłoniło ją zachodnie skrzydło zamku. ' ""? -?

•

Ostrożnie, czając się w.cieniu ścian i prawie wstrzymując oddech, sunie wzdłuż wschodniego skrzydła, mija

163

przybudówkę, w której mieszka dozorca. Małe okienka są ciemne, a przez szyby dolatuje potężne chrapanie. Dozorca śpi na oba uszy, można by wynieść cały zamek, a ten by się nie obudził.

Uwaga, oto wejście do wieży. Teraz trzeba przyczołgać się z boku, ukryć w cieniu kamiennego portalu i czekać... Mija pięć minut, dziesięć, Adamowi zaczynają cierpnąć nogi, a w wieży panuje ciemność i cisza.

„Może spóźniłem się, może ten ktoś zdążył wyjść, zanim doszedłem do wieży?" — myśli.

Co gorsza, burza rozpętuje się na dobre. Pioruny biją raz po raz, a po chwili zaczyna padać deszcz. Oj, to nie deszcz, to prawdziwa ulewa, oberwanie chmury! Adam jest przemoczony do nitki, z jakiejś dziurawej rynny tryska istna fontanna i spływa mu prosto za kołnierz, trampki nasiąkają wodą jak gąbka.

„Nic tu nie wystoję — myśli chłopiec — ten ktoś albo już dawno wyszedł z wieży, albo czeka w niej na koniec ulewy. Trzeba wejść do środka, przynajmniej nie będzie mi się lało za kołnierz".

Odrywa się od muru i robi krok w kierunku wejścia do wieży. Nagle... Ooś miękkiego spada mu na głowę, Oplątuje barki, ramiona, jakaś potężna siła unosi go w górę.

Adam macha rozpaczliwie nogami, kopie, wierzga, ale ciosy trafiają w próżnię. Nic nie rozumie, nie wie, co się z nim dzieje, czuje tylko, że ktoś niesie go, jednym ramieniem przytrzymując mu ręce, a drugim przyciska głowę zatykając usta.

„Ale wpadłem! — wścieka się Adam. — Ładny ze mnie zwiadowca! Gapiłem się przed siebie, a zapomniałem o ubezpieczeniu tyłów!" Wtem chłopiec doznaje wrażenia, jakby ziemia się zakolebała, czuje, że opasujące go ramiona rozluźniają uścisk, i nagle wali

194

się ciężko i bezwładnie na ziemię. Uderza głową o coś twardego, widzi tysiące spadających gwiazd i ogarnia go ciemność i cisza.

Agnieszka nie mogła zasnąć. W domu nie bała się burzy, ale tu, w namiocie, było jakoś niesamowicie. Grzmoty przewalały się nad wątlym płóciennym daszkiem, pomarańczowe ściany raz po raz rozjarzał płomień błyskawic, drzewa szumiały i

trzeszczały, jakby już, już miały zwalić się na ich namiot. Nie pomogło naciąganie koca na głowę, nie pomógł nawet jasek, którym Agnieszka zatykała sobie uszy.

Z zazdrością spojrzała w kąt namiotu, gdzie Alinka spała spokojnie, oddychając miarowo. Nagle usłyszała westchnienie.

— Artur, nie śpisz? —? spytała radośnie.

— Nie — stęknął brat —• obudziłem się i nie mogę zasnąć. Ciągłe mi chodzi po głowie ten gruby...

Ali Baba, leżący na swoim pościeliu w nogach materaca Alinki, uniósł łeb i zaskomlił.

— Pies też nie może spać — powiedziała Agnieszka. — Ali nie lubi burzy.

— Co tam burza! — Artur usiadł na swoim pościeliu. —? Ja ciągle myślę o doktorze Osińskim i o tej rozmowie, którą słyszała Alinka. O jakich planach mogli mówić, jak myślisz?

— Ja już sama nie wiem, co o tym sądzić... Z jednej strony ta rozmowa mogła odbyć się naprawdę, przecież człowiek w zielonym płaszczu nie przyjechał do Czarnego Stoku ot tak sobie, na wycieczkę. Z drugiej strony mam wątpliwości, czy Alinka dobrze zrozumiała podsłuchaną rozmowę. Przecież ona jest jeszcze zupełnie głupia! Ta historia z kompasem i piernikami... nie wiem, czy możemy wierzyć Alince.

105

— To moja wina — przyznał Artur — ja jej powiedziałem, że kompas to takie urządzenie, które- odnajduje ukryte słodycze. Trzeba tylko iść w kierunku wskazywanym przez strzałkę, a one odnajdą się same.

— Też masz pomysły! — oburzyła się starsza siostra. — Bałamucisz dziecko zamiast mu wytłumaczyć!

— Nie miałem czasu, tak sobie powiedziałem, na od-czepnego. Skąd mogłem wiedzieć, że Alinka jest taka niemądra?

— Ty też nie byłeś mądrzejszy w jej wieku — Agnieszka nagle stanęła w obronie najmłodszej A.B.C. — Pamiętasz telegram?

Artur poczerwieniał. Historia z telegramem była największą hańbą jego życia. Miał wtedy osiem lat i razem z rodzeństwem spędzał wakacje u babci. Ojciec miał przyjechać w połowie sierpnia i zabrać całą trójkę do Warszawy. Niestety, coś mu przeszkodziło, w ostatniej chwili przysłał depeszę odwołującą przyjazd. Artur, zawiedziony i zrozpaczony, wpatrując się w tekst depeszy (tekst był pisany ręcznie, na małej wiejskiej poczcie nie było dalekopisu) wyszłochał:

— Ta depesza jest sfałszowana, to nie jest pismo tatusia! On przyjedzie, na pewno przyjedzie!

Boże, ile potem musiał znieść drwin i śmiechów! Agnieszka, dwaj kuzynowie i ich koledzy kpili z niego niemiłosiernie.

— On myśli — powiedział starszy o trzy lata Bolek — że depesze nadziewa się na druty telegraficzne i popycha patykiem, żeby prędzej doszły!

Wstrętna Agnicha! Musiała mu to przypomnieć! Nagle Ali zawarczał głucho, potem wstał i przysunawszy nos do szpary zaczął gorliwie węszyć..

— Leżeć, Ali! — zgromiła go Agnieszka.

Pies nie posłuchał. Węszył dalej, nie przestając z cicha powarkić.

106

— Może ktoś obcy jest w obozie? — powiedział Artur.

— Idź, zobacz!

— Sama idź!
— Boisz się?
— A ty nie?

Agnieszka skwapliwie zmieniła temat.

— Kiedyż ta burza się skończy? — spytała. Ale Artur nie podjął dyskusji na temat burzy.

—? Słuchaj — powiedział — a może to Adam? Mówił dziś, że warto by rozejrzeć się po zamku, dałem mu nawet jedną z naszych 'latarek...

Agnieszka nie odpowiedziała.

— Aga — zaczął Artur — może byśmy poszli...

— Dokąd?

— Czy ja wiem? Tak sobie, rozejrzeć się. Patrz, pies się uspokoił, nie ma nikogo. Weźmiemy Alego na smycz...

— No i co dalej?

— Jaka ty jesteś, naprawdę! — rozgniewał się Artur. — Tam może przestępcy wykopują skarb, a my — zamiast im w tym przeszkodzić — siedzimy w namiocie! Przecież i tak nie możesz spać!

Agnieszka z obojętną miną ułożyła się wygodnie na pościeli.

•

— Nie mogę słuchać takich głupstw —? powiedziała. — Napij się wody, Arturku, i przestań bredzić!

Artur bez słowa chwycił ubranie i zaczął się ubierać.

— Zwariowałaś? —? poderwała się Agnieszka. — Połóż się w tej chwili! Nigdzie nie pójdziesz!

Artur wykrzywił się lekceważąco. W nosie ma zakazy siostry. Skoro ona nie wierzy, że w zamku dzieje się coś podejrzanego, sam zajmie się tą sprawą. Obejdzie się bez pomocy Agnieszki i jej przemądrzałych uwag!

* ' !>--; : "

?07

—Artur,.zaczekaj! — Agnieszka poczuła nagły przyptyw solidarności. — Pójdę z tobą.

Ostatecznie można lekceważyć nadmiar braterskiej wyobraźni, uważać, że jego obawy i przypuszczenia są przesadzone, ale nie sposób zapomnieć, że należą do jednego klanu i że A.B.C. zawsze działają wspólnie.

Wysunęli się cichuteńko z namiotu. Ali Baba, zachwycony niespodziewanym spacerem, usiłował polizać Agnieszkę po twarzy. Szarpnięty za smycz uspokoił się i szedł grzecznie przy nodze.

— Dokąd pójdziemy? — spytała Agnieszka.

— Do zamku.

Szybko znaleźli się przy bramie wjazdowej i minęli zewnętrzny dziedziniec.

— Ojej, zaczyna mocno padać — zmartwiła się Agnieszka.

— No to co! — fuknął na nią Artur. — Z cukru jesteś? Czekaj! — Przyczaili się w cieniu bramy.

— Tam ktoś jest — szepnął Artur drżącym głosem — widziałem światło na wieży.

— Może to błyskawica? A może Adam?

— Nie, na pewno widziałem odbłask latarki. To może być Adam, a może też...

Agnieszka przytulona do muru zaczyna dygotać. Z zimna, z emocji... Więc jednak niepotrzebnie drwiła z brata. W zamku dzieje się coś podejrzanego. Przecież dla przyjemności nikt nie spaceruje nocą, podczas burzy.

Artur pociągnął ją za rękę.

— Przejdziemy do wieży przez zachodnie skrzydło. Na dziedzińcu mógłby nas zauważyć.

— Kto? — wyjąkała Agnieszka.

Artur nie tracił czasu na wyjaśnienia, ruszył naprzód, pociągając za sobą Agnieszkę.

108

Dość długo szukali wyjścia z zachodniego skrzydła, Artur zmylił drogę, musieli zawracać, minęło około dziesięciu minut, zanim znaleźli się u stóp wieży. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza i ciemność, przerywana tylko szumem ulewy. Nagle Artur stąpnął na coś twardego, coś, co pod naciskiem jego stopy potoczyło się po kamieniach.

— Latarka — szepnęła czując w ręce znajomy kształt — ktoś ją zgubił, może Adam? Ali, szukaj!

Ali węszył gorliwie. Niestety, strugi deszczu zmyły wszystkie ślady. Po chwili pies stanął i bezradnie podniósł głowę, jakby chciał powiedzieć: „Nic się nie da zrobić, bardzo mi przykro”.

— Agnieszko, musimy poszukać Adama, on tu był, to nasza latarka, ma sznurek przywiązany do zawieszki!

— Boże, czyżby coś mu się stało!

— Idziemy!

— A dokąd to, można wiedzieć?

Dzieci zatrzymały się gwałtownie, słysząc obcy głos. Pies zawarczał. Nagle z ciemności wytrysnął strumień światła. Artur przysłonił oczy ręką, Agnieszka zacisnęła powieki.

— Co wy tu robicie o tej porze?

— A pan? — spytał zuchwale Artur.

— Wyszędłem na spacer.

— W czasie burzy, w taki deszcz? Nie wierzę! Gdzie jest Adam? Co pan z nim zrobił?! — krzyknął chłopiec. '

— Niech pan zgasi latarkę — poprosiła grzecznie Agnieszka. — My zaraz wszystko wyjaśnimy.

Jaskrawe światło zgasło.

Teraz Agnieszka sięgnęła po swoją latarkę. Nacisnęła guziczek i...

— Doktor Osiński!

10»

— Tak, to ja — odpowiedział Spokojnie mężczyzna — może nareszcie dowiem się, dlaczego spacerujecie po nocy zamiast spać?

— Wyszliśmy na przechadzkę — odparła Agnieszka — tak samo jak pan.

— Dowcipna jesteś, moja panienko — mruknął doktor — prawdę mówiąc nic mnie nie obchodzi wasze nocne spacery, to sprawa waszych rodziców. Chciałbym tylko wiedzieć, kto to jest Adam i dlaczego miałem z nim coś zrobić?

— On tu był — mruknął Artur — znaleźliśmy jego latarkę. A teraz zniknął.

— Adam to nasz kolega — wyjaśniła Agnieszka., Doktor Osiński zaświecił swoją latarkę.

. — Wracajcie do namiotu — powiedział ostro — sam się tym zajmę. Jeśli ten chłopiec tu był, nie rozpląnął się w powietrzu. No, jazda — dodał groźnie, widząc wahanie dzieci — bo powiem o wszystkim rodzicom! Poklepał łeb Ali Baby, który gorliwie i z sympatią obwąchiwał mu nogi.

^Dobrze? — powiedział drżącym głosem Artur — wrócimy do namiotu, ale...

— Ale co? — podchwycił doktor Osiński. —? Nic. Chodźmy, Agnieszko. Pobiegli szybko, nie troszcząc się o psa, który popędził naprzód, wlokąc za sobą mokrą i obłoconą smycz. Nie odzywali się do siebie, dopiero na drodze prowadzącej do obozu Agnieszka przystanęła i powiedziała ze złością: v— Ale nas wykołował! Potraktował jak dzieci! „Bądźcie grzeczni, to nie poskarżę rodzicom”. A ty też jesteś dobry! W domu pyskujesz od rana do wieczora, a teraz położyłeś uszy po sobie! ..”?
— A co miałem robić? — obraził się Artur. —. Powiedzieć mu wszystko? „Podejrzewamy, że nie jest no pan ani doktorem, ani specjalistą od zdejmowania fresków”? Postukaj się w czoło!
Agnieszka zamilkła. Artur miał rację, nie mieli dotychczas żadnego dowodu, przypuszczali tylko, że coś nie jest w porządku z doktorem Osińskim, czy jak.mu tam.
— Tu trzeba Sprytu, przebiegłości — mówił dalej Artur — musimy udawać, że mu wierzymy i że niczego nie podejrzewamy. Ale ani na chwilę nie wolno nam spuścić go z oczu.
— Słuchaj — Agnieszka zatrzymała się, tknięta nagle jakąś myślą — czy ty zauważyłeś, jak on się zmienił?
— Kto? — spytał z roztargnieniem Artur.
— Idiota! Oczywiście doktor Osiński! Ani razu nie powiedział ani „tak, tak”, ani „młodzińcze”, ani „przepraszam najuprzejmiej”. I głos miał inny, taki jakiś szorstki, rozkazujący...
— Zrzucił maskę — odparł Artur. — Adam miał rację!
— Boję się o Adama — szepnęła Agnieszka — jeśli on go znajdzie...
— Cicho, ktoś idzie,
Umilkli. Ktoś szedł ścieżką, ciężko powłócząc nogami. Po chwili usłyszeli jęk. Rzucili się w tym kierunku.
To Adam! Ledwo idzie, siania się na nogach, głowa opada mu bezwładnie raz na jedno, raz na drugie ramię! Jednym skokiem Artur znalazł się przy nim i podtrzymał.
— Co się stało, Adasiu?!

111

nie mogłem krzyknąć, usta miałem zatkane. Potem chyba upadliśmy obaj, poczułem okropny ból w głowie i, zdaje się, straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, nie było nikogo. Leżałem na schodach w tej części zamku, która jest zupełnie zrujnowana. Jakoś się pozbierałem i przyszedłem tutaj.
— Chodźmy do namiotu, trzeba obejrzeć twoją głowę — powiedziała Agnieszka.
— A to łotr! — syknął Artur.
— Kt:o? — spytał słabym głosem Adam.
— Jak to kto? Doktor Osiński! My też byliśmy w zamku. Spotkaliśmy go przy wieży. Powiedział nam, że wyszedł na spacer, rozumiesz, na spacer!! To jasne, że on chciał cię porwać. Co myślisz o tym?
Ale Adam nic nie myślał. Zwiśł ciężko na ramieniu Artura, nogi ugięły się pod nim i zemdłał.

Rozdział XI

Wszystko się wydało!

Pan Ciekoński wyprostował się i powiedział spokojnie:

— Wydaje mi się, że to nic groźnego. Na głowie nie ma żadnej rany, tylko guz, musiał się porządnie uderzyć!

—? A gorączka? Przecież ma dość wysoką gorączkę — niepokoiliła się pani Ciekońska — żeby to nie był wstrząs mózgu!

Dzieci spojrzały po sobie z przerażeniem! Tylko tego by brakowało!

— Nie sędzę — odparł ojciec —? chłopiec jest chyba przeziębiony. Przeleżał się na deszczu, na mokrej ziemi. Daj mu aspiryny i gorącej herbaty. Dzieci, przynieście koce z samochodu, trzeba go ciepło okryć.

Artur przestąpił z nogi na nogę. Trudno, teraz trzeba powiedzieć prawdę, Adam zrozumie, że nie mogli dłużej milczeć.

— Kiedy właśnie, tatusiu... — zaczął i urwał. Zobaczył wysoką sylwetkę pana Ef-Ef zbliżającą się szybko ku namiotom.

— Co się stało? — spytał redaktor widząc całą rodzinę A.B.C. pochyloną na kimś leżącym na posłaniu. ?— Jakież kłopoty?

—? Dobrze, że pan przyszedł, panie redaktorze —

8 — Niezwykle wakacje A.B.C.

113

ucieszyła się pani Ciekońska. — Dzieci znalazły tego chłopca niedaleko naszego obozu. Jest chory, ma gorączkę, obawiam się, czy to nie będzie coś poważnego.

Niech pan przekona mego męża, że trzeba sprowadzić lekarza!

Pan Ef-Ef pochylił się nad Adamem, ujął go za puls i pokręcił głową.

— W każdym razie nie powinien leżeć w namiocie. Trzeba go przenieść do jakiegoś ciepłego i suchego pomieszczenia. Tu może dostać zapalenia płuc.

Pani Ciekońska załamała ręce. Skąd wziąć to ciepłe i suche pomieszczenie? Po nocnej burzy ziemia, namioty, wszystko było nasiąknięte wilgocią. Wprawdzie dzień zapowiadał się upalny, ale zanim słońce osuszy namioty, chłopiec może rzeczywiście gorzej się przeziębic.

— Mam! — zawołała nagle. — Poproszę doktora Osińskiego. Na pewno zgodzi się przyjąć do swego pokoju tego chłopczynę. Przecież to tylko parę dni!

Artur spojrział niespokojnie na siostrę. Umieścić Adama w jaskini lwa?

?— Obawiam się, że to będzie niemożliwe — powiedział pan redaktor — doktor Osiński wyjechał, a jego pokój jest zamknięty.

— Co takiego? Wyjechał? — zdumiała się pani Ciekońska. — Przecież nic nie wspominał o wyjeździe wczoraj wieczorem.

Artur kopnął nieznacznie siostrę. A to dopiero niespodzianka! Czyżby przedwcześnie spłoszyli ptaszka?

— Skąd pan wie, redaktorze, że doktor Osiński wyjechał? Może po prostu wyszedł na przechadzkę — powiedział ojciec.

— Nie, nie, na pewno wyjechał — odparł pan Feliks. — Wstałem dziś bardzo wcześnie, w ogóle prawie nie spałem tej nocy, bo źle okopałem namiot i woda

114

zaczęła przeciekać do wnętrza. Chciałem zrobić parę zdjęć zamku w rannym oświetleniu, zaraz po wschodzie słońca. Dochodziła czwarta, kiedy zobaczyłem doktora Osińskiego przemykającego się ścieżką w kierunku wsi. Był normalnie ubrany i miał ze sobą dużą teczkę.

— Dlaczego pan powiedział „przemykającego się”? — spytała Agnieszka.

Redaktor potarł z zakłopotaniem ciemną czuprynę.

— Prawdę mówiąc doktor Osiński zachowywał się tak, jakby nie chciał być przez kogoś zauważonym. Zdziwiło mnie to, przecież może robić, co mu się podoba, przyjeżdżać, wyjeżdżać, nie opowiadając się nikomu.

— To rzeczywiście dziwne — przyznał pan Ciekoski. ?— A skąd pan wie, że nie wrócił?

— Przed chwilą spotkałem dozorcę, niósł mleko dla doktora i spytał mnie, czy nie wiem, gdzie jest pan Osiński. Pokój zamknięty, a klucza nie ma.

— W takim razie umieścimy chłopca w mieszkaniu dozorca — zdecydowała pani Ciekoska.

Już zapomniała o dziwnym zachowaniu doktora Osińskiego i o jego niespodziewanym wyjeździe, w tej chwili myślała tylko o biednym rozgorączkowanym chłopcu, który rzucał się niespokojnie na posłaniu, oddychając ciężko i chrapliwie.

— 'Ja pani pomogę —? ofiarował się redaktor.

Wziął owiniętego w śpiwór Adama na ręce i ruszył do zamku. Za nim pospieszyła pani Ciekoska z aspiryną, herbatą w termosie i termoforem.

— Tatusiu — powiedział Artur widząc, że ojciec również chce opuścić obóz — zaczekaj, mamy ci coś do powiedzenia...

— Słucham.

Ojciec usiadł na składanym fotelu, wyjął fajkę, napełnił ją tytoniem i zapalił.

115

— Słucham — powtórzył, bo Artur milczał zerkając spod oka na Agnieszkę, jakby chciał powiedzieć: „mów ty”.

Agnieszka odetchnęła głęboko i powiedziała z determinacją:

— Myśmy cię okłamali, tatusiu. Nie znaleźliśmy tego chłopca przypadkiem, my go znamy.

Ojciec pokiwał głową.

— Domyśliłem się tego — powiedział spokojnie.

— Domyśliłeś się? — krzyknął Artur. — Skąd? Jakim sposobem?!

— Kiedy mówicie wszyscy naraz i podajecie całe masy szczegółów, choć nikt was o nic nie pyta, zaraz wiem, że coś nie jest w porządku. Bo normalnie nie jesteście przecież tacy skorzy do zwierzeń, prawda? Klan A.B.C. ma swoje tajemnice. Agnieszka zaczerwieniła się. Ależ ten tata bystry! A oni myśleli, że nic o nich nie wie! Przecież nie pamiętał o najprostszych sprawach, kiedyś nawet zapytał Artura, w której właściwie jest klasie! A' tymczasem...

— Tatusiu, to było tak... — zaczęła. Opowiadanie Agnieszki przeplatane wykrzyknikami

Alinki i uzupełniane przez Artura trwało długo. Ojciec słuchał nie przerywając, czasami tylko podnosił wysoko brwi i kiwał głową.

Gdy wreszcie zadyszana Agnieszka umilkła, ojciec pukając fajką o obcas trzewika powiedział:

— Jednego tylko nie rozumiem... po co ten chłopiec poszedł w nocy do zamku i dlaczego wy, zamiast spać, wybraliście się na podobną wyprawę?

Agnieszka milczała. Zerknęła ukradkiem na Artura. Brat specjalnym umówionym mrugnięciem sygnalizował jej: „nie mów!”

— A więc to tajemnica? — domyślił się tata.

116

— Coś w tym rodzaju, tatusiu — potwierdziła Agnieszka, czując ulgę na widok uśmiechu ojca. Nie gniewa się, a więc wszystko w porządku!

— No cóż, trudno, uważam, że każdy ma prawo do posiadania swojej tajemnicy. O jedno was tylko proszę, bądźcie ostrożni. Jeśli to ma być zabawa —? te wasze

nocne wycieczki do zamku — a przypuszczam, że chodzi o zabawę, uważajcie na siebie. To, co przydarzyło się temu chłopcu, mogło spotkać i was, a nie sądzę, aby chorowanie podczas wakacji należało do waszych ulubionych rozrywek. Artur odetchnął z ulgą. Jak dobrze, że nie powiedzieli ani słowa o swoich podejrzeniach, o spotkaniu z doktorem Osińskim i o tajemniczym napadzie na Adama! Ojciec jest przekonany, że Adam potknął się w ciemnościach i padając uderzył się w głowę.

—?? Wróćmy teraz do sprawy tego chłopca — powiedział tata — bardzo ładnie, że pomogliście mu. Nie wolno obojętnie mijać potrzebujących pomocy. Mam nadzieję, że wasz nowy przyjaciel wkrótce wyzdrowieje, a wtedy nie będzie musiał wracać do swojej kryjówki w piwnicy. To na pewno bardzo romantyczne, ale niezbyt zdrowe mieszkanie.

—? Co to znaczy, tatusiu? — szepnęła Agnieszka.

— To znaczy, że może zamieszkać z nami w obozie — odparł ojciec — w samochodzie śpi się wcale nieźle. Chwileczkę — podniósł rękę uprzedzając radosny wrzask dzieci — jeszcze nie skończyłem.

Trzy pary oczu zawisły na jego ustach.

— Chłopiec może spędzić z nami wakacje, ale trzeba jakoś załatwić sprawę z jego wujem. Nie możemy przetrzymywać tutaj chłopaka bez wiedzy opiekuna.

— Adam nigdy ci nie powie, gdzie ten wujek mieszka — oświadczył z przekonaniem Artur — i ja go wcale nie będę do tego namawiał.

117

— Ależ zrozum, Arturku, ten wujek jest jedynym prawnym opiekunem Adasia i gdybyśmy chcieli pomóc mu w jego planach wstąpienia do liceum, musimy uzyskać zgodę rodziny. Takich rzeczy nie wolno załatwiać na własną rękę!

—? No to nie wiem, co będzie — powiedziała ponuro Agnieszka — a jeśli wujek nie pozwoli Adamowi pojechać do szkoły i każe mu wrócić na wieś...

Ojciec wstał z krzesła.

— Zaczekamy z tym wszystkim aż do jego wyzdrowienia. Może uda mi się załatwić tę sprawę tak, żeby wszyscy byli zadowoleni. Idę na zamek, a wy?

— Zostaniemy w obozie — odparła Agnieszka — trzeba tu zrobić porządek.

—? Tatusiu — odezwał się nagle bez widocznego związku Artur — chciałbym wiedzieć... powiedz, co myślisz o doktorze Osińskim?

Ojciec spojrział w niebo i milczał przez chwilę, potem powiedział powoli:

— Myślę, że to bardzo interesujący człowiek.

Tego dnia ani nazajutrz nie zaszło nic szczególnego. Dzieci większość czasu spędzały w mieszkaniu dozorczy, -dotrzymując towarzystwa Adamowi. Na szczęście chłopiec czuł się lepiej, gorączka spadła, pozostało tylko osłabienie i kaszel. Pojony herbatą z malinami, mlekiem, odżywiany smakołykami Adam szybko wracał do zdrowia.

Wiadomość o tym, że A.B.C. o wszystkim opowiedzieli ojcu, przyjął nadspodziewanie spokojnie.

— Rozumiem — powiedział wysłuchawszy relacji Artura, który z zakłopotaniem przyznał się do złamania pieczęci milczenia — musieliście tak postąpić.

— Byłeś bardzo chory — wtrąciła Agnieszka — ba-

118

liśmy się o ciebie, przecież sami nie potrafilibyśmy ci pomóc.

— Czy powiedzieliście rodzicom wszystko? —• zainteresował się Adam.

— Nie — przyznała niechętnie Agnieszka — ja wprawdzie miałam ochotę skończyć z tymi tajemnicami, ale Artur mi nie pozwolił.

— Bo to nie miało sensu — bronił się Artur — gdybyśmy opowiedzieli ojcu o naszych podejrzeniach albo by nas wyśmiał, albo zabronił kategorycznie mieszania się do tych spraw.

— To prawda — westchnęła Agnieszka — ojciec rzadko nam zabrania czegokolwiek, ale jeśli to robi — wtedy koniec, nie ma odwołania.

—? A poza tym rodzice mają przed sobą poważne zadanie. Nie należy odrywać ich od pracy.

— A co z doktorem Osińskim? —? spytał Adam.

— Do tej pory nie wrócił.

— Myślicie, że wróci? A może on już znalazł to, czego szukał?

W tej chwili usłyszeli wołanie Alinki. Mała wbiegła do pokoiku dozorczy czerwona i zadyszana:

—? Oj, żebyście wiedzieli, co się stało! ?—? wykrztusiła.

— Co znowu?

— Tatuś, tatuś dostał depezę od pana Majewskiego. U nas w domu byli złodzieje! Artur zerwał się z krzesła, Adam usiadł na łóżku. —? Niemożliwe! — krzyknęła Agnieszka.

— Możliwe! — powiedziała z mocą Alinka. — Wszystko słyszałam. Tatuś zaraz ubrał się, wsiadł do Agapita i pojechał. Mama się okropnie zdenerwowała, zażywała krople na serce — dodała ciszej.

Artur ogromnie podniecony powiedział do Agnieszki:

— Widzisz, nie wierzyłaś, że Alinka słyszała rozmowę o planie. Ci ludzie zorientowali się, że zabrany za pierwszym razem plan jest niedobry, i włamali się do naszego mieszkania po raz drugi!

— Skąd wiesz, że zabrali plan?

— Tak przypuszczam, to wynikałoby z ich rozmowy. Zresztą dowiemy się wszystkiego, gdy wróci tata.

—? Słuchajcie, czy nie wydaje się wam dziwne, że zniknięcie doktora Osińskiego z Czarnego Stoku zbiegło się z włamaniem do waszego domu? — zabrał głos Adam. — Doktor wyjechał wczoraj, a prawdopodobnie dziś w nocy dokonano włamania.

— Mamy jeszcze jeden dowód przeciwko niemu —? powiedział z przekonaniem Artur.

—? Myślisz, że to on? — spytała Agnieszka.

— Jasne — odparł Artur — ktoś by inny?

— Słuchajcie — odezwała się Alinka — powiedzcie mi, czego doktor Osiński szuka w Czarnym Stoku?

— Sami nie wiemy — przyznała ze smutkiem Agnieszka — i to jest właśnie najgorsze... Teraz trzeba będzie o wszystkim opowiedzieć tacie. To za poważna sprawa, żeby ją przed nim ukrywać.

— A gdybyśmy wtajemniczyli pana Ef-Ef? — Artur wrócił do swego poprzedniego projektu. — On też chyba się czegoś domyśla. Słyszałem, jak mówił do mamy, że doktor Osiński zachowuje się bardzo dziwnie i że na miejscu rodziców miałby się na baczności.

— Tak powiedział, naprawdę? — ucieszyła się Agnieszka.

— Ależ tak. A nasza mama roześmiała się i spytała, czy pan redaktor nie pisuje przypadkiem powieści kryminalnych.

— Mama jest okropnie naiwna! — westchnęła Agnieszka. — Ufa każdemu i nigdy nie podejrzewa nic złego.

Agnieszka wstała.

— A więc postanowione — powiedziała — opowiemy o wszystkim panu redaktorowi. Jestem pewna, że poradzi nam, co mamy robić.

— Zaczekajcie — zawołał Adam — mam pomysł! Agnieszka już z ręką na klamce spozjrzała z ciekawością na chłopca.

— Mów.

— Przyszło mi na myśl, że warto by przeszukać pokój doktora Osińskiego, może znajdziemy jakąś wskazówkę. Zostawił przecież swoje rzeczy, zabrał tylko teczkę.

->— Myślisz, że możemy? — zawahał się Artur. — To jakoś nieładnie grzebać w cudzych rzeczach.

— A kraść plany to ładnie? — zaperzył się Adam.

— No dobrze — zgodził się Artur — ale jak wejdziemy? Drzwi zamknięte.

— Nie wiem. Musisz spróbować, może uda ci się wejść przez okno.

— Ale musicie się spieszyć, on przecież może wrócić lada chwila.

?—? Agnieszko ?—• powiedział Artur — ty porozmawiasz z redaktorem, a ja spróbuję dostać się do pokoju pana Osińskiego.

— A ja? — ozwał się żalony głosik Alinki. — Co ja będę robić?

Artur poklepał młodszą siostrę po ramieniu.

— Dam ci bardzo ważne zadanie. Będiesz stała na czatach i uważała, żeby nikt nie zaskoczył mnie podczas rewizji w pokoju.

— Szybko — zniecierpliwiła się Agnieszka. — Szkoda czasu!

— Powodzenia! — krzyknął Adam za znikającą trójką.

Rozdział XII

Tajemnica Czarnego Stoku

...dawno temu na wzgórzu wśród lasów stał zamek obronny. Wysoko wznosiły się jego wieże i baszty. Rzeka opływała wzgórze, a droga do zamku prowadziła przez zwodzony most. Panem zamku był bogaty i okrutny rycerz Arnold von Schwarzenberg. Znienawidzony przez służbę, opuszczony przez przyjaciół, żył samotnie w swoim zamczysku, ponury i zły.

Nie zawsze jednak tak bywało. Rycerz Arnold otrzymał po ojcu skromne dziedzictwo, zamek na pół zrujnowany, przetrzebione lasy i liche ziemie. Żył w ubóstwie, z dala od świetnych zabaw i turniejów. Miał wówczas wielu przyjaciół, podobnie jak on — synów zubożałych rycerskich rodów. Ale podczas gdy oni pogodzili się ze swym losem, Arnold von Schwarzenberg ani na chwilę nie przestał marzyć o odbudowaniu świetności rodu i zdobyciu bogactwu...

Pewnego dnia zdarzył się dziwny wypadek. Nad zamkiem rozszalała się straszliwa burza. Najstarsi ludzie nie pamiętali takiego rozpętania żywiołów. Stare, przegniłe krokwie łamały się z traskiem, źle umocowane dachówki staczały się z dachu na ziemię, wreszcie pod naporem wichury zawaliło się górne piętro wieży strażniczej, zabijając starego sługę.

123

Gdy burza ucichła, przerażona służba rozbiegła się po zamku w poszukiwaniu pana.

Stara klucznica przysięgała, że przed burzą znajdował się on w sypialni, sama nosiła mu tam grzane wino. Teraz sypialnia była pusta, pan zamku zniknął.

Odnaleziono go dopiero nazajutrz. Leżał w podziemiach w podartej odzieży, na pół przytomny, zmieniony do niepoznania. Mówiono powszechnie, że to nie ludzka moc przeniosła go z sypialni w zamkowe lochy, tym bardziej że od tego dnia życie na zamku Schwarzenberg uległo zmianie.

Wezwano murarzy, cieśli, potem wkroczyli malarze, stolarze, do zamku zjeżdżały raz po raz wozy naładowane wspaniałymi meblami, tkaninami, srebrami. Rycerz Arnold von Schwarzenberg odbudowywał siedzibę swych przodków, nadając jej

kształt wspanialszy, niż miała kiedykolwiek przedtem.

Nikt nie wiedział, skąd ubogi dawniej rycerz zdobył środki na odbudowanie i przyozdobienie zamku. I tylko służba i ludzie z jego włości szeptali po cichu, że w ową straszną noc rycerz Schwarzenberg zawarł przymierze z diabłem.

Bardzo to było prawdopodobne, bo Arnold, dawniej wesoły, miły i ludzki, stał się ponury i okrutny.

Taka jest jednak siła bogactwa, że okoliczni panowie chętnie odwiedzali zamek Schwarzenberg, a jeden z nich oddał rycerzowi swą jedyną córkę za żonę.

Biedna była Berta von Schwarzenberg. Nie kochana przez męża, zaniedbywana dla pijatyk i szaleńczych wypraw podejmowanych w towarzystwie najgorszych awanturników i zabijaków, żyła samotnie w swojej części zamku wraz z małą córeczką Małgorzatą.

Powiadano, że rycerz Arnold nie mógł darować żonie, iż nie dała mu syna, przyszłego dziedzica nazwiska i majątku.

124

Pewnego dnia, a było to sześć lat po ślubie, Berta wraz z dzieckiem zniknęły z zamku. Nikt nie wiedział, gdzie się podziały, a teść rycerza Arnołda, ojciec Berty, oskarżył zięcia o zamordowanie żony i córki. Wezwano Schwarzenberga przed sąd, nie udowodniono mu jednak niczego.

Ale na zamku Schwarzenberg musiało zajść coś strasznego, bo rycerz Arnold wpadł jakby w obłąd. Całe noce i dni spędzał w lochach, opukując ściany, wyważając cegły i kamienie ze stropów i podłóg.

Wkrótce okazało się, że rycerz nie jest już bogaty. Z zamku zniknęło złoto, kosztowności, wszystkie cenniejsze przedmioty. Jedni twierdzili, że Berta zabrała skarby Arnołda i uciekła, inni szeptali o zemście nieszczęśliwej kobiety, która ukryła przed mężem jego bogactwa, a sama pozbawiła się życia.

Rycerz trawił całe dni na poszukiwaniach. Powoli opuścili go przyjaciele, potem odbiegła go służba. W zamku została tylko stara klucznica i jej syn, dawniej lokaj, obecnie jedyny służący Arnołda.

Oni wyjawili tajemnicę zamku Schwarzenberg. Choć może to wydać się baśnią, klucznica i jej syn przysięgali, że w rocznicę owej burzy, kiedy to diabeł wyszedł z podziemi i pokazał rycerzowi Arnołdowi drogę do niezmiernych bogactw, na wieży zamkowej ukazuje się widmo Berty von Schwarzenberg. Dzieje się tak co roku w lipcu, w dzień świętego Hieronima, o północy. Postać w białej sukni schodzi schodami w dół, przemierza dziedziniec i znika w zachodnim skrzydle zamku.

Kto by temu nie wierzył, niech pomni, że rycerz Arnołd zginął nie swoją śmiercią, spadając z wieży w lipcu, w dniu świętego Hieronima, o północy, w pięć lat po zniknięciu żony.

125

Przekłete niech będzie złoto Schwarzenberga, niech spoczywa w ziemi aż do dnia sądu! Przekłete niech będzie bogactwo zdobyte nieuczciwą drogą.

Spisał w dniu świętej Anny roku 1732 proboszcz parafii Schwarzenberg + Wilhelm Polkę.

Artur umilkł i spojrzął z triumfem na słuchaczy.

— Co powiecie o tej historii? —?—? spytał.

— Nadzwyczajna — odparła z zapalem Agnieszka i patrząc z podziwem na brata, dodała — ale że udało ci się ją przepisać...

— Strasznie się spieszyłem —? odparł Artur — bałem się, że nie zdążę.

— Czy to było ukryte? — spytała Alinka.

— Nie — odparł Artur — i to mnie bardzo dziwi. Ta cała historia ibyła spisana ołówkiem na bloku listowym, a blok leżał na stole, przyciśnięty jakąś książką. Nie zapamiętałem tytułu, bo książka była napisana po niemiecku, zrozumiałem tylko pierwsze słowo — „Geschichte”.

— Historia —? wyjaśnił pan Ef-Ef. — Doktor znalazł chyba legendę o zamku w niemieckiej książce i przetłumaczył ją.

— Dlaczego w niemieckiej? — spytała Alinka.

— Oj, nie nudź! — obruszyła się Agnieszka. — Nie wiesz, że Polska straciła Śląsk jeszcze w średniowieczu i że potem rządzą tutaj Niemcy? Dopiero po ostatniej wojnie dostaliśmy z powrotem nasze ziemie.

— Skąd mam wiedzieć? — obraziła się Alinka — jeszcze się przecież nie uczę.

— Gdybyś częściej słuchała tego, co nam opowiada mama, tobyś nie zadawała głupich pytań. Sto razy słyszałaś o Piastach Śląskich i o historii Śląska. A nasi rodzice co robią? Od początku szukają dawnych śla-

126

dów polskości na tych ziemiach. Nie byłaś w Niemczy, w Bolkowie, w Świnach?

— Byłam — przyznała pokornie Alinka.

— „Byłam, byłam” — przedrzeźnił siostrę Artur — no i co zapamiętałaś? Że w Bolkowie stłukłaś kolano, a w Niemczy jadłaś pyszne ciastka z serem? Nie wykręcaj się, słyszałem, jak opowiadałaś o tym Adamowi!

Pan Ef-Ef przyciągnął do siebie Alinkę, objął ją ramieniem i coś szepnął do ucha. Pod wpływem tych słów uśmiech powrócił na -skrzywioną do płaczu buzię dziewczynki. Otarła oczy i spojrzała z wyższością i lekceważeniem na rodzeństwo, a potem z zachwytem na redaktora.

— Wracajmy do rzeczy — powiedział pan Ef-Ef. — To, co Artur znalazł w pokoju doktora Osińskiego, jest bardzo zajmujące, ale nie sądzicie chyba, że dorosły człowiek potraktował legendę zupełnie poważnie? Bo wydaje mi się, że podejrzewacie doktora o przyjazd do Czarnego Stoku w celu odszukania zaginionych skarbów rycerza von Schwarzenberg...

— Oczywiście! — krzyknęła Agnieszka.

— Dlaczegoż by nie? — zawtórował jej Artur. — W każdej bajce tkwi ziarnko prawdy, mama zawsze tak mówi.

— I ma rację, ale tym razem jakoś nie mogę dostrzec tego ziarnka — uśmiechnął się redaktor. — Legenda o diable kupującym duszę ludzką w zamian za młodość, nieśmiertelność lub ogromne skarby jest bardzo popularna, przypomnijcie sobie choćby naszego Twardowskiego, ale na współczesny gust chyba zbyt naiwna.

— Ja to rozumiem zupełnie inaczej — powiedziała sztywno Agnieszka, trochę obrażona na redaktora. Że też mógł ich posądzić o taką głupotę! — Nie wiem, w jaki sposób wzbogacił się rycerz Arnold, oczywiście

127

tylko ciemni i zabobonni ludzie ówczesni mogli go posądzać o spółkę z diabłem. Jednak skarby zginęły i zamek popadł w ruinę, ojciec twierdzi, że dzisiejszy kształt zamku nie został zmieniony od połowy osiemnastego wieku, tu więc chyba tkwi to ziarnko prawdy.

— Ja też tak sądzę — poparł siostrę Artur. — Gdybyśmy usłyszeli opowieść o zamku Schwarzenberg przed miesiącem, uważalibyśmy, że to tylko ciekawa legenda. Znamy sporo takich legend, prawie każdy zamek posiada jedną lub kilka. Ale teraz... skoro ktoś dwukrotnie włamał się do naszego mieszkania szukając jakiegoś planu...

— Nie „jakiegoś”, tylko planu zamku w Czarnym Stoku — poprawiła brata Agnieszka.

?— Więc dobrze, ktoś potrzebuje planu zamku w Czarnym Stoku, kręcą się tu podejrzani osobnicy, a równocześnie u najbardziej podejrzanego znajdujemy odpis czy też tłumaczenie historii o zaginionych skarbach. Musi pan przyznać, że to nie mogą być przypadki! I skoro tamci ludzie wierzą, że w Czarnym Stoku istnieje ukryty skarb, dlaczego my mamy nie wierzyć?!

— Zaraz, zaraz — redaktor przytrzymał zrywającego się z miejsca Artura — dlaczego używasz liczby mnogiej? Przecież podejrzewacie tylko doktora Osińskiego...

?— Jak to, czy Agnieszka nie opowiedziała panu wszystkiego? Przecież Alinka zabłądziwszy w podziemiach słyszała rozmowę dwóch ludzi!

— Racja, zapomniałem. Ale w takim razie, kim jest ten drugi?

Artur kopnął ze złością kamyk.

•—? Tego nie wiemy — powiedział ponuro — nie wiemy całej masy rzeczy.

—? Nie łam się — skarciła go Agnieszka — wiemy wystarczająco dużo, aby pokrzyżować plany doktorowi

128

Osińskiemu i jego współpracownikowi. Nie możemy dopuścić do tego, żeby jakieś cenne rzeczy wpadły w niepowołane ręce.

?— Ho, ho! — zaśmiał się pan Ef-Ef. — Co za styl!

— Ona redaguje gazetkę szkolną — wyjaśnił Artur — i przyzwyczaiła się.

— Panie redaktorze — powiedziała z pretensją w głosie Agnieszka — pan zdaje się nie traktuje tej historii poważnie...

Redaktor z zakłopotaniem potarł policzek.

— Ależ tak, oczywiście — odparł, a w oczach zapaliły mu się wesołe ogniki — jeśli wam na tym zależy, potraktuję najzupełniej poważnie sprawę skarbów Schwarzenberga.

—? ??, pan się śmieje... — skrzywił się Artur.

— No, cóż — redaktor powściągnął uśmiech i powiedział całkiem poważnie —? być może, macie rację. Czasem najbardziej nieprawdopodobne historie kończą się całkiem zwyczajnie. Na waszym miejscu na wszelki wypadek nie spuszczałbym z oka doktora Osińskiego. Nie wiem, czy przyjechał tu po skarby Schwarzenberga, ale wiem, że zachowuje się podejrzanie.

— Pan nam pomoże? — spytał z nadzieją Artur.

— Owszem — kiwnął głową redaktor — zawsze będę wam służyć radą. A poza tym jestem bardzo silny, może trzeźba będzie kogoś związać...

— Znowu pan żartuje!

— A rodzicom na razie lepiej nie mówcie o tym wszystkim ?—? redaktor był zupełnie poważny — już i tak zbyt wiele osób wie o waszej tajemnicy. A zresztą obawiam się, że nie potraktowałiby waszych relacji poważnie.

— My się też tego obawiamy — mruknął Artur. Redaktor wstał, przewiesił przez ramię swój wspinały aparat i powiedział:

9 — Niezwykłe wakacje A.B.C

129

— Pogoda się ustaliła i jutro wybieram się na wycieczkę. Pójdziecie ze mną?

Dzieciom zaświeciły się oczy, ale zaraz przygasły. Nie mogą sobie pozwolić na żadne przyjemności, trzeba myśleć o obowiązkach.

—? Nie możemy —? szepnęła Agnieszka — doktor Osiński już wrócił.

— No trudno, pójdę sam. Czego chcesz, Alinko? Mała szarpnęła go mocno za rękaw wiatrówki, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— A co będzie z duchem, proszę pana? — spytała. —? Z jakim duchem, o czym ty mówisz?

— Tam przecież było napisane, że w lipcu pokazuje się na wieży duch. A teraz jest lipiec — nie ustępowała

Alinka.

— Ona ma rację — krzyknął Artur i zaczął recytować — „w lipcu, w dzień świętego Hieronima ukazuje się widmo Berty von Schwarzenberg w długiej białej sukni...”

— Ależ, moi drodzy... — zaczął redaktor, ale spojrzawszy na twarze dzieci nie dokończył zdania i sięgnął po kalendarzyk. Przerzucił kilka kartek i powiedział:

— Świętego Hieronima przypada dnia dwudziestego lipca.

— A dziś jest czternasty — szepnął Artur.

— No to macie jeszcze sześć dni czasu na spotkanie z duchem! — powiedział drwiąco redaktor Ef-Ef.

— Ja nie chcę spotkać ducha — zaszlochła Alinka. Agnieszka pochyliła się nad siostrą.

— Nie płacz, Alusiu, przecież wiesz, że żadnych duchów nie ma.

—? Ale tam jest napisane — płakała dalej Alinka.

— To jest legenda, bajka, czy nie rozumiesz tego?! — zezłościła się starsza siostra.

130

— Nie rozumiem — chlipała Alinka. — Jak chodzi o skarby, mówicie, że to prawda, a jak chodzi o ducha, mam wierzyć, że to bajka!

— Widzicie, coście narobili? — powiedział z wyrzutem redaktor. ?— Niepotrzebnie nastraszyliście dziecko. Alusiu, daję ci słowo, że nie ma duchów, i jestem pewien, że żadna zjawa nie ukaze się na wieży ani dwudziestego lipca, ani dwudziestego pierwszego, ani w ogóle nigdy.

— A ja bym nie był taki pewny — mruknął pod nosem Artur.

Rozdział XIII

Duchy nie znajdują się na kalendarzu

— Teraz już nic nie rozumiem — powiedziała Agnieszka ze smutkiem, wrzucając ostatni oskrobany ziemniak do miski z wodą —? nasza teoria załamała się w zetknięciu z rzeczywistością.

Artur wykrzywił się z niesmakiem.

— Czy nie mogłabyś wyrażać się po ludzku?

— Jaki ty jesteś prymitywny —? zirytowała się Agnieszka — chodzi mi po prostu o to, że tym razem był u nas prawdziwy złodziej. Zabrał przecież srebrne łyżeczki, jesionkę tatusia i twoje buty narciarskie. Wcale nie szukał drugiego planu.

— To ty jesteś prymitywna! Widzisz tylko to, co masz pod nosem! Nie słyszałaś nigdy, że przestępcy lubią wprowadzać policję w błąd? Na przykład mordują kogoś z zemsty, a potem zabierają mu portfel i zegarek, żeby stworzyć pozory morderstwa rabunkowego.

— Artur — Agnieszka zbladła — myślisz, że oni chcą kogoś zamordować?!

Artur popukał się znacząco palcem w czoło. Nie, z Agnieszką ostatnio w ogóle nie sposób rozmawiać. Jest zupełnie nieprzytomna.

— Słuchaj, ja przecież tylko dałem ci taki przykład, żebyś lepiej zrozumiała, o co mi chodzi. Włamy-

132

wacz mógł zabrać plan, a przy okazji wziął jesionkę, buty i łyżeczki, żeby to wyglądało na zwyczajną kradzież.

— Tak sądzisz? — spytała niepewnie Agnieszka.

— No pewno. Bo pomyśl, dlaczego złodziej wziął tylko łyżeczki, skoro w szufladzie, troszkę głębiej, leżała cała kasetka ze srebrem? Dlaczego wziął jesionkę ojca, a zostawił kożuszek mamy i futerko Alinki? Wszystko wisiało w tej samej szafie. Ot, po prostu chwycił, co mu wpadło w rękę, bo naprawdę chodziło mu o plan, a nie o ciuchy!

Agnieszka opłukała ziemniaki, zalała je wrzątkiem i sięgnęła po sól.

— Co robisz?! — krzyknął Artur. — Gotujesz ziemniaki na słodko?

Prawda! Agnieszka ocknęła się z zadumy i spojrzała na pudełko, z którego zaczerpnęła pełną łyżkę cukru.

— Zamyśliłam się — powiedziała — te pudełka są takie podobne do siebie... Artur, ale że tata tego nie zauważył?

Artur wyciągnął się jak długi na trawie i z uwagą obserwował korony drzew, które z tej pozycji wyglądały bardzo interesująco.

?—? No wiesz —? powiedział lekceważąco —? mówisz, jakbyś nie znała własnego ojca. Przecież on na pewno nie pamięta, co gdzie leżało. To cud, że zauważył zniknięcie łyżeczek i tamtych rzeczy z szafy.

—• A co powiedziała milicja? — spytała Agnieszka rozrabiając proszek budyniowy z mlekiem.

—? Jak to milicja? — skrzywił się Artur. — Pozdejmowali odciski palców i powiedzieli, że dadzą znać, gdy odnajdą nasze rzeczy.

— A włamywacz siedzi sobie spokojnie w Czarnym Stoku! —? jęknęła Agnieszka. — Artur, powinniśmy zawiadomić milicję, inaczej oni go nigdy nie znajdą!

133

— Odstaw lepiej mleko, bo zaraz wykipi, a potem postukaj się w rozum!

Zawiadomić milicję, czy ty masz dobrze w głowie?! Co jest ważniejsze, srebrne łyżeczki czy ukryte skarby? Przecież gdyby milicja aresztowała doktora Osińskiego, to skarby przepadną!

— Dlaczego? — Agnieszka upuściła łyżkę ze zdumienia.

— Dlatego, że on chyba wie, gdzie ich szukać, a my nie wiemy. Nie spuścimy go z oka nawet na moment, a gdy odnajdzie skarb — zdemaskujemy go!

Agnieszka spojrzała z uznaniem na brata. Chytrze to wymyślił. Rzekomy doktor Osiński wskaże im drogę do skarbów, a oni już tak pokierują sprawą, aby skarby trafiły we właściwe ręce. Na przykład do Muzeum Śląskiego we Wrocławiu. Może dyrekcja Muzeum umieściłaby przy skarbach tabliczkę — „Odnalezione przez Agnieszkę i Artura Ciekoskich”? Prawda, trzeba by też umieścić imię Alinki, ona pomaga, jak może... 1 pierwsza dowiedziała się o planie. No i Adam... Może napisaliby o nich w gazecie? To by było wspaniałe! Klasa spuchłaby z dumy! A pan od matmy uznałby może wreszcie, że przyszły historyk sztuki nie musi tak dokładnie znać się na równaniach...

— Agnieszka, co się z tobą dzieje?! —

Okrzyk brata wyrwał dziewczynkę z miłych marzeń. No tak, budyń już się przypalił, fuj, jaki wstrętny! Trudno, dzisiaj obiad będzie bez deseru.

Artur spojrzał z politowaniem na siostrę. Całkiem straciła głowę. Stanowczo dziewczęta nie nadają się do takich rzeczy. Ale przecież podobno kobiety pracują w milicji i świetnie sobie radzą. O, wraca Adam, może dowiedzą się czegoś nowego. Adam usiadł na trawie obok Artura i z lubością wciągnął powietrze. Od strony kuchni przepięknie zapachniała smażona kiełbasa.

134

— Co nowego? — spytał Artur.

— Poszedł na obiad. Zostawiłem Alinkę na podwórzu, bawi się z psem. Gdyby doktor wyszedł, pójdzie za nim — złożył raport Adam.

— Co robił po śniadaniu?

— Najpierw rozmawiał z dozorcą, potem pomógł mu narąbać drzewa, a potem zobaczywszy mnie i Alinkę, spytał, czy nie poszlibyśmy z nim na spacer.

— No a wy oczywiście zgodziliście się.

— Jasne. Alinka napomknęła coś o malinach, więc poszliśmy do lasu na te maliny.

— O czym rozmawialiście?

— Prawdę mówiąc, to o wszystkim i o niczym. Najwięcej gadał z Alinką, wypytywał ją o zabawy w przedszkolu, o koleżanki, w ogóle o same bzdury. Potem spytał, czy już jestem zdrowy.

— I nic więcej? — W głosie Artura zabrzmiało rozczarowanie.

—• Czekaj. Kiedy byliśmy w lesie, wyjąłem z kieszeni ten pasek od zielonego płaszcza i spytałem, czy przypadkiem go nie zgubił. Doktor obejrzał dokładnie pasek i powiedział, że nigdy nie miał takiego płaszcza. A potem spytał, gdzie go znalazłem. Powiedziałem, że w krzakach w pobliżu północnej wieży. Obserwowałem go przez cały czas, ale nawet nie mrugnął powieką. To musi być niezły numer!

— I to wszystko?

— Zdaje się, że Alinka nawarzyła nam piwa. Wracaliśmy już do zamku tą ścieżką wzdłuż stoku i wtedy ona powiedziała:

— Tutaj gdzieś jest zejście do podziemi.

A doktor spytał, skąd o tym wie. Mrugałem na smarkulę, ale nie zwracała na mnie uwagi i opowiedziała całą historię z kompasem, poszukiwaniem pierników i błędzeniem w lochach. Na szczęście nic nie

135

wspomniała o podsłuchanej rozmowie. Doktor najpierw bardzo się śmiał, a potem zaczął wypytywać o to wejście i spytał, czy Alinka potrafiłaby je odnaleźć. A ona na to, że strzałka pokazywała jej drogę. Miałem ochotę wytargać ją za uszy! Na szczęście usłyszeliśmy jakieś śpiewy i Alinka przestała trajkotać.

— Jakie śpiewy? —? zainteresowała się Agnieszka.

— Harcerze śpiewali. Założyli obóz jakieś pół kilometra od zamku, niedaleko kapliczki, nad strumieniem. Z murów doskonale widać namioty.

Agnieszka ze złością rzuciła nakrycia na stół.

—? Mówiłam, żeby Alinki nie wciągać w naszą robotę! To przecież skończony głuptas, wszystko nam popsuje!

Artur pokręcił głową. Był innego zdania. Alinka, oczywiście niechcący, zrobiła bardzo dobre posunięcie. Dziś w nocy przygotowują zasadzkę. Jeśli doktor Osiński tak bardzo zainteresował się ukrytym wejściem do lochów, na pewno spróbuje odnaleźć je. Będą go śledzić i, być może, zyskają nowe wskazówki.

— Pójdziemy we trójkę, Alince ani słowa — zakończył Artur.

?— Cicho — syknęła Agnieszka — rodzice! —? Szkoda, że redaktor pojechał — szepnął Artur — na pewno poszedłby z nami.

— No, córeczko — powiedziała wesoło mama A.B.C. — jak tam z obiadem? Umieramy z głodu.

— Już prawie gotowy, trzeba tylko odcedzić ziemniaki — odparła Agnieszka i zabrała się do nalewania zupy.

— No i proszę — syknął Artur spoglądając na zegarek — już jest wpół do dwunastej! Stanowczo za późno wychodzimy.

136

— Skąd mogliśmy wiedzieć, że właśnie dziś rodzice tak długo będą się kręcić po

obozie? — ziewnęła Agnieszka. — Zwykle o dziesiątej już śpią.
— Szybko, nie traćmy czasu na rozmowy — zniecierpliwiał się Adam — doktor Osiński już pewno dawno wyszedł ze swego pokoju.
Cichutko wysłiznęli się z namiotu, uważając, by nie zbudzić smacznie śpiącej Alinki.

Przygotowali się do tej wyprawy starannie. Artur i Adam mieli latarki elektryczne i kilkanaście metrów sznura, postanowili bowiem nie tracić czasu na szukanie wejścia do lochów, które znalazła Alinka, lecz zejść do podziemi tą samą drogą, którą wydobyli siostrę, to jest spuścić się na linie w dół.

Agnieszka prowadziła na smyczy Ali Babę, nakazawszy mu surowo absolutny spokój. Noc była cicha, ciepła, księżyc świecił jasno i wyprawa zapowiadała się całkiem przyjemnie. Na dziedziniec zamkowy dostali się bez żadnych przygód. Raz tylko Agnieszka odskoczyła z przerażeniem, tłumiąc okrzyk strachu, gdy coś zaszeleściło jej pod nogami. Na szczęście była to tylko żaba.

--Brakowało piętnastu minut do północy, gdy znaleźli się przy kamiennej płycie zakrywającej zejście do lochów. Przywiązali mocno sznur do żelaznego uchwytu i zaczęli mocować się z ciężką pokrywą.

Tym razem poszło im łatwiej, zabrali bowiem z samochodu lewarek, którym podważyli płytę.

Adam miał zejść pierwszy i już przymocowywał sobie na piersiach latarkę, gdy usłyszeli daleki, stłumiony jęk.

— Co to było? — szepnęła Agnieszka.

— Ktoś płacze — odparł niepewnie Artur. ?—? To sowa — zawyrokował Adam. Jęk powtórzył się. Po chwili odpowiedział mu inny

137

głos, chrapliwie zawodzące poszczekiwanie, zakończone przenikliwym wyciem. Ali poruszył się niespokojnie i postawił uszy.

•— To pies, pewno przybłąkał się tutaj aż ze wsi — powiedział Artur — szkoda czasu...

Nie skończył. Ciszę nocną rozdarł upiorny, straszliwy śmiech.

Agnieszka chwyciła (brata za ramię.

— Artur, co to było? To przecież nie pies!

— Może... może szakal...

— Zwariowałeś?! W Polsce nie ma szakali! —? Mógł uciec z zoo. Pierwszy opanował się Adam.

— Chodźmy zobaczyć. Te głosy dochodzą z wewnętrznego dziedzińca.

— Nie, nie, boję się — Agnieszka dygotała jak w febrze tuląc do siebie ogromnie podnieconego Ali Babę.

— To zostań tutaj, my idziemy—oświadczył Artur.

Na to Agnieszka nie mogła się zgodzić. A zresztą zostać samej w tych ciemnościach to jeszcze gorsze niż pójść z chłopcami. Pędem przebiegli dziedziniec i po chwili znaleźli się w cieniu bramy. Wychylili ostrożnie głowy. Przed nimi oświetlone blaskiem księżycy zachodnie skrzydło zamku i północna wieża. Reszta tonie w mroku.

—? Tu nikogo nie Yc% — szepce Artur.

— Tam... tam — wyciągnięty palec Agnieszki wskazuje wieżę — tam się coś poruszyło!

Wyteżają wzrok. Ależ tak, Agnieszka ma rację, jakiś szary kształt porusza się u stóp wieży. Człowiek czy...

— O rany! — w głosie Artura brzmi przerażenie. ?— Patrzcie!

Nie, to nie może być prawda, takie rzeczy się nie zdarzają! To sen, halucynacja... A jednak...

138

Z drzwi wieży wychodzi wysoka biała postać, lunatycznym krokiem posuwa się naprzód.

— To Berta! — szczęka zębami Agnieszka. — Berta von Schwarzenberg!

139

Na wieży zegar zaczyna wybijać północ. Czy to możliwe? Zegar przecież nie chodzi od lat! Artur szczypie się z całej siły w udo. To wszystko chyba im się śni!

— Może lepiej wróćmy do namiotów — szepce Agnieszka usiłując bezskutecznie opanować drżenie głosu — nie mogę utrzymać psa.

To nieprawda, Ali siedzi całkiem spokojnie, nadśluchuje tylko pilnie i od czasu do czasu warczy cichutko, obnażając potężne kły.

•— Coś ty! — oburza się Adam. — Przecież sama mówiłaś, że nie ma żadnych duchów! Musimy sprawdzić, kto...

Nagle milknie, po prostu głos mu więźnie w gardle. Może tylko drżącym palcem wskazać drugą postać wysuwającą się z mroków dziedzińca.

— Co to znaczy? — jąka Agnieszka. — Przecież było napisane, że ukazuje się tylko jeden duch!

—? Patrzcie! — Adam z całej siły ściska ramię Artura. — Patrzcie! Trzecia Berta!

Tego już za wiele! Można nie wierzyć w duchy, ale kiedy o północy w zrujnowanym zamku ukazują się trzy "niesamowite białe postacie, lepiej brać nogi za pas!

Ile razy później dzieci usiłowały odtworzyć, kiedy i jak znalazły się w obozie — nie mogły sobie tego uprzytomnić. Zapamiętały tylko wysokie, białe postacie

sunące w ich kierunku i paniczną ucieczkę, w czasie której zapomniały o

odsuniętej płycie, o sznurze przywiązany do uchwyty, w ogóle o wszystkim, nawet o celu swojej wyprawy.

Dopiero gdy zobaczyły samochód i namioty, gdy usłyszały równy oddech śpiącej spokojnie Alinki, strach zaczął powoli mijać.

?*. 140

— One... one tu chyba nie przyjdą? — wyjąkała Agnieszka.

t— Skądże — odparł Artur usiłując zapanować nad szczękaniem zębów — w legendzie jest powiedziane, że duch wychodzi z wieży i idzie do zachodniego skrzydła.

— Tam było napisane, że duch Berty von Schwarzenberg ukazuje się dwudziestego lipca, a dziś jest piętnasty, i w dodatku widzieliśmy trzy Berty zamiast jednej

— wykrztusił Adam.

— Właśnie — Artur na chwilę zapomniał o strachu. ?—? I dlaczego one ukazały się akurat dziś? I dlaczego trzy?

— Nie wiem. Może jest kilku Hieronimów, w dokumencie nie było przecież daty.

— Słusznie ?— ożywiła się Agnieszka. — Na przykład „ja obchodzę imieniny dwudziestego pierwszego stycznia, natomiast Agnieszka Zawadzka dwudziestego kwietnia. Bo w kalendarzu są dwie Agnieszki.

— Zaraz sprawdzimy, mam przy sobie kalendarzyk — Adam sięgnął do kieszeni —? tu na końcu jest wykaz imion... mam, Hermana, Hiacynta, Hieronima! Siódmego czerwca, dwudziestego lipca i trzydziestego września.

— No to już nic nie rozumiem! — jęknął Adam.

— Słuchajcie — zaczął Adam — a może... może to "wcale nie były duchy?

— No, wiesz — obraziła się Agnieszka — przecież wszyscy widzieliśmy... te białe niesamowite postacie!

— Widzieliśmy, racja — nie ustępował Adam — ale przecież duchów nie ma. Może to

była tylko komedia?

— Zwariowałaś? — wzruszył ramionami Artur. — Komu by się chciało bawić w takie maskarady?

— Nonsense! — poparła brata Agnieszka. — Kto by to mógł być? Dozorca? Doktor Osiński?

141

— A gdyby? Może doktor Osiński zorientował się, że go śledzimy, i chciał nas nastraszyć? Może liczy na to, że pomdleliśmy ze strachu i zostawimy go w spokoju? Artur zerwał się. Adam ma rację! Uciekli jak zające, bo zobaczyli duchy! Na to właśnie mógł liczyć doktor Osiński lub też jego wspólnicy.

— Idziemy! — powiedział.

— Dokąd? — przeraziła się Agnieszka.

— Sprawdzić, komu zależało na tym, żeby nas przepłoszyć z zamku — odparł Artur.

— Znowu mamy iść na dziedziniec?!

— Nie, tym razem poszukamy wejścia do lochów, tego, którym weszła Alinka. Wezmę kompas. Ona mówiła, że strzałka cały czas pokazywała jej drogę, czyli że szła stale w kierunku północnym.

— No dobrze — zgodziła się niechętnie Agnieszka — zaczekaj, wezmę tylko sweter, bardzo pochłodziło.

Tym razem droga była mniej przyjemna. Księżyc świecił wprawdzie równie jasno, ale drzewa rzucały jakieś niesamowite cienie, w krzakach ciągle coś szeleściło, dzieciom raz po raz zdawało się, że słyszą jakieś kroki, podejrzanym szmerem...

Przystawali, rozglądali się, ale nie zawrócili z drogi. Artur prowadził. Zgodnie z wskazówką kompasu kierowali się stale na północ. Najpierw szli ścieżką, potem zboczyli i weszli na stok. Po chwili znaleźli się w zaroślach.

— To na pewno tu? —? szepnęła Agnieszka przystając.

— Idziemy zgodnie z kierunkiem wskazywanym przez kompas? — odparł Artur.

Nagle Ali podniósł łeb i zaczął węszyć.

— Szukaj, piesku, szukaj — szepnęła machinalnie Agnieszka. Poczowała szarpnięcie.

To Ali pociągnął smycz

142

wyrywając się naprzód. Poszli za nim. Gałęzie biły ich po twarzach, cierniste krzaki chwyciły za ubrania, jednak Ali ciągnął wytrwale Agnieszkę, nie przestając gorliwie węszyć.

Nagle zatrzymał się i szczeknął krótko. Artur poświecił latarką.

— Patrzcie! — krzyknął wskazując jakiś ciemny kształt, leżący na ziemi.

Spowity w koce, skrępowany sznurami leżał przed nimi doktor Osiński. Na piersiach miał przypiętą kartkę.

—? Tam jest coś napisane — wyjąkała Agnieszka.

Artur pochylił się nad kartką.

— Nie pchaj palca między drzwi — przeczytał. — Co to ma znaczyć?

— Może byście skończyli te głupie kawały? — stęknął doktor. — Rozwiążcie mnie!

Jednym ruchem Artur przeciął sznury i doktor Osiński, wyplątawszy się z koców, z ulgą rozprostował ramiona.

— Wszystko rozumiem — powiedział podnosząc się z trudem — jesteście młodzi, macie wakacje, tak jest, wakacje, ja też kiedyś lubiłem płatać psie figle, ale tego już za wiele! Poskarżę rodzicom, tak jest, rodzicom, niech was trochę utemperują!

— Ale o czym pan mówi? ?—? zdumiał się Artur. — Pan myśli, że to my tak pana urządziliśmy?

— A kto? — burknął ze złością doktor Osiński, rozcierając ścierpnięte dłonie. — Słyszałem przez cały czas wasze kroki, tak jest, kroki, szliście za mną, a w pewnej chwili zarzuciliście mi koc na głowę i skrępowaliście mnie sznurem, tak jest, sznurem!

— Ależ to nie my! Przysięgam! —? krzyknęła Agnieszka. — My byliśmy w zamku i... i zobaczyliśmy ducha... to znaczy zdawało się nam...

143

— Zobaczyliśmy kogoś, kto przebrany za ducha usiłował nas nastraszyć — wyręczył siostrę Artur — w pierwszej chwili okropnie się przeraziliśmy, ale potem postanowiliśmy sprawdzić, kim był ten duch. Więc wyszliśmy jeszcze raz z obozu i...

Artur urwał. Nie chciał zdradzić się przed doktorem, że szukali wejścia do lochów.

— ...i Ali pana zwęszył — Agnieszka r.zybko zorientowała się w zamiarach brata.

— Zobaczymy, czy mówicie prawdę — powiedział doktor Osiński — a co to za kartka?

— Była przypięta do koca —? wyjaśnił Artur.

—? Nie pchaj palca między drzwi — przeczytał doktor — hm, to wygląda na ostrzeżenie. Druga część tego powiedzonka brzmi: „bo ci go przycisną”.

— Czy pan coś z tego rozumie? — spytał Adam patrząc spod oka na doktora. .

— Być może — odparł krótko zapytany.

— I nie boi się pan?

— A wy? — odpowiedział pytaniem doktor Osiński. — Wy się nie boicie? To ostrzeżenie może równie dobrze dotyczyć was, prawda?

— Prawda — wyjąkał Artur, czując nagle zimny dreszcz strachu.

Rozdział XIV

Zielona noc

Nazajutrz od samego rana w obozie rozpełtało się piekło! Najpierw przybiegł dozorca żądając od pana „naczelnika”, to znaczy taty A.B.C., natychmiastowego wezwania milicji, „bo cały zamek rozkradną, a potem będzie na mnie!”

Oczywiście powodem jego wzburzenia był znaleziony na dziedzińcu lewarek i sznur uwiązany do pokrywy wjazdu, które to przedmioty dzieci zapomniały zabrać do obozu. Ale to jeszcze nic! Zanim dozorca skończył barwną opowieść o „złodziejach czyhających na te freski, co to ich pani naczelnikowa poszukuje”, w obozie zjawił się purpurowy z gniewu doktor Osiński.

Sapiąc i stękając zameldował o zniknięciu z pokoju cennych notatek i o pozostawionej na ich miejscu kartce z napisem: Kto szuka, ten znajdzie.

— A w ogóle, proszę szanownych państwa — mówił doktor Osiński, nie zapominając mimo wzburzenia o ugrzecznionych formach bycia ?— ja mam tego dość! Ja tu przyjechałem odpocząć, tak jest, odpocząć, ja myślałem, że znajdę tu ciszę i spokój. Tak jest, młodzieńcze — zwrócił się do Artura — ciszę i spokój. Gdy będziesz w moim wieku, zrozumiesz to być może.

10 — Niezwykle wakacje A.B.C.

145

A także pojmiesz, że wasze wybryki są niesmaczne i nieodpowiedzialne. I ja sobie wypraszam! A przede wszystkim żądam zwrotu notat-gk, tak jest, natychmiastowego zwrotu notatek!

Artur, czerwony i zmieszany, raz po raz otwierał usta, by wtrącić jakieś wyjaśnienie, ale doktor Osiński nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Tak, młodzieńcze, obiecałem, że nie zrobię użytku z waszej głupiej zabawy, tym bardziej że dość szybko odezwało się w was sumienie i oswobodziliście mnie z

więzów. Ale skoro przekonałem się, że splądrowaliście mój pokój... To już nie jest zabawa! Proszę natychmiast oddać notatki!

W tym momencie doktorowi zabrakło tchu i umilkł. Wykorzystał to tata A.B.C. i groźnym głosem powiedział:

— Artur, Agnieszka, co to ma znaczyć? Zaufałem wam, ale wy, zdaje się, przekroczyliście granice mego zaufania. Proszę w tej chwili zwrócić doktorowi notatki i wyjaśnić, co miało znaczyć zabranie ich z pokoju!

— Tatusiu! — jęknęła Agnieszka. —? To nieporozumienie!

— Nie braliśmy żadnych notatek — zawtórował jej Artur.

?—? Znaleźliśmy doktora Osińskiego skrepowanego kocem i sznurem i uwolniliśmy go — wtrącił nieśmiało Adam ?— ale to nie my go związaliśmy.

?—? Oczywiście — sapnął doktor — było do przewidzenia, że wyprą się wszystkiego. Szanowny pan pozwoli —? zwrócił się do taty A.B.C. ?—? że poprowadzę śledztwo osobiście, tak jest, osobiście.

Artur przymknął oczy.

„To koniec ?— pomyślał z rozpaczą — teraz wszystko się wyda!”

146

— A więc, moja panienko, i wy, młodzieńcy — doktor przypomniał sobie o istnieniu Adama — zacznijmy od początku. Co robiliście dziś w nocy?

— Spaliśmy ?— odparł zuchwale Artur. Jak ginąć, to z fasonem!

— Kłamstwo! — krzyknął doktor. — Rozmawiałem z wami o pierwszej po północy! Sami przyznaliście, że uwolniliście mnie z więzów!

— Noc jest długa — powiedziała chłodno Agnieszka, patrząc z pogardą na pękającego ze złości doktora ?— spaliśmy od pierwszej do samego rana.

Wstrętny typ! Nie dość, że przyjechał do Czarnego Stoku po zaginione skarby Schwarzenbergów, do których nie ma najmniejszego prawa, to jeszcze nie umie trzymać języka za zębami!

— Agnieszko — skarciła córkę mama A.B.C. — jak ty się odzywasz do doktora Osińskiego?! Proszę w tej chwili przestać się uśmiechać! — dodała widząc ironiczny grymas na ustach dziewczynki.

—? A więc pytam jeszcze raz ?— doktor Osiński szarpnął kołnierzyk koszuli, aż urwały się dwa guziki — co robiliście do godziny pierwszej po północy? Byliście w zamku, prawda? Nie wypierajcie się! Ojciec poznał swój lewarek! Czego szukaliście wczoraj na dziedzińcu? I wtedy, podczas burzy, kiedy spotkałem was przy wieży?

?— Szukaliśmy skarbów! — wypalił nagle Artur.

— Jakich skarbów? — spytał słodko doktor Osiński.

— Zaginionych skarbów rycerza Arnolda! — krzyknęła Agnieszka. —? I ukazał się nam duch Berty von Schwarzenberg.

—? Wiecie o ukrytych skarbach i o Bercie von Schwarzenberg! — zasyczał doktor Osiński. — A więc to tak! Byliście w moim pokoju, znaleźliście tłumaczenie legendy i zabraliście moje notatki!

??*

147

— Nie! — krzyknęli razem Agnieszka, Artur i Adam. — Niczego nie braliśmy!

— Bardzo przepraszam, ale ktoś w tym towarzystwie zwariował! — powiedziała nagle spokojnie mama A.B.C. ?— O czym wy mówicie, do licha! Jakie skarby, jaka Berta?

— Mamusiu, ty nic nie rozumiesz — krzyknęła Agnieszka ?— my... my odkryliśmy straszną tajemnicę! Nie mówiliśmy wam, bo... bo... — Agnieszka umilkła nagle i

oczy jej zaczęły się robić coraz większe. Wpatrywała się z takim uporem w ścieżkę, do której wszyscy byli obrócenii plecami, że jej wzrok zmusił resztę towarzystwa do spojrzenia w tym samym kierunku.

— A to co znowu?! — krzyknął tata A.B.C. Ścieżką zbliżał się ku obozowi dziwny pochód. Na

jego czele szedł młody mężczyzna w mundurze harcerskim, za nim wlokły się trzy postacie przybrane w prześcieradła przepasane sznurami, na końcu wreszcie tłoczyła się gromadka ośmiu lub dziesięciu chłopców w harcerskich mundurkach.

— Zdaje się, że coś mi świta — szepnął Artur do Adama — czy to czasem nie trzy wcielenia Berty von Schwarzenberg?

Adam zachichotał cichutko.

Tymczasem dziwny pochód zatrzymał się, młody człowiek w mundurze zasalutował i wypychając naprzód trzy postacie w prześcieradłach, powiedział krótko, lecz groźnie:

— Gadać!

— To my... —? stęknęło pierwsze prześcieradło.

— ...my tylko bawiliśmy się — dodało drugie.

— I były dwie grupy — uzupełniło trzecie.

— Więc my chcieliśmy ich nastraszyć... — wystękało pierwsze.

148

— Nic nie rozumiem! — krzyknął tata A.B.C, wichrząc sobie włosy — gadajcie po ludzku! Co ma znaczyć ta maskarada o dziewiątej rano?!

Prześcieradła w wielkim zakłopotaniu przestępowały z nogi na nogę.

— To była zielona noc! — krzyknęli nagle wszyscy razem.

Tata A.B.C. roześmiał się, a prześcieradła odetchnęły z głęboką i widoczną ulgą. Zielona noc! Każdy, kto choć raz w życiu był na harcerskich wakacjach, wie, co znaczą te dwa słowa. Ostatnia noc obozowa, noc swobody, noc wolności, zwariowanych pomysłów i psikusów.

— No tak — powiedział doktor Osiński — teraz rozumiem. Rozbiliście obóz w pobliżu średniowiecznego zamku i przyszło wam na myśl, że zamek bez duchów nie jest prawdziwym zamkiem. Ale kogo właściwie chcieliście postraszyć?

— Drugą grupę — odparł jeden z chłopców, wyplątując się z prześcieradła — grupę poszukiwaczy skarbów.

— Jakich znów skarbów?! — krzyknął wielkim głosem tata A.B.C.

Harcerze spojrzeli nań z dezaprobatą. Dorośli wcale nie mają wyobraźni!

— Bo my, proszę pana, umówiliśmy się, że w zamku są zakopane skarby, a zastępowy pozwolił, ukrył w ruinach dwie tabliczki czekolady i zostawił różne znaki. Więc my podzieliliśmy się na dwie grupy i szukaliśmy.

— Szukaliście czekolady? — spytała słabym głosem mama A.B.C.

— Oczywiście — odparł wysoki, szczupły brunecik w okularach.

— A oni, proszę pana, ubrali się w prześcieradła i o dwunastej walili w patelnię. Myśleli, że nas nastra-

149

szą i sami zjedzą czekoladę! — wtrącił blondynek z zadartym nosem.

?—? A wy co? — spytał tata A.B.C. — Nie przestraszyliście się?

— Eee, tam — odparł lekceważąco ten z zadartym nosem — wcale się nie przestraszyliśmy, chociaż oni wyli i szczekali i w ogóle wydawali różne nieludzkie odgłosy.

— Nie byliby tacy odważni, gdyby wiedzieli to, co my! — szepnął Artur do Agnieszki.

— Ale potem... — zaczął brunet i umilkł.
— Co było potem? — spytał grubym głosem doktor Osiński.
— Potem zauważyliśmy, że ktoś nas śledzi, i... i postanowiliśmy pozbyć się tego „ktosia”.
— Więc zarzuciliście mu koc na głowę i związaliście go sznurem! — krzyknął doktor.
— Tak. Skąd pan wie?! — przeraził się nagle blondynek.
— Skąd wiem? Dotąd bolą mnie ramiona od waszych sznurów — wyjaśnił ponuro doktor Osiński.
—? O rany! Więc to był pan?! Bardzo przepraszamy, naprawdę! Ale myśleliśmy, że to ktoś z drugiej grupy. Dopiero gdy wróciliśmy do obozu i okazało się, że nikogo nie brakuje, wróciliśmy, aby uwolnić ofiarę naszej pomyłki. Nie znaleźliśmy już nikogo, tylko koc i sznury. Niech pan się nie gniewa, bardzo prosimy.
Doktor Osiński, otoczony przez gromadę chłopców, podniósł ręce do uszu.
— Nie gniewałbym się — powiedział ?—? sam byłem kiedyś, dawno temu, harcerzem i przeżyłem niejedną zieloną noc. Nie gniewałbym się, gdybyście poprzestali na straszeniu, ostatecznie darowałbym wam i ten napad. Ale włamania i kradzieży nie daruję!
— O czym pan mówi? — zaniepokoił się zastępowy.

150

— Dzisiejszej nocy ktoś wszedł do mojego pokoju i zabrał bardzo cenne notatki. Zostawił tę kartkę, a drugą przypiął do koca, którym byłem skrepowany. Proszę porównać.
Podał młodemu człowiekowi dwa świstki papieru.
— Tak — szepnął zastępowy — ten sam papier, to samo pismo. Co to ma znaczyć? — spytał groźnie.
— Myśmy tego nie pisali! — krzyknął blondynek, oglądając kartki.
—? I nie byliśmy w żadnym pokoju! — dodał ten w okularach.
— Nie braliśmy żadnych notatek. My o niczym nie wiemy, naprawdę! Harcerskie słowo! — zabrzmiało ze wszystkich stron.
— Proszę państwa ?— powiedział zastępowy — tu chyba zaszła jakaś pomyłka. Pozwoliłem chłopcom na zabawę w poszukiwanie skarbów, to ostatnia noc, dziś już wracamy do domu. Gdy przyznali się, że przez pomyłkę skrepowali kogoś obcego kocem i sznurami, przypomniałem sobie, że widziałem namioty pod zamkiem, i pomyślałem, że to mógł być ktoś z państwa. Zabawa zabawą, ale zebrałem wszystkich i przyszliśmy tu wyjaśnić i przeprosić. Jednak kradzież... nie, znam moich chłopców i ręczę za nich! Oni tego nie zrobili.
— Więc kto?! — wrzasnął doktor Osiński czerwieniejąc z gniewu. — Oni nie, ci też nie — wskazał palcem Agnieszkę, Artura i Adama — więc kto?
— O rany! — szepnął nagle Adam i dał nura do namiotu.
— Co się stało... — zaczął Artur i nagle zrozumiał. Na ścieżce ukazał się milicjant. Jedną ręką prowadził rower, w drugiej trzymał jakąś paczkę.
— Dzień dobry państwu — powiedział opierając rower o drzewo. — Co widzę, od samego rana zbiegowisko? Czy coś się stało? ;

151

— Tak, nie, to jest... — tata A.B.C. mruczał coś niewyraźnie pod nosem.
— Bo ja do państwa w interesie •— powiedział milicjant i zdjął czapkę —? państwo pozwolą, strasznie dziś gorąco.
— A może kwaśnego mleka? — uśmiechnęła się mama A.B.C.

— Dziękuję, jestem tu służbowo — z żalem odmówił milicjant — znalazłem to na łące, koło stogu siana? —? milicjant wskazał paczkę. — Zajrzałem do środka i pomyślałem, że pewno ktoś z państwa zgubił, bo we wsi nikt czegoś takiego nie posiada.

Doktor Osiński skoczył jak tygrys ku paczce, rozwinął ją i niewysłowiona ulga odbiła się na jego twarzy.

—? Moje notatki! Znalazły się!

— Widzi pan! — powiedział obrażonym głosem zastępowy. — A już posadzał pan moich chłopców!

— I moje dzieci! — zawtórowała mu mama A.B.C.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam. Łaskawa pani zechce wybaczyć, tak jest, wybaczyć. To było nieporozumienie.

— Czy wszystko w porządku? — spytał milicjant patrząc podejrzliwie na niesłychanie podnieconą grupę młodzieży i dorosłych.

— Tak, tak, w absolutnym porządku. I bardzo dziękuję! — powiedział doktor tuląc do piersi odzyskane notatki.

Milicjant włożył czapkę, zasalutował, raz jeszcze spojrzął nieufnie wokoło, wreszcie wziął swój rower i odjechał.

Zastępowy obciągnął mundur i powiedział:

— Na nas już też czas, musimy związać obóz. Raz jeszcze przepraszam i proszę o wyrozumiałość. Zastęp, baczność! Zbiórka w dwuszeregu.

152

Zielone mundurki ustawiły się sprawnie, na komendę wrzasnęły „czuwaj” i zastęp odmaszerował.

Artur, wykorzystując zamieszanie, wśliznął się do namiotu.

153

— Poszedł? — wyjąkał Adam.

— Kto?

— Milicjant.

— Poszedł. Myślałeś, że przyszedł po ciebie?

— Aha. Strasznie się zląkłem.

— Głupiś! Znalazł notatki doktora Osińskiego.

— Słyszałem wszystko.

— Słyszałeś, ale nie widziałeś. Stałem za doktorem, kiedy rozwinął paczkę.

Wiesz, co tam było? Książki! Na samym wierzchu leżał: „Zarys historii malarstwa”.

— No to co z tego?

— Co z tego? Ach, ty matole! „Zarys historii malarstwa” to jest podręcznik dla uczniów, rozumiesz? Dla takich, co o sztuce nic nie wiedzą. Specjalista, historyk sztuki, miałby się posługiwać czymś takim? To zupełnie tak, jakby Einstein uczył się fizyki z podręcznika do dziesiątej klasy!

— No, to mamy jeszcze jeden dowód, że doktor Osiński nie jest tym, za kogo się podaje — powiedział Adam i zamyślił się.

— Ale w takim razie kto zabrał książki z jego pokoju i kto napisał kartki? — jęknął Artur. — Słuchaj, mnie już zaczyna się mącić w głowie!

— A może... może tu działa jakaś konkurencyjna banda? —? szepnął Adam. — Harcerze dali słowo, że nie mają nic wspólnego ani z kartkami, ani z notatkami.

— Dzieci, śniadanie! — usłyszeli głos mamy.

— Później pogadamy — powiedział Artur — umieram z głodu!

— Ja też.

Rozdział XV

No to doigraliśmy się!

— Wiedziałam, że tak będzie! — Agnieszka załamała dłonie. — Tata był naprawdę wściekły!

Artur milczał rysując bezmyślnie jakieś zygzaki na piasku.

— No, odezwijże się! — krzyknęła Agnieszka. — Nie siedź jak malowana lala! „Tak, tatusiu, dobrze, tatusiu, masz rację, tatusiu!” Nic innego nie potrafiłeś wystękać!

—? A co miałem robić? ?—? oburzył się Artur. — Przecież tata udowodnił nam czarno na białym, że jesteśmy podejrzliwe głupty, ubzduraliśmy sobie, że będziemy bohaterami kryminalnej afery i że w ogóle mamy źle w głowie!

— Artur ma rację — wtrącił Adam odkładając nóż, którym strugał jakiś kijek —? a zresztą, kto wie, czy wyobraźnia nie poniosła nas trochę za daleko? Przecież wasz ojciec wszystko wyjaśnił...

— I okazało się, że nie ma żadnych skarbów — przerwał mu Artur — żadnych duchów, żadnych tajemniczych historii.

— A mnie się to nie podoba — pokręciła głową Agnieszka.

— Co ci się nie podoba? — spytał Artur.

155

— Ta gorliwość, z jaką tata tłumaczył nam, że wszystko jest w porządku. I ta żarliwa obrona doktora Osińskiego! Jest historykiem sztuki delegowanym przez Muzeum Narodowe i kropka.

Kręci się nocami po zamku — wolno mu, nie jest w więzieniu. Wyjeżdża z Czarnego Stoku akurat w tym samym czasie, kiedy u nas ktoś dokonuje włamania — zbieg okoliczności. Twierdzi, że zginęły mu cenne notatki, a w odnalezionej paczce znajduje się podręcznik historii malarstwa dla początkujących — notatki były w książce. Wreszcie ktoś podrzuca dwie bardzo znamienne kartki — głupi dowcip. Artur westchnął ciężko. Agnieszka ma rację, ojciec wcale nie słuchał ich argumentów, a historię o zaginionych skarbach Arnolda von Schwarzenberg po prostu wykpił. W dodatku zapowiedział:

„Jeśli jeszcze raz dowiem się, że zamiast spać bawicie się w detektywów, natychmiast odwożę was do wujka Józka!”

— Słuchaj, Artur — Agnieszka, ogromnie podniecona, chwyciła brata za ramię — a mnie się zdaje, że ojciec skłamał!

— No wiesz! — oburzył się Artur. — Mówisz takie rzeczy o ojcu!

Agnieszka zmieszana się.

— No to wprowadził nas w błąd — poprawiła — i to celowo. Za wszelką cenę chciał nas przekonać, że w Czarnym Stoku wszystko jest normalne i zwyczajne, bo po prostu jeśli skarb istnieje i ktoś chce go odnaleźć, możemy popaść w ładne tarapaty. Ojciec się o nas boi... I dlatego...

— Czekajcie — Adam zerwał się na równe nogi z miną człowieka, który przed chwilą odkrył Amerykę — coś mi przyszło na myśl!

— Gadaj!

156

— Jeśli rzeczywiście wszystko jest w porządku, żaden skarb nie istnieje i doktor Osiński jest doktorem Osińskim, to dlaczego wasz ojciec tak kategorycznie zabronił wam wstępu do zamku? Ze cztery razy powtórzył, że macie się trzymać z daleka od lochów. Agnieszka ma rację, coś tu nie gra! Z początku mogliście chodzić po całym zamku i w ogóle robić, co się wam podoba, prawda?

— No tak — przyznał Artur — ale może ojciec usłyszawszy o przygodzie Alinki, zląkł się, że zabłądzimy... A może on ma rację? Może to wszystko jest

rzeczywiście bzdurą? Ja bym naprawdę chciał, żeby w Czarnym Stoku były ukryte skarby i żebyśmy je odnaleźli... tak było fajnie... teraz nie będziemy mieć nic do roboty...

— Możemy przecież robić wycieczki, zbierać grzyby, kąpać się — kpiącym tonem powiedziała Agnieszka.

— Eee, daj ani spokój!

—? Przecież powtarzam ci tylko propozycje ojca!

— Wypchaj się!

— Piękny masz słownik!

— A ja wam coś powiem — rozległ się cienki głosik i Alinka wynurzyła się z krzaków ciągnąc za sobą Alego.

— Gdzie byłaś? — zdumiała się Agnieszka.

— Podśluchiwałaś! — stwierdził z oburzeniem Artur.

— Podśluchiwałam — odparła zuchwale Alinka — muszę podśluchiwać, bo ciągle coś przede mną ukrywacie. Wy myślicie, że ja to jestem zupełnie głupia! A ja coś wymyśliłam.

— Wyobrażam sobie — mruknął Artur.

— No mów, mądralo, co wymyśliłaś? — powiedziała z pobłażaniem Agnieszka.

— Obiecaliście tatusiowi, że już nigdy nie pójdziecie do zamku w nocy, prawda?

I tatuś zapowiedział,

157

że jeśli jeszcze raz przekona się, że szukacie skarbów zamiast spać, odeśle was do babci?

— No tak.

— A czy musicie -to robić w nocy?

O rany, jaka ta Alinka chytra! To prawda, obiecali ojcu, że nie będą się kręcić po zamku w nocy! Nie było mowy o dniu.

— Alusiu — Artur padł na kolana i dotknął czołem ziemi — korzę się przed twoją mądrością! Cofam wszystko, cokolwiek powiedziałem złego o twojej inteligencji. Jesteś najmądrzejsza z nas wszystkich! Adam, Agnieszka, na kolana!

?—? Chytrze to wymyśliłaś, Alusiu — przyznała Agnieszka otrzepując sukienkę po oddaniu hołdu najmłodszej siostrze — ale prawdę mówiąc, to jest podstęp. Ojciec na pewno chciał, żebyśmy w ogóle nie zajmowali się sprawą skarbów. Po prostu użył niewłaściwych słów, a my... -

— Agnieszko, nie bądź taka strasznie zasadnicza! Sama przed chwilą pękałaś ze złości na myśl, że to koniec naszej pysznej zabawy! — przerwał jej Artur.

Agnieszka chwyciła brata za ramię.

— Zdaje się, że trafiłeś w sedno — my wszystko traktujemy jako zabawę, a dla ojca to zdaje się całkiem poważna sprawa. I jeżeli nasze podejrzania są prawdziwe, to ta zabawa może się źle skończyć!

— Dla kogo? Chyba dla doktora Osińskiego, jeśli to on właśnie poszukuje skarbów Schwarzenberga — wtrącił Adam.

— Nie o tym myślałam...

Jakieś kroki zaszeleściły w krzakach.

— Czołem, poszukiwacze — usłyszeli wesoły głos i pan Ef-Ef razem ze swoim plecakiem i aparatem fotograficznym ukazał się na ścieżce.

158

— Ach, to pan! — ucieszyła się Agnieszka. — Jak to dobrze, że pan wrócił! Nie ma pan pojęcia, co tu się działo!

?— Co takiego? — spytał redaktor zdejmując plecak i siadając na trawie dbok

dzieci. — Znaleźliście skarb? Worek brylantów czy sztaby złota?

— Niech pan nie żartuje — jęknęła Agnieszka i zwięźle przekazała redaktorowi wypadki ubiegłej nocy.

— Zaraz, zaraz — pan Ef-Ef zmarszczył czoło. ?— To nie jest logiczne, bo skoro ojciec wyśmiał wasze rewelacje, to znaczy, że nie uwierzył ani w istnienie skarbu, ani tym bardziej w podejrzaną rolę doktora. A mimo to zabronił wam interesowania się jego osobą?

Agnieszka aż podskoczyła z radości.

— Ja to samo powiedziałam, proszę pana.

— No i... w końcu doszliśmy do wniosku, że nie możemy się wycofywać — wtrącił Artur niezupełnie pewnym głosem.

— I macie rację — przyznał pan Ef-Ef —? mam tu coś, co was utwierdzi w waszym postanowieniu.

Wyjął z plecaka notes, a z notesu kartkę.

—? Nie powiedziałem wam całej prawdy. Byłem na wycieczce, ale moja wycieczka tym razem miała inny cel niż zwykle. Nie zwiedzałem zamków, nie robiłem zdjęć.

— A co pan robił? — szepnął Artur bez tchu.

— Śledziłem doktora Osińskiego. Pomyślałem sobie: „A nuż moi przyjaciele mają rację? Warto sprawdzić”. I poszczęściło mi się. Nie pomyliliście się. To podejrzany typ i nie wolno go na moment spuszczać z oka. Dziś w nocy, około jedenastej, wyszedł z zamku i na drodze do wsi spotkał się z jakimś człowiekiem. Niestety, nie udało mi się dostrzec twarzy tego jegomoś-

159

cia, musiałem być bardzo ostrożny. Ale podsłuchiwałem ich rozmowę.

— I co, i co? — Agnieszka aż dostała wypieków z emocji.

— Doktor Osiński powiedział tylko tyle: „Plan jest dobry, przyjdź we wtorek około dziesiątej wieczór, tam gdzie zawsze, i weź ze sobą narzędzia”. Ten drugi spytał: „A co z dziećmi?” Doktor machnął ręką i odparł: „Dam sobie radę, zresztą one nie wiedzą wszystkiego!” Potem już nic nie słyszałem, bo zerwał się wiatr i zagłuszył słowa. Ale myślę, że to wam wystarczy.

— Mamy strasznie mało czasu — wtrącił Adam — dziś jest sobota.

— Mój kochany — powiedział pan Ef-Ef — nikt od was nie wymaga, żebyście znaleźli skarb. Wystarczy, jeśli będziecie pilnować doktora. On was zaprowadzi do kryjówki, a wtedy my go aresztujemy.

— My?! —? podchwycił Artur. — A więc pan jest z milicji?!

Pan Ef-Ef zrobił wielkie oczy.

— Powiedziałem „my”, mając na myśli was i siebie. Oczywiście trzeba będzie zawiadomić władze.

— Nie, nie! Niech pan powie prawdę! — nacierał Artur. — Pan jest z milicji! Pan jest wywiadownicą!

Redaktor wstał i zarzucił plecak na ramiona. Popatrzył na rozognione twarze dzieci i powiedział:

— Moi mili, ponosi was fantazja. Ale w każdym razie pamiętajcie, w takich wypadkach obowiązuje absolutna dyskrecja, rozumiano?

— Tak jest! — krzyknął Artur stojąc nieruchomo na baczność.

— Spocznij — zakomenderował z uśmiechem pan Ef-Ef.

Poprawił plecak i ruszył w stronę obozu. Po kilku krokach zatrzymał się i powiedział:

160

— Byłbym zapomniał. Z waszym ojcem sam porozmawiam. Może uda mi się wyjednać

zezwoleń na waszą współpracę.

— No, sami powiedzcie — westchnęła Agnieszka, gdy pan Ef-Ef zniknął za zakrętem — czy on nie jest wspaniały?

Artur skinął potakująco głową i pomyślał, że może warto by zmienić życiowe plany. Praca w milicji jest jednak bardziej emocjonująca niż malarstwo!

u — -

Rozdział XVI

Nasza mama jest genialna!

Agnieszka otworzyła oczy, ziewnęła szeroko i zerknęła na zegarek przypięty do namiotowej kieszeni. O rany! Już dziewiąta! Ależ zaspali! Potem przypomniała sobie, że jest niedziela i że ostatecznie to nic strasznego, jeśli śniadanie...

Usiadła na posłaniu i pociągnęła nosem. Ależ tak, wyraźnie poczuła zapach kawy! Masz tobie! Mama wstała i szykuje śniadanie. A wczoraj tak późno wróciła z zamku. Oni wszyscy już dawno poszli spać, a rodziców jeszcze nie było.

Agnieszka zerwała się czując gwałtowne wyrzuty sumienia.

„Ładnie pomagamy marnie — myślała ubierając się szybko — jest na pewno zmęczona, niewyspana, a zamiast odpocząć, od rana pracuje!”

Była jak przejechała grzebieniem po włosach i szturchnęła śpiące w najlepsze rodzeństwo.

— Artur, Alinka, wstawać, śpiochy! — krzyknęła i wybiegła z namiotu.

— Och, mamusiu — jęknęła widząc matkę krzątającą się koło stołu — dlaczego nas nie zbudziłaś? Dlaczego wstałaś tak wcześnie? Przecież jest niedziela!

162

- Nie mogłam spać — odparła matka — więc postanowiłam was wyręczyć i przygotować specjalne śniadanie.

Dopiero teraz Agnieszka rzuciła okiem na zastawiony stół i zdębiała. Śniadanie rzeczywiście było specjalne! Prawdziwa kawa z mlekiem, po dwa jajka na miękko, otwarta puszka szynki i słoik bułgarskich konfitur z moreli.

— Mamuś, co to za święto? — spytała Agnieszka i szybko przebiegła myślą wszystkie uroczyste daty. Może zapomnieli o jakiejś rocznicy? Nie, chyba nie. Imieniny mamy będą dopiero za tydzień, rocznica ślubu była w kwietniu, więc...

?—? Zobaczysz — powiedziała matka zdejmując fartuch i dodała — ojciec zaraz przyjdzie. Poszedł zaprosić na śniadanie pana Osińskiego i redaktora.

—? O rany, jak my się wszyscy pomieścimy! — stęknął Artur, który właśnie wyszedł z namiotu i usłyszał ostatnie zdanie.

— Jakoś, się pomieścimy — machnęła ręką matka i spojrzawszy uważnie na syna, rozkazała — a ty umyj się, brudasio!

Pobiegli wszyscy troje do potoku, a gdy wrócili, zastali rodziców i zaproszonych gości zabierających się właśnie do śniadania.

— Gdzie Adam? — szepnęła Agnieszka.

— Cicho — syknął Artur — pewno poszedł na zwiady. Nie trzeba zwracać uwagi rodziców na jego nieobecność.

Przez dłuższą chwilę dzieci oddawały się z lubością pałaszowaniu znakomitego śniadania. Agnieszka pierwsza skończyła jeść, co widząc matka powiedziała:

— Córeczko, zaparz dorosłym dobrej czarnej kawy. Agnieszka spojrzała znacząco na brata. Coś jednak

musiało się stać. Po takim śniadaniu jeszcze czarna

ii'

163

kawa? Mama nie pędzi jak zwykle do zamku przełykając po drodze ostatni kęs

chleba?

Artur okazał się domyślniejszy. Podbiegł do matki i chwytając ją za rękę, krzyknął:

— Mamo, co to znaczy? Czy ty może... znalazłaś?! Matka uśmiechnęła się skromnie, patrząc spod oka na podnieconego syna.

— No, powiedzie im nareszcie — wtrącił się ojciec. Matka energicznie skinęła głową.

— Tak jest, znalazłam. Miałam rację, że właśnie tu należało szukać tych fresków. Dlatego dziś mamy święto, specjalne śniadanie i...

Nie zdołała dokończyć zdania. W jednej chwili cała trójka rzuciła się na matkę, obejmując ją, ściskając i całując wśród ogłuszającego wrzasku, pisku dzieci oraz poszczekiwań Ali Baby.

Tata A.B.C. wyjął fajkę i zaczął ją systematycznie nabijać tytoniem. Doktor Osiński, mniej wytrzymały, wtulił głowę w ramiona, a redaktor odruchowo podniósł rękę do uszu.

Wreszcie chóralny wrzask przycichł nieco i można było rozróżnić poszczególne słowa:

— Cudnie, wspaniale! Mamo, jesteś genialna! Czy my możemy zobaczyć? Pokażesz je nam, prawda?

Wreszcie ojciec uznał, że czas na interwencję, jeśli chce odzyskać żonę całą i zdrową.

— Uspokójcie się, wyjcie afrykańskie! — krzyknął. — Jeśli natychmiast nie przestaniecie, mama już nigdy i nic wam nie pokaże!

— Dziękuję ci, Andrzeju — powiedziała pani Cie-końska, otrząsając się jak pies po kąpieli — myślałam już, że nie wyjdę żywa z objęć tych szalonych dzieci!

— Myśmy ci tylko chcieli powinszować — pisnęła Alinka.

— Tak, rozumiem — przyznała matka. — Agniesz-

164
ko, przynieś mi ręcznik, ten pies ma okropnie mokry język. I grzebień! — krzyknęła za znikającą córką. Minęło sporo czasu, zanim mama A.B.C. doprowadziła do porządku swoją zrujnowaną osobę. Agnieszka tymczasem zaparzyła kawę w termosie, podała filiżanki, cukier i przycupnąwszy na niskim stołeczku, powiedziała prosząco:

— Mamo, opowiedz nam teraz, jak się to odbyło. Ale dokładnie!

—? I powiedz, skąd wiedziałaś, że właśnie tutaj są te freski? — wtrąciła Alinka.

— Mówiłam o tym nieraz — powiedziała matka —? ale wy macie dziurawe głowy. Jednym uchem wchodzi, a drugim wychodzi.

— My wszystko pamiętamy! — obraził się Artur. — To ona nigdy nic nie słyszy i nie pamięta!

—? Ale pan redaktor nie słyszał — pospieszyła na pomoc Alince starsza siostra — i pan doktor — dodała, uśmiechając się złośliwie. Teraz rzekomy specjalista skompromituje się ostatecznie.

— No więc dobrze — zgodziła się pani Ciekońska — opowiem jeszcze raz od początku.

Dzieci zamieniły się w słuch. Nawet Ali Baba rozłożony wygodnie u nóg Alinki uniósł łeb i wpatrzył się mądrymi oczami w mamę A.B.C.

—? Przypominacie sobie zapewne mój wyjazd do Krakowa przed dwoma laty — zaczęła pani Anna.

Wszyscy skinęli energicznie głowami. Dwutygodniowy pobyt mamy w Krakowie

upamiętniło kilka szczególnych wypadków, jak — wybuch piecyka gazowego (Artur zapomniał odkręcić wodę), zgubienie przez Alin-kę obu sandałów równocześnie, wizyta dalekiej kuzynki ojca, podczas której Agnieszka usiłując podać elegancki podwieczorek zbiła pięć szklanek, termos i cukierniczkę. Takie rzeczy się pamięta.

165

— A więc właśnie podczas mojego pobytu w Krakowie zaczyna się historia poszukiwania fresków w Czarnym Stoku — ciągnęła dalej mama. —? Chciałam przestudiować pewne elementy polichromii na krużgankach klasztoru franciszkanów. Odkryte spod tynku przed kilkudziesięciu laty malowidła te pochodzą z XV, a częściowo z XVI wieku i przedstawiają siedzące postacie biskupów krakowskich. Interesowały mnie szczególnie umieszczone pod postaciami tarcze herbowe, a głównie jedna z nich, z wyobrażeniem panny na niedźwiedziu. Jest to herb Rawicz, należący do biskupa Nankera.

— Naszego wrocławskiego Nankera? — spytała ogromnie zaintrygowana Agnieszka.
— Tego samego. Nanker był biskupem krakowskim do 1326 ?, nawiasem mówiąc, on właśnie rozpoczął budowę gotyckiej katedry na Wawelu. iPotem na skutek zatargów z królem Władysławem Łokietkiem przeszedł na biskupstwo wrocławskie. Ale nie o nim chciałam mówić. Grzebiąc w archiwach klasztornych, natrafiłam na dokument, który mnie bardzo zainteresował. Jest to kwit, a właściwie rachunek za farby zużyte przy wykonywaniu malowideł ściennych, podpisany przez opata klasztoru cystersów w Henrykowie. Pewne szczegóły wskazywały, że wykonania fresków podjął się twórca galerii biskupów w klasztorze franciszkanów. Może nie wiecie o tym, że leżące nie opodal Henrykowa Ziębice były do 1428 roku stolicą odrębnego księstwa piastowskiego. Prawdopodobnie więc nie znany nam z imienia malarz krakowski, być może zakonnik, podjął się przyozdobienia zamku któregoś z ziębickiej linii Piastów. Nie będę wam opowiadać szczegółów moich dalszych prac nad umiejscowieniem owych fresków. Trwałoby to zbyt długo i znudziłoby was. Dopomógł mi, jak to się często zdarza, przypadek.

166

W bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu znalazłam opis, a raczej fragment opisu nie zlokalizowanego zamku. W opisie tym dwukrotnie nieznany autor wspomina o „krakowskich freskach” i o „polskim herbie”, który kazał zamalować. Dokument pochodzi z 1748 ?, a więc z okresu, kiedy Śląsk zagarnął król pruski Fryderyk II.

— Wtedy właśnie zaczęła się gwałtowna germanizacja Śląska — wtrąciła Agnieszka.

— Tak. Germanizacja i niszczenie śladów polskości.

— No, dobrze, mam, ale jeszcze wcale nie wiemy, dlaczego zaczęłaś szukać fresków właśnie w Czarnym Stoku? — zniecierpliwił się Artur.

— Zaraz będzie i o tym mowa — uspokoiła syna mama A.B.C. — Otóż w opisie zamku, o którym wspominałam, znajdował się plan.

—? Co takiego? — Agnieszka drgnęła i spojrzała na doktora Osińskiego. Ale oprócz uprzejmego zainteresowania, nic nie dostrzegła w jego twarzy.

— Plan zamku, szkic, jeśli wolisz. Ponieważ moja teoria wyłączała inne księstwa i brałam pod uwagę tylko dawne księstwo ziębickie, należało zbadać szczegółowo zachowane na tym terenie ruiny, aby z dużym prawdopodobieństwem wskazać zamek, o którym wspomina dokument. Oczywiście nie miałam żadnej pewności, plan nie był dokładny i zawierał tylko rzut poziomy lochów zamkowych.

— Czy masz ten plan przy sobie? — spytała chytrze Agnieszka.

— Nie, nie był mi już potrzebny, skoro ustaliliśmy z ojcem, że dotyczy właśnie

zamku w Czarnym Stoku. Cały zesłoroczny urlop poświęciliśmy na poszukiwania — mama zwróciła się do doktora Osińskiego — a zresztą pisałam o tym do Muzeum. To była najżmudniejsza część naszej pracy. Potem już tylko wysłaliśmy

167

oba dokumenty do Warszawy w celu potwierdzenia autentyczności i uzyskania zezwolenia Głównego Urzędu Konserwacji Zabytków na rozpoczęcie poszukiwań, no i przyjechaliśmy tutaj.

— Mamo — zabrzmiał cienki głosik Alinki — a skąd wiedziałaś, gdzie szukać tych fresków? Zamek jest przecież tak duży...

— Bardzo rozsądne pytanie — mama A.B.C. pogładziła córkę po włosach. — Widzisz, Alusiu, rozumowałam tak: Ozdabianie ścian freskami było bardzo kosztowne, skoro więc właściciel zamku zdecydował się na taki wydatek, to nie po to, by ozdabiać jakieś mało ważne izby czy korytarze. Na pewno w tym celu wybrał miejsce najważniejsze w zamku. Co w zamku średniowiecznym było najważniejszym miejscem? Kaplica lub kościół. Ale zamek w Czarnym Stoku nie posiadał kaplicy. Drugim ważnym miejscem była sala rycerska lub biesiadna, gdzie urządzano uczyty, przyjmowano gości, słowem, sala, jakbyśmy ją dziś nazwali, reprezentacyjna. Ta sala znajduje się w głównej, najlepiej zachowanej części zamku, tam też zaczęliśmy poszukiwania. I właśnie wczoraj spod kilku warstw nowszych malowideł i szarego tynku wyłonił się niespodziewanie skrawek czegoś złotego. Tym czymś okazał się bucik damy ubranej w długą niebieską suknię.

— No i wtedy już wiedziałaś, że znalazłaś krakowskie freski? — spytał Artur.

— Nie, jeszcze nie — odparła matka — jeszcze trzeba ustalić, czy fresk odnaleziony w Czarnym Stoku jest malowany tą samą techniką, co freski w klasztorze franciszkanów. Tam zaznacza się wyraźnie wpływ malarstwa włoskiego, co jest zrozumiałe, gdy uprzytomnimy sobie, że zakon franciszkanów był zakonem włoskim i nieobce być musiały zakonnikom słynne fre-

168

ski z Asyżu. Wielu polskich franciszkanów odwiedzało klasztory włoskie, a włoscy bracia przybywali do Polski. W ten sposób sztuka włoskiego trecento i Giotto zdecydowanie zaznaczyła się w polichromii kościołów franciszkańskich.

— Mamo, znowu używasz obcych słów! — zniecierpliwiła się Alinka. —?— Ja nie rozumiem, co to jest Dzioto i trecento.

— Tuman! — syknęła Agnieszka. — Sto razy o tym słyszałaś! I to ma być córka historyka sztuki!

— Może i słyszałam — odcięła się Alinka — ale zapomniałam. Słyszę taką masę rzeczy, że nie mogę wszystkiego zapamiętać.

— Giotto był to słynny włoski malarz i architekt —? zaczęła Agnieszka i urwała nagle. — Wiesz co, Alusiu — poproś doktora Osińskiego, on ci to najlepiej wytłumaczy...

„Teraz! — pomyślał Artur. — Ale będzie heca!” Niestety, żadnej hecy nie było. Ojciec zmarszczył brwi i powiedział szybko:

— Nie zwracajcie głowy doktorowi Osińskiemu. Alusiu, widziałaś przecież masę reprodukcji w domu, w tej dużej czerwonej książce. Giotto żył na przełomie wieku XIII i XIV, jego freski zdobią kościoły w Padwie, we Florencji, w Asyżu... A trecento to jest włoska nazwa stosowana na określenie sztuki XIV wieku, w początkach Odrodzenia.

— Aha — powiedziała Alinka robiąc mądrą minę.

— No a co z tą techniką? — Agnieszka postanowiła spróbować jeszcze raz.

— Nie wiem — zawahała się matka. — Jest zasadnicza różnica między włoskim a

północnym sposobem malowania fresków w tym okresie. Włosi malowali farbami mineralnymi na świeżej mokrej zaprawie wapiennej... Trzeba będzie zrobić analizy.
169

— To już doktor ci pomoże — powiedział z satysfakcją Artur.

— Tak, oczywiście — odezwał się milcząco do tej pory doktor Osiński.

— Panie doktorze — wmieszał się do rozmowy redaktor Ef-Ef — jak właściwie zdejmuje się takie freski i dlaczego nie zostawicie ich tu w Czarnym Stoku?

Dzieci z napięciem czekały na odpowiedź, ale ojciec znów wszystko popsuł, nie dopuszczając doktora do głosu:

— Czarny Stok jest zbyt zniszczony, odbudowa kosztowałaby bająćskie sumy. A freski muszą mieć idealne warunki, odpowiednią temperaturę, suchość, oświetlenie. Zresztą jeszcze nic nie wiadomo, może znajdziemy tylko drobne fragmenty. W każdym razie to znalezisko ma dużą wartość, po pierwsze, dlatego że nie mamy zbyt wielu okazów malarstwa ściennego z tego okresu, a po drugie, że wskazuje na ścisłe związki Śląska i jego poszczególnych księstw z Królestwem Polskim.

— Może znajdziecie ten zamalowany polski herb, o którym wspomina dokument — zamyśliła się Agnieszka.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie doktorze — w głosie redaktora Ef-Ef zabrzmiała jakby kpina — jaką techniką będzie pan zdejmował freski?

Tym razem ojciec nie zdążył uprzedzić doktora.

— Są różne sposoby — powiedział swobodnie pan Osiński — dopiero po całkowitym odkryciu fresków będzie można wybrać najodpowiedniejszy.

Artur wstał i mrugnął na Agnieszkę. Do licha z taką rozmową! W ten sposób można wodzić wszystkich za nos w nieskończoność. Mama ma przed sobą może całe tygodnie pracy, a doktor wyznaczył termin na wtorek. Nie zdążą go zdemaskować! A jeszcze ten tata! Prze-

170

szkadza na każdym kroku. Ale gdzie się podział Adam? Już dochodzi jedenasta, a on jeszcze nie jadł śniadania. —? Agnieszka — szepnęła do siostry zmywającej pilnie naczynia po śniadaniu — musimy poszukać Adama. Może mu się coś stało?

— Daj mi spokój! — parsknęła gniewnie.

— Ależ...

—? Nie zawracaj mi głowy, bierz ścierkę i wycieraj szklanki! Nie będę odwalać całej roboty za was —• rozkazała Agnieszka, a Artur spojrzawszy na jej minę doszedł do wniosku, że lepiej nie dyskutować z siostrą, i posłusznie sięgnął po ścierkę.

— Ale potem pójdziemy... — zaczął nieśmiało.

—? Nigdzie nie pójdziemy — fuknęła Agnieszka — będziemy pilnować doktora!

Artur pomyślał, że Agnieszka ma rację, ale z drugiej strony... Upatrzywszy sposobną chwilę zbliżył się do Alinki i szepnął:

— Alusiu, rozejrzyj się za Adamem. Weź ze sobą latarkę i psa.

Mała rozjaśniła się promiennym uśmiechem. Artur to jednak dobry chłopak! Poleca jej ważne zadanie. Wpełzła do namiotu, szybko znalazła latarkę, wzięła też na wszelki wypadek fiński nóż Artura i gwizdnąwszy cicho na psa, wysunęła się poza Obręb obozu.

Co prawda wszystkie te ostrożności nie były konieczne. Agnieszka z furią płuwała szklanki, obrócona plecami do namiotów, a przy stoliku rodzice, doktor Osiński i redaktor rozgrywali właśnie pasjonującego robra.

Nikt nie zauważył zniknięcia Alinki i Alego, tylko Artur podniósł w górę skrzyżowane palce, co w ich języku znaczyło — „powodzenia”.

Rozdział XVII

Gdzie jest Adam?

Adam obudził się bardzo wcześnie. Nie miał zegarka, ale sądząc po słońcu, które całe w różowych obłokach ukazało się właśnie nad lasem, musiało być około czwartej.

Na próżno jednak układał się wygodnie na rozłożonych siedzeniach samochodu, gdzie urządzono mu poślanie, na próżno wtulał głowę w jasek i naciągał koc na oczy. Nie mógł zasnąć.

Wreszcie zdecydował się. Włożył dres, trampki i ostrożnie otworzył drzwi samochodu. Ktoś poruszył się w namiocie i Adam znieruchomiał z ręką na klamce. Upewniwszy się, że wszyscy śpią, zabrał z samochodu swój ekwipunek (zawsze miał pod ręką nóż, latarkę i zwój liny) i przymknąwszy ostrożnie drzwi, wysliznął się z obozu.

Od dawna nurtowała go chęć zbadania drogi, którą szła Alinka, i odnalezienia owej ściany, przez którą mała słyszała tajemniczą rozmowę o planie. W dyskusjach z Arturem i Agnieszką doszli do wniosku, że w zamku, a raczej w lochach zamkowych, istnieje sekretne urządzenie akustyczne, pozwalające na podsłuchiwanie rozmów prowadzonych w innej części zamku.

172

Alinka twierdziła przecież, że głosy dwóch mężczyzn dochodziły do jej uszu poprzez jakiś otwór w ścianie.

Adam nie miał kompasu, ale sądził, że i bez kompasu potrafi znaleźć wejście do lochów. Owej pamiętnej nocy, kiedy uciekli z zamku przed duchami (co za wstyd!), a następnie znaleźli skrupowanego doktora Osińskiego, szli znajomą ścieżką, potem zaś skręcili na północ, według wskazówki kompasu, przy dużym leżącym poniżej ścieżki kamieniu. Adam zapamiętał ten kamień i liczył, że przy jego pomocy odnajdzie drogę.

„Mam co najmniej cztery godziny czasu — myślał idąc ścieżką. — A.B.C. wstaną najwcześniej o ósmej”.

Przyspieszył kroku. Ranek był chłodny, trawa srebrzyła się od rosy i północny stok leżał w głębokim cieniu. Zbudzone wschodzącym słońcem ptaki świergotały głośno. Raptem...

Adam stanął i zaczął nadśłuchiwać. Wyraźnie usłyszał pohukiwanie sowy. O tej porze, w biały dzień — sowa? Już dawno powinna ukryć się przed słońcem i spać w najlepsze! To wygląda podejrzanie. Może ktoś daje umówiony znak? Stał dłuższą chwilę nieruchomo, ale hukanie się nie powtórzyło.

„Może mi się zdawało” — pomyślał Adam i ruszył przed siebie. Idąc rozmyślał? A.B.C., o ich rodzicach, o dziwnym przypadku, który go zetknął z tymi dobrymi ludźmi. Jakby to było dobrze, gdyby to właśnie on, Adam, przyczynił się do zdemaskowania doktora Osińskiego i znalazł ukryty skarb! Przynajmniej w ten sposób odwdzięczyłby się nowym przyjaciołom za wszystko, co dla niego zrobili. A przecież na tym nie koniec. Pan Ciekowski odbył z nim długą rozmowę i obiecał, że załatwi z wujem sprawę jego dalszej nauki i wyjazdu do Wrocławia. Na samą myśl o tym Adam czuje bicie serca. Gdyby spełniły się jego marzenia!

173

Cztery lata nauki w liceum, potem medycyna i nie będzie już żadnego Adasia, tylko doktor Adam Cybiń-ski, znakomity lekarz i naukowiec...

Otóż i kamień: szary, spękany piaskowiec. Teraz prosto pod górę. Nie na darmo ufał Adam swojej pamięci. Po krótkim błędzeniu i przedzieraniu się przez mokre od rosy krzaki znalazł zarośnięte zielskiem i pokrzywami wejście do lochu.

Przyświecając sobie latarką zapuścił się w ciemny, ziejący chłodem korytarz. „Alinka mówiła, że przez cały czas szła prosto — przypomniał sobie opowiadanie dziewczynki. — Pójdę i ja tą drogą”.

Idąc rozglądał się ciekawie, ale nic szczególnego nie zauważył. Kamienne ściany korytarza były nagie, ozdobione tylko zaciekami wilgoci. Nad głową miał sklepiony w kształcie łuku strop, zniszczony, pełen dziur i szczerb powstałych po odłupanych kamieniach. Parokrotnie zauważył wąskie korytarzyki odchodzące w prawo lub lewo od głównego korytarza. Oświetlał je swoją latarką i stwierdzał, że są to ślepe odnogi, prowadzące donikąd. Droga stawała się coraz cięższa, Adam z trudem brnął przez pokłady gruzu, śmieci i kamieni. Chwilami musiał schylać głowę, raz nawet trzeba było przeczołgać się na kolanach pod zwałonym łukiem korytarza.

„Idę już dobry kwadrans — pomyślał Adam — niedługo powinienem znaleźć się w miejscu, gdzie Alinka słyszała rozmowę”.

Znowu światło latarki wydobyło z ciemności jakieś boczne wejście. Było ono inne niż poprzednie, większe i okazalsze. Dookoła prostokątnego otworu zachowały się fragmenty rzeźb, liście dębowe, przeplatające się z tarczami. Na tarczach widniały końskie łby z rozdętymi chrapami i rozwianą grzywą.

174

„Zobaczę, dokąd prowadzi ten korytarz — postanawia Adam — może tędy jest dojście do zamku? Obejrzę tylko i wrócę”.

Na wszelki wypadek, aby nie zabłądzić, ułożył na progu kulkę kamieni i w środek wetknął skrawek papieru znaleziony w kieszeni. Potem śmiało zagłębił się w boczny korytarz.

Ściany były tutaj inne, ceglane, z zachowanymi resztkami tynku, strop wyższy. Adam zwrócił też uwagę na świeże powietrze, nie tak stęchłe i wilgotne, jak w głównym korytarzu.

„Na pewno tędy dostanę się do zamku — pomyślał — jak to dobrze, że obudziłem się tak wcześnie. Artur i Agnieszka obiecali ojcu, że będą trzymać się z daleka od lochów, ale mnie przecież ta obietnica nie dotyczy. Jestem obcy...”

Uwaga, schodki! Zamyślony Adam nie zauważył przeszkody i o mały włos byłby upadł jak długi.

Schodów było dziesięć, wznosiły się w górę, a ich obecność jeszcze mocniej utwierdziła Adama w przekonaniu, że znajdzie wyjście z lochów w samym zamku. Kto wie, czy z tego właśnie przejścia nie korzystał doktor Osiński i jego współpracownik.

Znowu schodki, tym razem tylko cztery. Korytarz kończy się i Adam wchodzi do obszernego pomieszczenia. Rozgląda się uważnie. Ściany są tu prawie nie zniszczone, podłoga bez dziur i szczerb, szare kamienne płyty wyglądają zupełnie porządnie.

„Może to nowsza część zamku” — myśli Adam i kieruje światło latarki w kąt, gdzie widnieje jakiś otwór. Raptem... Adam błyskawicznie zgasił światło i przywarł całym ciałem do ściany. Złudzenie czy...

Nie, to nie złudzenie, ktoś jest niedaleko, może za tą ścianą, słychać kroki, szelest papieru, teraz chrząknięcie. Ten ktoś nie stara się ukryć swojej obecności

175

w lochu, zachowuje się zupełnie swobodnie i naturalnie. Nawet pogwizduje przez zęby. Oczywiście jest przekonany, że o tej porze nikt niepowołany nie wejdzie do podziemi... Kto to może być? Doktor Osiński czy jego pomocnik?

Adam robi ostrożny krok, potem drugi. Jak to dobrze, że ma na nogach trampki, w

których można się bezszelestnie poruszać. Czuje szalone podniecenie i odrobinę lęku. Jeśli ten tajemniczy poruszający się w ciemnościach człowiek zauważy go... Macając ręką ścianę przed sobą i wstrzymując oddech Adam posuwa się naprzód. Zrobił już co najmniej dwadzieścia kroków, wejście powinno być tuż, tuż. Ale dlaczego nie widać światła? Przecież tamten człowiek na pewno nie porusza się tak swobodnie w zupełnych ciemnościach. A może on wcale nie jest blisko? Może właśnie tu znajduje się urządzenie akustyczne przenoszące dźwięki na odległość? Uwaga! Ręka posuwająca się wzdłuż ściany napotyka chropowaty kant muru. Dalej już pustka.

A więc dotarł do wejścia. Osrożnie, powoli Adam wysuwa głowę zza osłaniającego go muru. Ciemno. Tylko gdzieś z boku, z prawej strony, migoce słabe, pełgające światełko.

„Aha — domyśla się Adam — ten człowiek znajduje się za załomem muru, dlatego ani on nie zauważył mojej latarki, ani ja nie dostrzegłem światła”.

Ogarnia go coraz większe podniecenie. Jeszcze chwila i na własne oczy przekona się, kim jest tajemniczy lokator podziemi. Nagle Adam zatrzymuje się. Słyszy wyraźnie jakieś kroki, potem skrzypnięcie drzwi i czyjś głos cichy, ale wyraźny: — Nareszcie. Myślałem, że już nie przyjdzie pan. No i jak, udało się panu odczytać?

176

Niewyraźne mruknięcie. I znowu ten cichy głos: — Świetnie. Ma pan głowę na karku. Więc gdzie,

w północnej wieży czy jednak w podziemiach?

Milczenie. Adam z całej siły zaciska palce. Ten drugi człowiek... Kim jest ten drugi?

— Dlaczego pan nie odpowiada? Boi się pan? Przecież sam nie pójdę. Nie jestem idiotą, nic nie zrobię na własną rękę. Przecież nie znam nazwiska ani adresu. Co bym z tym zrobił? Opylić na miejscu to za duże ryzyko.

Cisza. Adam wyteża słuch, ale słyszy tylko niewyraźny szept. Nie może rozpoznać głosu. Czy to doktor Osiński? Gdyby zrobił jeszcze kilka kroków... smuga

12 — Niezwykle wakacje A.B.C.

17T

światła jest tak blisko... może udałoby się mu zobaczyć twarz tego drugiego człowieka. Uwaga! Znowu rozmawiają.

— Ej, panie, gdyby nie ja, miałby pan figę, a nie plan! Odwaliłem za pana brudną robotę. Myśli pan, że to takie wesołe włazić nocą do cudzej chałupy! I jeszcze ten cholerny pies!

Adam aż usta otworzył ze zdumienia. A więc to nie doktor Osiński zabrał plany z mieszkania państwa Cie-końskich? Dlaczego więc zniknął z Czarnego Stoku w czasie drugiego włamania? Do licha! Szeleszczą jakieś papiery, nie słychać ani słowa z rozmowy za ścianą. No, nareszcie, przestali przewracać kartki.

—? A dlaczego nie dziś? Po co zwlekać? Mam już dość siedzenia w tej norze.

Nie, Adam już dłużej nie może wytrzymać! Musi przekonać się, kim jest ten drugi człowiek. Robi krok naprzód i nagle rozlega się głośny trzask, Adam traci równowagę i pada ciężko na ziemię.

„Idiota, co za idiota ze mnie! — myśli z wściekłością. — Potknąłem się o jakieś deski czy paki” — równocześnie czuje na ramionach czyjeś silne ręce, które go podnoszą z ziemi i wciągają do oświetlonego naftową lampą pomieszczenia.

Adam patrzy na pochyloną nad sobą, wykrzywioną wściekłością twarz mężczyzny i stwierdza, że widzi ją po raz pierwszy w życiu. Ale tam, w głębi, ten drugi

człowiek to przecież...

— A więc to pan! — krzyczy Adam i rzuca się w kierunku znajomej postaci. Alinka bardzo skrupulatnie wypełniła polecenie brata. Przeszukała oba dziedzińce zamkowe, weszła na sam szczyt wieży (choć było to surowo zabronione),

178
zajrzała przez okno do pokoju doktora Osińskiego, nie pominęła nawet izdebki dozorczy.

Chciała Oczywiście wejść do tej części zamku, gdzie mama dokonała swego odkrycia, ale ciężkie, nabijane żelaznymi ćwiekami drzwi były zamknięte na kłódkę. Czemu, Alinka nie wiedziała. Gwizdała, nawoływała, wszystko na próżno. Ani śladu Adama. Postanowiła więc zajrzeć do jego dawnej kryjówki, może tam ukrył się w tylko sobie wiadomym celu.

Okrzyżła ostrożnie obóz i pobiegła na przełaj, skacząc po kamieniach, przeciskając się przez zarośla i na wyścigi z Ali Babą zbiegając z pochyłości.

Trochę zadyszana znalazła się przed wejściem do lochu, w którym niegdyś ukrywał się Adam. Zajrzała do środka przyświecając sobie latarką. Po ostatniej przygodzie z niechęcią myślała o wejściu do podziemi. Ale cóż robić, trzeba uczciwie wypełnić polecenie Artura. Na szczęście miała wspaniałą latarkę, rzucającą długi, jasny snop światła. Wczołgała się więc ostrożnie do lochu, po to, by stwierdzić, że jest on zupełnie pusty. Z ulgą wróciła na powietrze, a za nią wyczołgał się wierny Ali Baba. Tak, zrobiła, co jej kazano, szukała Adama wszędzie, a że go nie znalazła, to już nie jej wina. Trzeba wrócić do obozu i zameldować bratu.

Zaraz... jest jeszcze jedno miejsce, gdzie Adam mógłby pójść. Drugie wejście do podziemi, to samo, które znalazła przy pomocy kompasu.

.?_..-

„Pójdę tam — postanawia ?—? z Ali Babą nie będę się bała. On mnie zawsze wyprowadzi”.

Gwizdnęła na psa rozkopującego zajadłe kretowisko. Ali Baba porzucił pasjonujące zajęcie i przybiegł merdając ogonem.

— Pójdziemy, piesku — powiedziała Alinka ujmując go za obrozę — i wcale nie będziemy się bać.

12*

179

Nie była to prawda. Alinka na samą myśl o wejściu do podziemi, w których już raz zbłądziła, czuła gęsią skórkę. I tatuś zabronił... Może lepiej wrócić do domu?

Tam tak przyjemnie, wesoło... I pewno już niedługo dadzą obiad.

No tak, ale jeśli Adam wszedł do lochów i zgubił drogę? Jeśli błąka się po krętych korytarzach, na próżno szukając wyjścia? Przecież Artur kazał odnaleźć Adama... I polecił to jej, małej sześciolatniej dziewczynce.

Alinka zdecydowanym krokiem rusza naprzód. Nagle zatrzymuje się. Jakże odnajdzie drogę bez pomocy kompasu? Nie ma przy sobie cudownego pudełeczka z magiczną strzałką, która pokazuje kierunek. Pamięta tylko, że zboczywszy ze ścieżki, przedzierała się przez gęste zarośla. Ale podnóże zamku całe jest porośnięte krzakami głogu, tarniny, leszczyną...

Pies! Oczywiście, że pies odnajdzie ślad! Że też zapomniała o Ali Babie!

Alinka biegnie teraz szybko, okrąża zamek, by znaleźć się na ścieżce, którą szła na swoją wyprawę po pierniki. To wspomnienie wywołuje rumieniec wstydu. Jak mogła być tak niemądra i uwierzyć Arturowi! Dopiero potem przyszło jej na myśl,

że gdyby rzeczywiście kompas pokazywał drogę do ukrytych słodczy, to Artur miałby pełne kieszenie cukierków i czekoladek i nie wydawałby połowy swojej tygodniówki w sklepie cukierniczym. No, ale to się zdarzyło ostatni raz. Już nigdy nie da się nabrać ani bratu, ani komukolwiek innemu!

Oto ścieżka wijąca się w poprzek stoku.

— Ali, szukaj Adama! Gdzie Adam, szukaj, piesku!

Wilczur patrzy przez chwilę mądrymi oczami na Alinkę, potem spuszcza łeb ku ziemi i zaczyna węszyć. Biegnie truchcikiem nie odrywając nosa od ścieżki.

180

Teraz zatrzymał się, pobiegł parę kroków naprzód, zawrócił, kręci się w kółko.

— Szukaj Adasia, szukaj — zachęca go Alinka.

Ale pies nie potrzebuje zachęty. Skoro raz złapie trop, nie zejdzie z niego aż do skutku.

„Miałam rację — myśli uradowana Alinka. — Adam szedł tędy, na pewno jest w podziemiach”.

Ali biegnie teraz pod górę, prosto w kierunku zamkowego muru, Alinka za nim.

Oczywiście, to ta sama droga! Alinka przypomina sobie szczegóły swojej wę-

181

drówki. Teraz tylko śmiało naprzód. Alinka jedną ręką ściska latarkę, drugą ujmując mocno obrożę Ali Baby. Fiński nóż już przedtem wsunęła za pasek od spodni.

„No i czego ja się tak bałam — myśli maszerując odważnie korytarzem — przecież to nic strasznego. Mam światło, mam psa...”

Ali Baba nie przestaje węszyć, widocznie w dalszym ciągu rozpoznaje trop. O tak, Alinka również dokładnie przypomina sobie drogę. Ale cóż to znaczy? Ali Bafoa zatrzymuje się, węszy, a teraz ciągnie dziewczynkę w głąb korytarza.

— Co robisz, piesku — protestuje Alinka — tam przecież nie ma wyjścia, jest tylko mur.

»

Coś się tu zmieniło. Tego pudełka po papierosach nie było ani tych papierków z czekolady. Więc co to ma znaczyć? Może tu był Adam? Ale on nie pali papierosów!

„Ktoś tu był przede mną — myśli — czegoś szukał...”

Czego? Oczywiście zaginionych skarbów rycerza Arnolda! Przecież w dokumencie znalezionym w pokoju doktora Osińskiego była mowa o strasnej burzy, po której znaleziono rycerza w podziemiach zamkowych. I nagle okazało się, że rycerz, do tej pory biedny, stał się okropnie bogaty!

Alinka kieruje światło latarki na ścianę, jak gdyby na niej spodziewała się znaleźć odpowiedź na swoje pytania. Widzi podobnie jak za pierwszym razem — tablicę z wyrytym końskim łbem, jakimś napisem i cyframi — 1 — 8 — 0 — 5. Dziewczynka prawie bezwiednie podchodzi do ściany, wspina się na palce i dotyka kamiennej płyty. Jaka zimna i gładka! Jak polerowana. Dlaczego? Ściany są przecież szorstkie i chropowate.

Palce Alinki błądzące po całej tablicy bez celu na-

182

potkały nagle cyfrę zero. W tej samej chwili Ali Baba zawarczał, Alinka drgnęła i palec jej mimo woli przycisnął owalną wypukłość.

Co to znaczy? Po naciśnięciu zera rozległ się jakby zgrzyt. Alinka odskoczyła z przerażeniem, ale po chwili znów zbliżyła się do tablicy i zaczęła naciskać kolejno wszystkie cyfry. Nic, cisza. Dopiero gdy dotknęła zera, zgrzyt powtórzył się. A więc jeszcze raz od po-

183

czątku — zero, jeden — znów zgrzytnęło. Osiem — cisza. Zero, jeden, pięć, osiem...

Oczy Alinki robią się okrągłe ze zdumienia. Po naciśnięciu ostatniej cyfry, tablica drgnęła i zaczęła cofać się w głąb muru, odsłaniając spory schowek. Alinka obejrzała się bezradnie. Schowek jest zbyt wysoko, aby mogła doń zajrzeć. Trzeba poszukać jakiegoś kamienia, stanąć na nim.

— Czemu warczysz, piesku? — pyta nagle zaniepokojona dziewczynka pochylając się nad Ali Babą, któremu sierść zaczyna jeżyć się na karku. — Bądźże cicho, zaraz stąd pójdziemy, tylko zobaczę, co to za dziura w ścianie.

Z wysiłkiem taszczy spory kamień, ustawia go pod murem, wchodzi nań. Kamień chwieje się, Alinka traci równowagę i pada gasząc przy tym latarkę. Czuje ból w łokciu, w kolanie, oj, tatuś miał rację zabraniając im wycieczek do podziemi.

— Ali, chodź tu, piesku!

Cisza. Alinka zrywa się, naciska guzik latarki, światło zalewa korytarz. Nie ma Alego. Gdzież on się podział? Nieznośny pies! — Ali! — krzyczy Alinka i z przerażeniem nadśluhuje. Ale odpowiada jej tylko echo.

Rozdział XVIII

To niemożliwe!

— No i przegraliście, państwo, drugiego robra — powiedział z satysfakcją doktor Osiński do pani Cie-końskiej i jej partnera redaktora Ef-Ef — zaraz obliczę punkty.

— Mówiłem pani — zaczął redaktor z wyrzutem, ale mama A.B.C. przerwała mu śmiejąc się:

—? Redaktorze, błagam, żadnych uwag po grze. Nienawidzę tego roztrząsania: „a trzeba było wyjść w piki, a nie trzeba było impasować”. Bridż jest przecież tylko zabawą, prawda?-

— Oczywiście, łaskawa pani — doktor Osiński podniósł głowę znad kartki — ale ta zabawa będzie was kosztować po trzydziści cztery złote groszy dwadzieścia.

— Mogło być gorzej — mruknął redaktor i sięgnął po portfel.

— Andrzej, podaj mi portmonetkę — powiedziała pani Ciekońska — jest w torbie, w namiocie.

Minęła dłuższa chwila, wreszcie tata A.B.C. wystawił głowę z namiotu i powiedział:

— Torbę znalazłem, ale portmonetki w niej nie ma.

— Prawda! — uderzyła się w czoło pani Anna. — Na śmierć zapomniałam. Wczoraj płaciłam dozorczy za

185

mleko i włożyłam pieniądze do szufladki w samochodzie.

— Może nareszcie zdecydujesz się, gdzie położyłaś portmonetkę — powiedział tata A.B.C. po spenetrowaniu wnętrza samochodu — nie ma jej ani w szufladce, ani w bocznych kieszeniach.

?— Niemożliwe •— spłoszyła się pani Ciekońska — pamiętam doskonale, że włożyłam portmonetkę do szufladki.

— Ale jej tam nie ma.

— Dużo było pieniędzy w portmonetce? — spytał doktor Osiński.

—? No, sporo... około trzystu złotych.

— To bardzo przykre.

— Proszę nie wpadać w panikę — powiedział tata A.B.C. — Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, że skoro moja żona twierdzi, jakoby schowała coś w szufladzie, to na pewno poszukiwany przedmiot odnajdzie się w szafie. No, no,

nie protestuj, roztargnienie jest częścią składową twojej osoby. Agnieszka, Artur, do dzieła! Przeszukajcie namioty, samochód, ewentualnie zajrzyjcie do puszki z cukrem. A my sobie machniemy jeszcze jednego roberka.

Niestety. Skończył się trzeci rober, przegrana pani Ciekońskiej wzrosła do sumy czterdziestu dwu złotych, a portmonetka nie została odnaleziona.

— Trudno — westchnął tata A.B.C. — wyłożę za ciebie te czterdzieści dwa złocisz, ale pamiętaj, że dług karciany to święta rzecz.

— Nie błaznuj, Andrzeju —? sarknęła żona. — A właściwie... gdzie się podziewa Adam?... Obawiam się... oczywiście nie mam żadnej pewności, ale... Obudziłam się dziś bardzo wcześnie, to znaczy coś mnie obudziło, dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to był stuk zamykanych drzwi Agapita. Wyjrzałam przez 186

okienko i zobaczyłam, jak skradał się na palcach, roz[^]glądał niespokojnie, wreszcie zniknął mi z oczu. Byłam bardzo śpiąca, nie orientowałam się, która godzina, pomyślałam, że dzieci wymyśliły jakąś nową zabawę, i zasnęłam. Teraz dopiero te dwa fakty...

Agnieszka zbladła i chwyciła matkę za ramię.

— Jak to, więc sądzisz, że Adam wziął te pieniądze? — wyjąkała ze zgrozą.

— Uspokój się, Agnisiu — powiedziała matka — mówiłam, że nie mam pewności, Adam nie jest złodziejem, ale... w jego sytuacji... mógł po prostu nie oprzeć się pokusie.

— Nie, to niemożliwe! Ja w to nigdy nie uwierzę! Nie masz racji, mamusi! — Artur był czerwony jak burak i, głos mu się łamał z przejęcia. — Adam nie wziął portmonetki! Uciekł od wuja, nie miał pieniędzy, głodował, a nie sięgnął po cudzą własność.

— Przecież już raz przyznał się wam, że zabrał wujowi pieniądze — powiedział bardzo spokojnie ojciec.

— To było co innego —? Artur prawie płakał — on te pieniądze pożyczył, przecież musiał mieć na bilet!

Doktor Osiński chrząknął i powiedział:

— To ładnie, że bronisz przyjaciela, tak jest, przyjaciela, i że okazujesz mu tyle zaufania, młodzieńcze. Ale wasze informacje o jego osobie i przygodach pochodzą z nader niepewnego źródła, że tak powiem.

— Jak to? — zdumiała się Agnieszka.

— To bardzo proste — odparł doktor — wszystko, cokolwiek wiecie o tym chłopcu, pochodzi od niego samego. Bronicie go, to bardzo ładnie, tak jest, bardzo ładnie, ale czy jesteście pewni, że powiedział wam prawdę? Może ma rodziców, może uciekł z domu, bo bał się kary za jakiś zły czyn, może już nieraz rozminął się z prawem? Tak jest, z prawem...

— Niech pan przestanie! — krzyknął Artur. — Za- 187

braniem panu tak mówić! To jest wstrętne! Pan... pan to wszystko zmyślił przez zemstę, tak, zmyślił, zmyślił!

— Artur — zabrzmiał surowy głos ojca — jak ty się zachowujesz?! Co to za ton? W tej chwili przepraszam doktora Osińskiego.

— Nie! — zawołał Artur. — Nie przepraszę! Skoro mówi takie wstrętne rzeczy na Adama, to niech wam wyjaśni, po co tu przyjechał. Tak! I po co kręci się nocami po zamku. I dlaczego zniknął z Czarnego Stoku akurat tego dnia, kiedy u nas było włamanie. I po co umówił się z kimś na wtorek wieczór i kazał przynieść narzędzia!

—? Co ty wygadujesz, Artur?! •— przeraziła się matka. — Andrzeju, on chyba ma gorączkę!

— Nie ma gorączki — Agnieszka solidarnie stanęła za bratem — wy nic nie rozumiecie! Ten pan... ten pan wcale nie jest specjalistą delegowanym przez Muzeum... my wszystko wiemy... śledzimy go od samego początku!

— W tej chwili proszę się uspokoić! — Tata A.B.C. chwycił syna za ramię i potrząsnął nim mocno. — Rozpuściliście się jak dziadowskie bicze! Już raz rozmawialiśmy o tej sprawie i sądziłem, że wybijecie sobie z głowy te brednie! Teraz porozmawiamy inaczej! Proszę w tej chwili pakować swoje rzeczy, dziś jeszcze pojedziecie do babci!

— Ależ, Andrzeju! — Pani Ciekońska patrzyła ze zdumieniem i przerażeniem na pobladłego z gniewu męża. — Tak nagle? Przecież mama jest w sanatorium... Kto się nimi zaopiekuje?

— Wszystko jedno — fuknął tata A.B.C. — mamy nie ma, ale jest Józek i Krystyna. Już oni ich dopilnują! Mam dosyć ciągłego zajmowania się tymi nienormalnymi dziećmi i ich pomysłami! No — zwrócił się

188

do Artura i Agnieszki — czemu tu jeszcze stoicie? Do namiotu, pakować plecaki!

— Może jednak szanowny pan trochę za surowo potraktował te głupstwa — odezwał się doktor Osiński — jeśli, oczywiście, wolno mi wypowiedzieć swoje zdanie, tak jest, swoje zdanie. Ja doprawdy nie czuję się dotknięty. Młodość, że tak powiem, ma swoje prawa.

Artur spojrział ze zdumieniem na mówiącego. Doktor Osiński staje w ich obronie? Ładna historia! Ale czemu milczy redaktor Ef-Ef? Przecież on mógłby wszystko wyjaśnić. Choćby tę rozmowę doktora z nieznanym współnikiem.

Artur spojrział błagalnie na młodego człowieka. Ale redaktor uparcie obserwował czubki własnych butów i nie widział rozpaczliwej prośby malującej się na twarzy chłopca.

— Chodźmy, Artur — szepnęła z rezygnacją Agnieszka — nic nie poradzimy... Tata jest naprawdę wściekły. Musimy być posłuszni... na razie.

— Co masz na myśli? Co to znaczy — na razie? Jeśli ojciec dziś jeszcze wyśle nas do babci, to koniec! We wtorek doktor Osiński i jego współnik odnajdą skarb i zwieją, gdzie pieprz rośnie! — gorączkował się Artur, kiedy po chwili znaleźli się w namiocie, z dala od ojcowskich oczu.

— Jesteś głupszy, niż myślałam — powiedziała z pogardą Agnieszka — oczywiście, że nie pojedziemy do babci.

— Co?! — Artur aż usta otworzył ze zdumienia.

— Staraj się poruszyć mózgownicą! — zaproponowała uprzejmie Agnieszka. — Tatuś odwiezie nas na dworzec, wsadzi do pociągu, no i wróci do Czarnego Stoku. A my...

189

— A my — podchwycił Artur — wysiądziemy na następnej stacji i też wrócimy do Czarnego Stoku! Agnieszko, jesteś wielka!

— Nareszcie raczyłeś to zauważyć! Musimy tak zrobić. Nie masz chyba ochoty zostawiać rodziców w szponach złoczyńców. Łap swój plecak i pakuj się szybko.

— Agnieszko! — Artur zerwał się gwałtownie z posłania — zapomnieliśmy na śmierć o Alince! Przecież ja ją posłałem na poszukiwanie Adama!

— No tak — parsknęła gniewnie siostra — tego tylko brakowało!

— Poszli z Ali Babą — bąknął niepewnie Artur.

— O której?

— Chyba... chyba o jedenastej.

— A teraz jest pierwsza! Idziemy!

— Dokąd?!

?— Jak to, dokąd? Szukać Alinki!

— Coś ty, spadłaś z budki? —?-' zdenerwował się Artur. — Teraz? Kiedy ojciec taki wściekły?

Ale w tym momencie w obozie rozległo się donośne szczekanie Ali Baby. Oboje z Arturem wybiegli z namiotu. Alinka zdrowa i cała, trochę tylko zdyszana,, dopadła brata, chwyciła go za rękę i dramatycznym szeptem zakomunikowała:

?-'...??•-..?

— Nie ma go.

— Kogo? — Artur aż przysiadł z wrażenia.

—? Jak to, kogo? Adama — zniecierpliwiła się dziewczynka. — Szukałam go wszędzie: i na dziedzińcu, i w zamku, i w jego kryjówce, nigdzie go nie było. A potem pomyślałam sobie, że może poszedł do podziemi, i znalazłam wejście, i...

— Nie bałaś się? — przerwała zdyszana relację młodszej siostry Agnieszka. .?'

— Bałam — odparła z godnością Alinka — bardzo się bałam, ale poszłam.

190

- Zuch jesteś, Alusiu! — rozjaśnił się Artur. — I co dalej?

— Nic. Tam go też nie było. Ale znalazłam to! — Alinka wyciągnęła rękę ze świstkiem papieru.

Artur gorączkowo rozwinął kartkę, rzucił na nią okiem i twarz mu się wydłużyła.

— A więc mama miała rację — szepnął podając kartkę Agnieszce.

— Co tam jest napisane? Przeczytajcie mi, ja chcę wiedzieć —? Alinka aż podskakiwała z niecierpliwości.

„Odchodzę, nie mogę dłużej czekać. Dziękuję wam za wszystko. Muszę to zrobić. Adam" — przeczytała półgłosem Agnieszka.

— Artur, to straszne — powiedziała wpatrując się z rozpaczą w twarz brata — on uciekł i zabrał te pieniądze z samochodu! A przecież rodzice obiecali, że mu pomogą!

—? Może bał się, że mimo wszystko odeślą go do wuja, na wieś... — Artur usiłował być lojalny wobec przyjaciela, bronić go do ostatka, ale czuł coraz większy żal i rozczarowanie. Co za chłopak! A oni mu tak wierzyli, ujmowali się za nim, gdy wyszło na jaw zniknięcie portmonetki!...

— Wszystko przez ciebie! — krzyknęła nagle Agnieszka. — Gdybyś nie skoczył do oczu doktorowi Osińskiemu, ojciec nie kazałby nam jechać do wujka.

— Jak to? Dlaczego? Ja nie chcę! — Usta Alinki wygięły się w podkówkę, a szare oczy wezbrały łzami.

— Cicho bądź, nie rycz! — syknął Artur. — I tak nie pojedziemy. Wszystko obmyśliliśmy. Nie możemy teraz w decydującym momencie pozwolić wywieźć się z Czarnego Stoku. Powiedz lepiej, gdzie znalazłaś tę karteczkę?

— To Ali Baba przyniósł — siorbnęła nosem Alin-

191

ka — tam w podziemiach uciekł ode mnie, a kiedy wrócił, miał tę kartkę przypiętą do obroży. Artur pokręcił głową.

— A więc Adam był w podziemiach... Po co? Dlaczego?

— Nie wiem — odparła Alinka — kiedy to wstrętne psisko uciekło, przestraszyłam się bardzo i sama wyszłam z lochu. On mnie dogonił na tej ścieżce, którą chodziliśmy do kryjówki Adama.

— Nigdy mu nie wybaczę, że zabrał mamusine pieniądze — powiedziała twardo Agnieszka.

— Może odeśle... — zaczął nieśmiało Artur.
— Wierzysz w cuda? — wykrzywiła się ironicznie Agnieszka. — No dalej, kończmy to pakowanie, bo zaraz będzie obiad, a po obiedzie mamy jechać.
— Słuchaj, czy pomyślałeś o tym, gdzie się ukryjemy? — szepnął Artur. — Przecież nie wrócimy do obozu! Nikt nie może wiedzieć, że wróciliśmy.
— Oczywiście, w dawnej kryjówce Adama.
— Musimy mieć coś do jedzenia.
— Pomyślałam i o tym — powiedziała z wyższością Agnieszka — schowałam do plecaka bochenek chleba, dwie paczki herbatników i cukierki. Zresztą dostaniemy wałówkę na drogę.
— W porządku — uspokoił się Artur. Bardzo nie lubił pościć.
Oboje, zajęci pakowaniem i układaniem planów ucieczki, nie zwracali uwagi na dziwne zachowanie Alinki. Mała raz po raz otwierała usta, wykręcała sobie palce, co było niechybnym znakiem, że chce coś powiedzieć, a nie wie, jak zacząć. Wreszcie machnęła z rezygnacją ręką i przykucnęła nad swoim plecaczkiem. Po chwili usłyszeli głos matki wołającej ich na obiad.

192

— Pamiętajcie, dzieci — powiedziała surowo Agnieszka — żadnych lamentów, żadnych dyskusji z ojcem. Musimy uśpić jego czujność. Jesteśmy skruszeni, przynajmniej się do winy i cieszymy się z wyjazdu do wujostwa. Zrozumiano?
— Tak jest, o pani — skłonił się nisko Artur.
— Dobrze — zgodziła się pokornie Alinka.
— No to jazda na obiad!
?? -

Rozdział XIX

Z powrotem w Czarnym Stoku

Agnieszka podciągnęła kolana prawie pod brodę i szelniej otuliła się kurtką. Wprawdzie noc była ciepła, ale teraz nad ranem oziębilo się znacznie i dziewczynka czuła nieprzyjemną wilgoć ciągnącą od zasnutych mgłami łąk. Że też właśnie na nią przypadły te najgorsze godziny czuwania między trzecią a szóstą! No, ale sama chciała. Na Alinkę w ogóle nie można było liczyć, była tak zmęczona i śpiąca, że usypiała w każdej pozycji, a Artur mimo bohaterskich min też ledwo trzymał się na nogach. Zresztą znała brata, wiedziała, że skoro raz zaśnie, żadna siła ludzka nie zmusi go do przebudzenia się w środku nocy! Artur więc czuwał od północy do trzeciej i pewno nie mógł doczekać się chwili, kiedy obudzi Agnieszkę i będzie mógł zająć jej ciepłe, wygrzane miejsce u boku Alinki. Dobrze, że nie uprzętnęli kryjówki Adama. Pozostało po nim posłanie ze świerkowych gałęzi, niedopałek świecy, puszka na wodę i zielony płaszcz włamywacza, który posłużył im za przykrycie. Niebo na zachodzie już różowieje, niedługo wzejdzie słońce i nie trzeba będzie wzdrygać się za każdym szelestem i przenikać wzrokiem tajemniczą i niepokojącą ciemność.

— Gdyby tu był Ali Baba! — wzdycha Agnieszka

194

i przypomina sobie, ile łez wylała Alinka, gdy ojciec zarządził dodatkową karę za ich „niemożliwe” zachowanie — pies zostanie w obozie!
A jak rozpaczliwie był uwiązany Ali Batoa; ojciec obawiał się, i słusznie, że pies poleci za samochodem uwożącym jego młodych państwa.
„Co w tego tatę wstąpiło? — zastanawia się Agnieszka. — Nigdy nie był taki surowy i nigdy nie karał ich przed dokładnym zbadaniem «przestępstwa». A teraz nie pomogło nawet wstawiennictwo mamy! Wstrętny doktor Osiński, wszystko przez

niego!"

Początkowo mieli żal do redaktora Ei-Ef, że nie stanął w ich obronie, że nie poparł oskarżenia Artura. Potem zrozumieli, że musiał tak postąpić. W sposobnej chwili zdołał szepnąć Agnieszce, że zachował się zgodnie z regułami gry — nie wolno płoszyć przestępcy przedwcześnie. A doktor Osiński jeszcze nie zdemaskował się ostatecznie.

— Przecież pamiętacie, co postanowiliśmy — powiedział widząc wyrzut w oczach Agnieszki — doktor wskaże kryjówkę i wtedy zostanie złapany na gorącym uczynku. Na dworcu w Kłodzku okazało się, że pociąg Kudowa—Warszawa jest pociągiem pośpiesznym, pierwszy jego postój wypadał na stacji Bardo Śląskie, skąd mieliby około dwudziestu kilometrów do Czarnego Stoku.

Ojciec wsadził ich do wagonu, pomógł ulokować plecaki i udzieliwszy jeszcze paru napomnień wyszedł na peron. Agnieszka z Alinką zatarasowały okno, tak że tata wcale nie zauważył Artura, który przynosił bagaże pod drzwi. Po pewnej chwili Agnieszka potrącana przez wchodzących i wychodzących pasażerów powiedziała: —? Wejdzimy do przedziału, tatku, bo tu okropnie przeszkadzamy. A zresztą pociąg zaraz odjeżdża.

??»

195

Ojciec nic nie podejrzewając zgodził się. Dzieci, oczywiście, nie weszły do przedziału, lecz zajęły stanowisko przy drzwiach wagonu, prowadzących na tory. Kiedy usłyszeli chrapliwy głos płynący z głośnika i przynaglający pasażerów do wsiadania, wyskoczyli z wagonu, przebiegli pusty tor i nie zauważeni przez nikogo wyszli z dworca znacznie wcześniej niż ojciec, który jeszcze długo machał chusteczką za oddalającym się pociągiem.

Ukryci w bramie, obserwowali Agapita zaparkowanego przed dworcem, widzieli też ojca, który opuściwszy stację, wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku poczty, skąd miał dzwonić do wujka pod Łowicz z wiadomością o przyjeździe dzieci. Wtedy Agnieszka poczuła wyrzuty sumienia. Ile zamieszania narobią swoją ucieczką z pociągu i powrotem do Czarnego Stoku! Ciocia Krystyna natychmiast po telefonie zacznie szykować pokój dla nich (rozkoszny pokój na poddaszu, skąd widać rozległy park i łączący się z parkiem las), z pomocą wujka znosić łóżka ze strychu, oblekać pościel...

A potem rozczyni ciasto na ulubiony przysmak Artura i Alinki, placek drożdżowy z kruszonką, wujek zaś, mimo nawału pracy wyciągnie z garażu rozklekotany „gazik” i pojedzie późnym wieczorem przeszło dwadzieścia kilometrów do Skierniewic, aby na stacji oczekiwać siostrzeńców.

A potem, kiedy się okaże, że nie przyjechali, jakże się zmartwią oboje! Będą przypuszczali, że stało się nieszczęście, że może któreś z dzieci zachorowało w drodze. I wcale nie będą wiedzieli, jak zawiadomić rodziców, że Agnieszka, Alinka i Artur nie dojechali do Skierniewic!

„Trzeba było wysłać depeszę! — wzdycha Agnieszka. — Byłoby się napisało «Przyjazd odwołany,

196

list w drodze» albo coś w tym rodzaju i wujostwo nie mieliby kłopotu!"

Ale Artur tak pilił, tak straszył, że mogą w Kłodzku natknąć się na ojca, że w końcu Agnieszka ustąpiła i depesza nie została wysłana.

Biedny wujek Józek, tyle ma zajęcia, przecież już zaczynają się żniwa (wujek jest dyrektorem PGR-u), od świtu do nocy jeździ po polach, a tu jeszcze takie zmartwienie!

Trudno, teraz już nic nie można poradzić. Do nieposłuszeństwa zmusiła ich wyższa konieczność. Kiedy zdemaskują doktora Osińskiego i odbiorą mu jego zdobycz, ojciec sam uzna, że postąpili słusznie, i na

197

pewno nie będzie się gniewał. I wytłumaczy ich przed wujkiem i ciotką! Jak ten czas wolno płynie, dopiero wpół do piątej. Jeszcze półtorej godziny czuwania! Postanowili z Arturem, że o szóstej zjedzą śniadanie, a potem wyjdą z kryjówki i zajmą stanowiska obserwacyjne. Doktor Osiński przed ostatecznym zrealizowaniem swoich planów, które ma nastąpić we wtorek wieczór, na pewno będzie chciał poczynić jakieś przygotowania. Trzeba go przez cały czas pilnie obserwować. Pan redaktor też pewno nie zasypia gruszek w popiele, ale co trzy paru oczu, to nie jedna!

„Szkoda, że nie ma Adama — myśli z zalem Agnieszka — on był taki sprytny i zręczny! I co mu przyszło do głowy z tym wyjazdem do Łodzi? Dokąd pójdzie, gdzie będzie mieszkał? Te trzysta złotych, które zabrał, nie starczą na długo, a do rozpoczęcia roku szkolnego jeszcze przeszło miesiąc! Głupi chłopak! Przecież rodzice byliby mu pomogli, nawet mama wspominała o możliwości umieszczenia Adama w internacie. Mieszkałby we Wrocławiu, a na każdą niedzielę i święto przychodziłby do nas do domu.

A może doktor Osiński miał rację? Może Adam wszystko zmyślił, opowiedział wzruszającą historię o niedobrym wujku, aby zdobyć ich zaufanie i współczucie, a potem wykorzystać naiwność przyjaciół i uciec?

Nie, to niemożliwe! To doktor Osiński nie zasługuje na zaufanie, nie można mu wierzyć. Może nawet miał jakiś cel w tym, aby oczernić Adama" ... — Agnieszka poruszyła się tak gwałtownie, że kurtka okrywająca jej ramiona spadła na ziemię. Jaki cel miałby doktor Osiński, kompromitując Adama w oczach rodziców? — Ależ to jasne! Chciał się ich wszystkich pozbyć! Celowo dążył do wywołania awantury, bo liczył, że zirytowany ojciec odeśle „niegrzeczne dzieci" pod Łowicz! Może

198

nawet podsunął ojcu taką myśl... Wprawdzie w najgorszej chwili stanął w ich obronie, ale to na pewno był tylko pozór. Może to nawet on sam namówił Adama do ucieczki? Taki człowiek jest zdolny do wszystkiego!

Może na przykład powiedział Adamowi (oczywiście w najgłębszej tajemnicy), że rodzice mają zamiar zawiadomić wuja o jego pobycie w Czarnym Stoku, a wtedy nic dziwnego, że chłopak przeraził się i uciekł. I w dodatku przez całe życie będzie miał żal do A.B.C., że go oszukali.

Agnieszka spogląda na zegarek. Jest już piętnaście po piątej, może obudzić Artura i Alinkę? Im wcześniej zajmą swoje stanowiska, tym mniejsze będzie ryzyko spotkania rodziców, dozorczy lub redaktora Ef-Ef. Bo nawet on nie może wiedzieć, że wrócili.

Agnieszka wpełza do kryjówki. Już ma zamiar potrząsnąć smacznie śpiącym bratem, gdy nagle zmienia zamiar-. Niech jeszcze odpoczną trochę, czeka ich przecież następna bezsenna noc i dwa ciężkie dni.

Z westchnieniem wraca na swoje stanowisko u wejścia do kryjówki. Owija się kurtką, opiera głowę o zimny chropowaty mur, przymyka piekące i ciężkie powieki. Jeszcze przez chwilę usiłuje walczyć z ogarniającą ją sennością, wreszcie zasypia twardo, sama nie wiedząc kiedy.

Słońce przewędrowało już spory szmat nieba, gdy Agnieszka z głośnym stęknięciem rozprostowała ścierpnięte nogi. Przez chwilę siedziała bez ruchu mrugając oczyma osłepionymi blaskiem słonecznych promieni, nagle zerwała się i z przerażeniem

spojrzała na zegarek. Masz tobie, za dziesięć minut dziewiąta! Zasnęła i spała prawie cztery godziny! A przecież już dawno

199

powinni obserwować ze swoich kryjówek poczynania doktora Osińskiego. Szybko wsunęła się do lochu, gdzie spało rodzeństwo. Alinka zerwała się natychmiast z posłania, ale z obudzeniem Artura były poważne trudności. Kiedy je wreszcie pokonała, zjedli śniadanie, popili herbatą z termosu, którą mama przygotowała na drogę, i byli gotowi do akcji. Już poprzedniego dnia ustalili, że po pierwsze — będą się poruszać wyłącznie pod osłoną drzew i krzaków obrastających zamek, po drugie — dwa krótkie gwizdnięcia i jedno długie to zapewnienie, że wszystko w porządku, miauczenie kota oznacza, że jest ważna wiadomość do zakomunikowania, a pianie koguta — alarm, po którym wszyscy natychmiast stawiają się w kryjówce Adama.

Przypomniawszy raz jeszcze ustaloną sygnalizację Artur wręczył siostrze latarki elektryczne, sam opasał się liną jak taternik wybierający się na wyprawę, sprawdził, że finka w futerale jest dobrze umocowana przy pasku od spodni, i zakomenderował:

— Na stanowiska!

Zanim jednak dzieci opuściły kryjówkę Adama, Agnieszka przypomniała sobie, że może czeka ich cały dzień czuwania i że nie będzie czasu przyjść do lochu, aby coś zjeść. Niestety, zapasy przygotowane przez mamę były już na ukończeniu, każdy dostał więc po dwie kromki chleba i garść cukierków. Artur poskrobał się frasośliwie, widząc tak skromne zaprowiantowanie, ale uznał, że z głodu nie umrze. Potem już bez żadnych przeszkód wyszli ostrożnie z kryjówki, szybko przebiegli pustą przestrzeń, dzielącą ich od zamkowego muru, i zniknęli w gęstwinie krzaków.

Rozdział XX

Za późno!

Artur spojrział na zegarek i zasepił się. Dopiero minęła pierwsza, a on już zjadł obie kromki chleba i wszystkie cukierki. Do wieczora jeszcze daleko, a tylko z trudnością mógłby przyznać, że jest syty. Co będzie po południu? W dodatku po cukierkach ma okropne pragnienie, oddałby nie wiadomo co za kubek kwaśnego mleka, a choćby szklanę wody!

Co gorsza, czas spędzony na wieży, skąd z łatwością obserwował wewnętrzny dziedziniec, część zewnętrznego, a nawet ścieżkę prowadzącą z zamku do obozu, można było uznać za stracony. Nie zauważył żadnych podejrzanych ruchów. Z zachodniego skrzydła dolatywał miarowy stuk młotków, niechybny znak, że rodzice pracują spokojnie nad zdejmowaniem dalszych partii tynku.

Ten, o kogo najbardziej chodziło, doktor Osiński, nie dawał swoim zachowaniem podstaw do podejrzeń. Artur widział jego sylwetkę przez otwarte okno pokoju, doktor czytał coś czy pisał pochylony nad stolikiem.

W pewnym momencie ucichło stukanie młotków, prawdopodobnie rodzice przerwali pracę i zaraz pójdą na obiad.

201

Artur przełknął ślinę. Jakże chętnie zjadłby porcję gulaszu z puszki, a choćby tylko talerz zupy! Trudno, prawdziwy milicjant tropiący przestępcę też pewno niejedną raz musi zrezygnować z obiadu. Najlepiej nie myśleć o jedzeniu. Artur słyszy nagle skrzypnięcie, to rodzice wychodzą z zachodniego skrzydła. Mama zdjęła chusteczkę i otrzepuje ją z kurzu, ojciec sięga do kieszeni szarego fartucha po nieodstępną fajkę. Mówią coś do siebie, ale co, tego Artur z

wysokości prawie trzech pięter nie słyszy.

O, idą w kierunku mieszkania dozorca. Ojciec staje przed otwartym oknem, w którym po chwili ukazuje się doktor Osiński. Chwilę rozmawiają, potem doktor zamyka okno i wychodzi z mieszkania. Razem z rodzicami przechodzi zewnętrzny dziedziniec, potem Artur widzi trzy sylwetki mknące na ścieżce. Poszli do obozu na dbiad. No tak, teraz można na chwilę zejść z posterunku, doktor nie wróci wcześniej niż za godzinę.

A gdyby tak... Artur aż usta otworzył ze zdumienia, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Przecież Alinka słyszała w podziemiach rozmowę, z której wynikało, że przy pierwszej wizycie w ich domu włamywacz zabrał zły plan i że istnieje jeszcze inny, dobry. Drugie włamanie miało więc na celu znalezienie drugiego, dobrego planu.

Jeśli go znaleziono, powinien znajdować się w rękach doktora! Trzeba jeszcze raz przeszukać pokój. Okno otwiera się całkiem łatwo, trzeba tylko podważyć nożem haczyk. A kiedy dostaną plan w swoje ręce, zorientują się, gdzie może być ukryty skarb, i tam zrobią zasadzkę! Chyba że doktor Osiński nosi plan przy sobie...

No cóż, spróbować nie zawadzi.

Artur schodzi ostrożnie w dół, na pierwszym piętrze zatrzymuje się i wychylając głowę przez okno, miauk-

202

czy przeraźliwie... Po chwili odpowiada mu takie samo miauknięcie z zewnętrznego dziedzińca. Agnieszka odebrała sygnał i zaraz tu będzie. O, już idzie! Artur widzi szczupłą sylwetkę siostry w granatowych dżinsach i szarym sweterku, skradającą się ostrożnie wzdłuż muru.

„Ale się zdziwi, kiedy jej powiem o moim pomysśle” — cieszy się Artur i szybko zbiega na spotkanie Agnieszki.

Alinka sama już nie wiedziała, co robić, żeby czas szybciej mijał. Pozostawiona przez rodzeństwo na straży wejścia do podziemi, siedziała w krzakach pod zamkowym murem i nudziła się jak mops. Próbowwała upleść z trawy i liści wianek, ale czy materiał był nieodpowiedni, czy jej umiejętności niewystarczające, wianek rozłaził się w palcach i w końcu zniechęcona dziewczynka cisnęła wszystko w krzaki. Potem w zeszlórocznych liściach, zaścielających ziemię, znalazła pełznącego wolniutko ślimaka i bawiła się nim jakiś czas, ale to przebrzydłe stworzenie schowało różki, zwinęło się w ciasną kulkę i wydawało się tak przerażone, że Alinka położyła go z powrotem na ziemi.

„Jaki głupi — pomyślała rozszalona — przecież nie zrobiłabym mu nic złego”.

Trochę czasu zajęło jej zjedzenie chleba i cukierków, ale potem już wcale nie wiedziała, co robić, aby nie nudzić się tak okropnie. Jak zwykle w takich wypadkach poczuła żal do rodzeństwa. Zostawili ją w krzakach, przykazali surowo absolutny spokój i ciszę i poszli do zamku. Im to dobrze, mają widok na oba dziedzińce, na obóz, może choć z daleka zobaczą mamę, a ona siedzi tutaj i pilnuje nie wiadomo czego.

No nie, jej zadanie jest bardzo ważne i potrzebne.

203

Gdyby zauważyła kogoś zbliżającego się do podziemnego wejścia, ma natychmiast zaalarmować rodzeństwo.

Alinka drgnęła i nadstawiła uszu. Co to znaczy? Słyszać wyraźnie jakiś szelest! Ktoś szybko i bardzo lekko biegnie ścieżką, musi być zupełnie blisko, bo słysząc coś jakby oddech czy sapanie. Alinka wstaje i ostrożnie rozsuwa krzaki, które zasłaniają wejście do lochów. Jest ogromnie podniecona. Za chwilę zobaczy kogoś,

kto wejdzie do podziemi. Jest niemal pewna, że tym kimś będzie doktor Osiński. A wtedy ona, Alinka, zapieje trzykrotnie jak kogut — Artur i Agnieszka będą wiedzieli, co to znaczy...

— Mamo! — woła nagle Alinka i pada jak długa na ziemię. Coś całym ciężarem zważyło się na jej plecy, straciła równowagę i przewróciła się. Przerazona dziewczynka czuje na policzku ciepłe wilgotne liźnięcie, otwiera oczy i...

— Ali Baba! Kochany Ali .Baba! Znalazłeś mnie? Jak to dobrze! — Alinka podnosi się z ziemi, otrzępuje sukienkę, a potem długo pieści i tuli łeb Ali Baby.

— Wiesz co? — mówi patrząc w złociste oczy wilczura. — Ty jesteś okropnie mądry. Taki mądry jak... jak sam tata!

Ali Baba, rad z komplementu, wywiesza język i radośnie powiewa puszystą kitą ogona. Zajęta zabawą z psem Alinka nie słyszy szelestu rozsuwanych gałęzi, ale czujny Ali Baba natychmiast unosi łeb i nadśluchuje pilnie. Po chwili jego ogon zaczyna się gwałtownie poruszać, sygnalizując ogromną radość psiego serca. Alinka jest zdziwiona, ale nie na darmo Ali Baba to pies uczony, a w dodatku posiadacz dyplomu. Krzaki rozchylają się i Alinka widzi najpierw ogromnie podnieconą Agnieszkę, potem bladego z przejęcia Artura.

204

— Co się stało? — pyta zdumiona. — Alarm? Nic nie słyszałam!

Agnieszka dopiero w tej chwili dostrzega psa i odpowiadając machinalnie na jego żywiołowe powitanie, pyta:

— Skąd się tu wziął Ali Baba?

— Znalazł mnie — odpowiada dumnie Alinka i dodaje — strasznie się ucieszyłam. Czemu jesteście tacy bladzi? Co się stało?

Agnieszka pochyla się nad siostrą i szepce drżącym z przejęcia głosem:

— Doktor Osiński poszedł z rodzicami do obozu na obiad. Wtedy Artur zrobił rewizję w jego pokoju i wiesz, co znalazł?

— Co?

Agnieszka nie odpowiada, za to Artur ostrożnie otwiera trzymaną pod pachą teczkę i podsuwa ją Alin-ce pod sam nos.

— To! — mówi dramatycznym szeptem.

— Oj! — Alinka odskakuje przerażona, bowiem w teczce znajduje się duży lśniący pistolet. — Czy on jest prawdziwy? — pyta z pełnym szacunku lękiem.

— A jak myślisz? Oczywiście, że prawdziwy i w dodatku nabity! — odpowiada z wyższością Artur.

— Po coś go zabrał, Artur, ja się boję! — Mina Alinki wyraźnie wskazuje na bliski wybuch płaczu.

— Schowamy pistolet w kryjówce Adama i doktor Osiński będzie miał figę, nie broń! — odzyskuje nagle mowę Agnieszka.

— Musieliśmy to zrobić — oświadcza poważnie Artur — broń w rękach takiego człowieka, jak on, to wielkie niebezpieczeństwo! Mógłby zranić albo... albo nawet zabić — dokończył ciszej.

Agnieszka blednie jeszcze bardziej, o ile to możliwe, i mówi błagalnym głosem:

205

— Artur, odnieś to szybko do kryjówki i wracaj.

— Ale z ciebie tchórz! — uśmiecha się pogardliwie brat. — Przecież broń, nawet nabita, sama nie wystrzeli. Trzeba nacisnąć cyngiel, o tutaj...

Agnieszka chwyta brata za ramię i krzyczy:

— Zostaw to, nie dotykaj, bo może stać się nieszczęście! Musieliśmy odebrać broń doktorowi, ale to nie znaczy, że możesz się nią bawić.

Artur chce ofuknąć siostrę, ale po chwili przyznaje jej rację. Prawdę mówiąc będzie rad pozbywszy się ciężkiej teczki z jej niebezpieczną zawartością.

— Pędzę na jednej nodze i wracam.

Po odejściu brata obie dziewczynki siedzą w milczeniu, wstrząśnięte niespodziewanym odkryciem.

Zwłaszcza Agnieszka zaczyna się poważnie zastanawiać, czy powinni w dalszym ciągu mieszać się w nie swoje sprawy, mówiąc językiem rodziców. Pyszna zabawa polegająca na śledzeniu podejrzanego stała się niebezpieczną grą, która może mieć tragiczny finał. Agnieszka wzdryga się i postanawia poważnie porozmawiać na ten temat z Arturem.

Nagle Alińka trąca zamyśloną siostrę i mówi:

— Patrz, jak dziwnie zachowuje się Ali Baba. Agnieszka unosi głowę i widzi psa stojącego przy

wejściu do lochu. Łeb ma pochylony ku ziemi, uszy postawione, czarny nos wciąga ze świstem powietrze. Ali Baba złapał trop!

— Ali do nogi! — woła Agnieszka głośnym szeptem.

Pies posłusznie przybiega do dziewczynki, ale zamiast położyć się grzecznie przy jej nogach, delikatnie chwyta zębami dłoń Agnieszki i ciągnie ją w kierunku, lochu.

— Czego on chce? — zastanawia się Alinka.

— Zdaje się, że zwęszył coś w podziemiach i chce, żebyśmy z nim poszły.

206

»

— To chodźmy.

—• Nie, zaczekamy na Artura.

Ale oto i Artur. Wraca zdyszany, bez tchu, widać biegł przez całą drogę.

Powiadomiony o dziwnym zachowaniu psa, decyduje szybko:

— Trzeba iść za Ali Babą, on się nigdy nie myli. Agnieszko, uwiąż go na pasku, żeby nie poleciał naprzód.

Z psem na „smyczy”, z bijącymi mocno sercami cała trójka ostrożnie zapuszcza się w ciemność podziemi.

Artur jednym skokiem znalazł się we wnęce muru i zgasił latarkę. Siostry, idące za nim krok w krok, uczyniły to samo.

— Idzie — szepnął zduszonym głosem Artur.

Tak, chłopiec nie myli się, słyhać ostrożne kroki, ktoś nadchodzi korytarzem z głębi lochów. Teraz błysnęło światelko, ktoś oświetla sobie drogę latarką.

Dzieci nie widzą twarzy, ho światło pada pod nogi idącego, pozostawiając resztę postaci w cieniu.

— To on, doktor Osiński — Agnieszka ledwo usłyszała słowa brata wypowiedziane najcichszym szeptem.

— Skąd wiesz?

— Poznają po butach, on ma takie dziurkowane sandały.

— Jeszcze ktoś idzie za nim.

— Wspólnik.

Dzieci drżą z podniecenia. Może już za chwilę dwaj mężczyźni odnajdą skrytkę z ukrytym skarbem i uciekną. Czy oni, A.B.C., potrafią im w tym przeszkodzić?

Chłopiec, dwie dziewczynki i pies, a z drugiej strony dwaj dorośli, zdecydowani na wszystko i pozbawieni skrupułów mężczyźni...

207

„Gdyby tu był redaktor Ef-Ef, a choćby tata — myśli z rozpaczą Artur — Ali Baba

poradzi sobie z jednym, ale drugi może tymczasem uciec z łupem".

Ali Baba... Artur przysuwa się bliżej do psa i nagle czuje na nogach miarowe uderzenia. Czy ten pies zwariował?! Przecież on najwyraźniej w świetle macha ogonem! Ułożony do tropienia pies w pobliżu przestępców macha ogonem?! Artur na wszelki wypadek po omacku odnajduje pysk Al ego i kładzie na nim dłoń. Jeszcze by tego brakowało, żeby ten idiota zaczął szczekać! Uwaga! Widać idący stanęli, bo światło latarki przestało się poruszać.

„Są niedaleko — myśli Artur? — co zrobimy, jeśli się zbliżą? Czy nie zauważą nas w tej wnęce? A ten kretyński pies wciąż macha ogonem!”

Artur opiera się delikatnie o mur, bowiem kolana drżą mu coraz mocniej. To samo odczuwa Agnieszka. Ścisną z całej siły dłoń Alinki i modli się w duchu, aby mała nie zaczęła płakać. Ale najmłodsza A.B.C. zachowuje się dzielnie. Przytulona do siostry ani drgnie.

„Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa — myśli Agnieszka — tym lepiej”. Światelko zamigotało. Ruszyli naprzód.

Nagle... co to znaczy?! Światło znikło, jakby wsiąkło w mur! W zupełnej ciemności dzieci słyszą podniesione głosy, czyjś krzyk...

Ali Baba jednym szarpnięciem wrywa pasek z ręki Artura i znika.

— Tam jest korytarz — przypomina sobie Alinka — ja tam byłam!

Artur zapala latarkę i zapominając o strachu biegnie naprzód, a za nim obie siostry.

Tak, Alinka miała rację, jest boczny korytarz, a w nim coś się przewala, kotłuje, słychać podniesione

208

głosy i wściekłe warczenie Ali Baby. Z trzech latarek równocześnie wytrysnął snop światła i wydobył z mroku walczące postacie.

— Tatuś?! — wrzasnął Artur.

— Co to znaczy?! — Agnieszka nie wierząc własnym oczom patrzy na doktora Osińskiego, który trzyma za ramiona redaktora Ef-Ef. Ali Baba pochylony nad leżącym na ziemi drugim mężczyzną przysunął do jego szyi groźną, uzbrojoną potężnymi kłami paszczę i nie pozwala mu drgnąć.

14 — Niezwykle wakacje ???,

209

— Dzieci! — woła przerażony ojciec. — Co tu robicie, na miłość boską?!

— My, my tropiliśmy doktora Osińskiego — mówi bliska płaczu Agnieszka — ja już nic nie rozumiem. Tatusiu — i rzuca się na piersi ojcu.

Artur, który zaniemówił na widok wykrzywionej wściekłością twarzy redaktora Ef-Ef i obezwładniającego go chwytem judo doktora Osińskiego, nagle odzyskał mowę. Przypominając sobie o celu poszukiwań krzyczy:

— A skarb? Gdzie jest skarb?

Tata podnosi z ziemi latarkę i kieruje snop światła na ścianę, w której czernieje duży otwór.

— Za późno — mówi — skrytka jest pusta!

Rozdział XXI

Wielki dzień Alinki

Na to, co nastąpiło potem, dzieci patrzyły szeroko rozwartymi oczyma, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia. Doktor Osiński wyjął gwizdek, przyłożył go do ust i po chwili w lochu zjawili się trzech uzbrojonych milicjantów. W postawie pełnej szacunku wysłuchali poleceń rzekomego doktora, po czym wyprowadzili z korytarza obu zatrzymanych mężczyzn.

— Tylko bez sensacji! — krzyknął doktor. — Zaprowadźcie ich do samochodu. Ja za chwilę przyjdę.

— No, teraz my — zwrócił się do dzieci — wyjaśnimy sobie różne sprawy. Niestety, do wyjaśnień nie doszło. Ali Baba, który tylko z trudnością pozwolił milicjantowi odebrać sobie swego jeńca, podniósł łeb i zaczął z napięciem wsłuchiwać się w jakieś odgłosy, dochodzące wyłącznie do jego uszu. Po chwili zbliżył się do taty A.B.C. i trącił go nosem w rękę, patrząc przy tym wymownie w oczy.

— Czego chcesz, piesku? — pyta tata.

Ali wybucha głośnym szczekaniem, potem biegnie do końca korytarza, wraca, znów szczeka, wyraźnie żąda, aby ktoś udał się za nim. Teraz wszyscy nadśluchują.

211

— Ktoś wzywa pomocy! — woła Artur stojący najbliżej wyjścia. — Ali, szukaj! Dzieci pędzą naprzód, ojciec, chcąc nie chcąc, biegnie za nimi. Ali prowadzi bez namysłu wąskim korytarzem, skręca raz w prawo, raz w lewo, przeskakuje jednym wspaniałym susem schody, coraz bliżej i bliżej miejsca, skąd wydobywa się stłumiony, lecz coraz wyraźniejszy głos:

— Ratunku! Na pomoc!

Agnieszka, Alinka, Artur i tata biegną dysząc i potykając się, pies zatrzymuje się od czasu do czasu, odwraca głowę, jakby chciał sprawdzić, czy wszyscy idą za nim, a wówczas w jego oczach można wyraźnie dostrzec pytanie: „I co zrobilibyście beze mnie?”

Jeszcze kilkanaście metrów, wołanie coraz wyraźniejsze, wreszcie Agnieszka zatrzymuje się i krzyczy: — To Adam, to głos Adama!

Ali znika w jakiejś szparze, skąd sączy się mdłe światło, po chwili słychać triumfalne szczeknięcie, które w psim języku oznacza: „Znalazłem! Zadanie wykonane!”

Wszyscy czworo A.B.C. wpadają do niewielkiej izdebki oświetlonej dopalającą się świecą i na moment tracą mowę ze zdumienia. Na drewnianej prycy leży Adam skrępowany sznurem tak przemyślnie, że na widok wchodzących może tylko unieść głowę.

—Nareszcie! — wybucha. — Myślałem, że już nigdy stąd nie wyjdę!

Artur odzyskuje głos i podbiega do leżącego chłopca.

?— O rany, Adam, skąd się tutaj wzięłeś?! Myśmy byli pewni, że uciekłeś!

— Zaraz wszystko opowiem, tylko rozwiążcie mnie — prosi chłopiec.

Artur szybko przecina sznury krępujące przyjaciela, Adam siada na pościeli i rozciera zdrętwiałe dłonie.

212

-r- Kto cię tak urządził? — pyta Agnieszka.

— Zaraz, najpierw muszę wam powiedzieć niezwykłą nowinę! To wcale nie doktor Osiński szukał skarbów...

— Wiemy, wiemy — przerywa mu Artur — przed chwilą doktor razem z tatą i Ali Babą złapali redaktora Ef-Ef i jego współnika przy skrytce w bocznym korytarzu.

?

- — Ach, więc już wiecie — Adam jest trochę rozczarowany, że jego „bomba” przeszła bez wrażenia — czy odebrali mu monety?

— Monety? — dziwi się Agnieszka. — O czym ty mówisz?

213

— Zaczekajcie, dzieci. Adasiu, opowiadaj po kolei -zabiera głos tata A.B.C., wykazujący dotąd godny podziwu spokój i cierpliwość. — Słyszałeś coś o monetach?

— Ależ tak — gorączkuje się Adam — oni wcale na mnie nie zważali, mówili otwarcie o wszystkim.

— Kto mówił? — pyta tata.

— No ten rzekomy redaktor i jego wspólnik, człowiek w zielonym płaszczu, jak go nazwaliśmy. Bo to ten drugi właśnie włamał się dwukrotnie do waszego mieszkania, aby zabrać plany.

— Dwukrotnie? — dziwi się tata. — Wiem tylko o jednym włamaniu.

— Później, tatusiu — Artur aż przytupuje ? niecierpliwości — później ci wszystko wyjaśnimy. No więc, co dalej?

Adamowi język płacze się z emocji, usiłuje mówić spokojnie, ale nie bardzo mu się to udaje.

— No więc oni nie szukali żadnych skarbów rycerza von Schwarzenberga, ta legenda to tylko legenda i oni wcale jej nie znali. Ktoś, kto teraz jest za granicą, ukrył w podziemiach zamkowych, jeszcze podczas wojny, ogromnie cenny zbiór monet. Podobno w tym zbiorze są prawdziwe unikaty! Więc ten ktoś, nazwiska nie mówili przy mnie, chciał odzyskać zbiór i wynajął redaktora Ef-Ef, aby odszukał skrytkę, wyjął zbiory i przemycił je za granicę.

— Czekaj — przerywa Artur — nie rozumiem. Ten, kto ukrył zbiory, nie wiedział, gdzie ich szukać?

— Właśnie, bo to nie on sam schował monety, tylko jego krewny, który umarł zaraz po wojnie. Wiadomo było tylko, że zbiory są ukryte w Czarnym Stoku, w podziemiach, i był podany szyfr, ale bez klucza... Redaktor Ef-Ef odczytał szyfr, ale też z początku nie rozumiał, o co chodzi. Szyfr brzmiał — dotknąć kolejno...

214

— Czy macie zamiar tu nocować?

Wszyscy drgnęli i odwrócili się gwałtownie. Do izdebki wszedł doktor Osiński.

— Widzę, że odnalazł się czwarty „wywiadowca” — powiedział, z uśmiechem patrząc na Adama.

— Kim pan właściwie jest? — wyjąkał chłopiec.

— Nazywam się Roman Osiński, podałem prawdziwe nazwisko, z tą tylko różnicą, że nie jestem doktorem, lecz kapitanem Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu — odparł skromnie były naukowiec.

— A wyście go wzięli za przestępcę — powiedział z wyrzutem tata A.B.C.

— Wiedziałeś o wszystkim?! — krzyknęła Agnieszka.

— Oczywiście — skinął głową tata — pan kapitan wtajemniczył mnie w swoje plany...

— Ale z nas osły dardaneelskie! — westchnął Artur.

— No, niezupełnie — zaprzeczył z uśmiechem kapitan Osiński — rozszyfrowaliście mnie całkiem sprytnie. Ma pan bardzo inteligentne dzieci, panie Andrzeju, tylko może odrobinę zbyt przedsiębiorcze... O ile się nie mylę, w tej chwili powinniście się znajdować u wujostwa pod Łowiczem? — spytał uśmiechając się złośliwie.

Ojciec palnął się w czoło.

— Na śmierć zapomniałem! Ale tyle było sensacji... Gadajcie, dlaczego nie jesteście u wujka? Jakim cudem wróciliście?! Przecież sam wsadziłem was do pociągu!

— Wagon ma dwa wyjścia — bąknął Artur.

— Nie mogliśmy was zostawić sam na sam z przestępcą! — uzupełniła Agnieszka.

— On miał broń! — pisnęła Alinka. Kapitan Osiński chwycił się za głowę.

— A więc to wy zabraliście mój pistolet? Powinienem był się domyślić! Gdzie on

jest, gadajcie zaraz!!

215

Tata A.B.C. jęknął głucho i opadł na posłanie obok Adama, któremu oczy niemal wychodziły z orbit.

— Moje dzieci ukradły broń! Koniec świata!

— Wcale nie ukradliśmy — zaprzeczył z oburzeniem Artur — rozbroiliśmy przestępcę...

— My zaraz wszystko wyjaśnimy — zaczęła Agnieszka — i oddamy pistolet, tylko...

— Żadne „tylko”! — skoczył na równe nogi ojciec. — Natychmiast stąd wychodzimy! Zwariuję przez te „inteligentne dzieci”!

— Przecież nic się nie stało, tatku — Artur próbował zażegnać nadciągającą burzę — gdyby jeszcze odnalazły się te zbiory...

— Czy pan zrewidował tych opryszków? — Ojciec połknął haczyk zarzucony zręcznie przez syna w celu skierowania uwagi na bezpieczniejsze tory.

— Tak, ale nic nie znalazłem.

— Ależ oni nie mogli tego ukryć przy sobie! — krzyknął Adam. — Zbiory znajdowały się podobno w dużym pudle z czerwonej skóry ze złoconymi herbami i... Wszyscy podskoczyli z przerażenia, bowiem nagle rozległ się przeraźliwy pisk Alinki:

— Tatusz, Agnieszko, to ja... ja znalazłam to pudło! Ale ono było puste, tylko jakieś papiery leżały w środku, więc ja to pudło zabrałam na swoją kolekcję! A potem zapomniałam, zupełnie zapomniałam!

— Ciele! — syknął Artur.

— Idiotka! — uzupełniła Agnieszka.

Kapitan Osiński przyklęknął przy podskakującej na jednej nodze dziewczynce i zapytał ze sztucznym spokojem:

— Gdzie znalazłaś pudło, Alusiu?

— W tej skrytce! Tam były cyferki i ja przypadkiem nacisnęłam jedną i coś zaskrzypiało, więc zaczęłam da-

216

lej naciskać i nagle coś się otworzyło, i tam leżało to pudełko.

— „Naciskać po kolei” — mruknął kapitan. — Mała przypadkiem odkryła szyfr — zero, jeden, pięć, osiem — czy tak?

— Tak, ale potem Ali Baba uciekł i wrócił z kartką od Adama, więc ja schowałam pudełko i pobiegłam do obozu, a potem okazało się, że mamy wyjechać do wujka, i całkiem zapomniałam powiedzieć...

Ostatnie słowa Alinka już wyszloehała.

— Nie płacz, kochanie — tata przytulił dziewczynkę i gładził ją po głowie — jesteś bardzo mądra i dzielna. Gdzie schowałaś pudełko?

— W kryjówce Adama, pod posłaniem — szlochała dalej Alinka.

?— O rany! — Artur o mało nie udławił się własnymi słowami. — To myśmy całą noc przespali na skarbie!

— Ja nie wiedziałam, że to skarb! — płakała Alinka. — Takie ładne pudełko i całkiem puste. Chciałam ułożyć w nim moje guziczki...

— Świat się kończy — szepnął Artur do Agnieszki — Alinka znalazła skarb!

— Szybko — powiedział kapitan Osiński. — Prowadźcie nas do tej kryjówki!

— Całe szczęście, że Alinka kolekcjonuje guziki, bo inaczej byłaby cisnęła pudło byle gdzie — szepnęła Agnieszka.

— Przypadki rządzą światem — oświadczył poważnie Adam i ostatni opuścił piwnicę, w której przez trzydzieści osiem godzin był więźniem.

Rozdział XXII

Cała prawda

— Jak to, więc pan napr. awdę nie jest delegowany z Muzeum Narodowego? — spytała mama A.B.C., patrząc z niedowierzaniem na kapitana Osińskiego. — Ależ w takim razie musisz natychmiast jechać na pocztę, Andrzeju!

Ojciec na moment oderwał wzrok od leżącego na stoliku czerwonego pudełka i spytał z roztargnieniem:

— Na pocztę? Po co?

— Trzeba zawiadomić Muzeum, że znaleźliśmy freski i że prosimy o natychmiastowe przysłanie specjalisty! — poirytowanym głosem odparła żona.

Agnieszka nieznacznie szturchnęła brata.

— Nasza mama jest kapitalna! — szepnęła. — Nic ją nie obchodzi znaleziony skarb, nasz niespodziewany powrót, ujęcie dwóch opryszków, ona myśli wyłącznie o swoich freskach!

— Nie znasz mamy? — wzruszył ramionami Artur. —? Dobrze, Aniu, zawiadomię, ale najpierw chcę

wiedzieć, co zawiera to pudło, którego z takim poświęceniem szukał twój

przyjaciel, rzekomy redaktor Fi-gler... — ojciec zmrużył ironicznie jedno oko.

— Mój przyjaciel?! — oburzyła się matka.

— Przepadałaś za nim — z uśmiechem mówił tata — twierdziłaś, że jest nad wyraz sympatyczny...

218

— A ty nie?!

— No, ja też... do pewnego czasu — wyznał z ociąganiem ojciec.

Dzieci nie zwracały uwagi na interesującą dyskusję rodziców. Nie spuszczały oka z kapitana Osińskiego, który otworzył pudło, wyjął zeń plik papierów, przejrzał je pobieżnie i teraz opukując ścianki, szukał sposobu otwarcia skrytki, bowiem już przedtem stwierdził, że pudło musi mieć podwójne dno lub coś w tym rodzaju, ponieważ jest niezwykle ciężkie, mimo iż zawierało tylko dokumenty.

— Znajdzie? — spytała szeptem Agnieszka.

— Na pewno — uspokoił ją Artur. — To morowy chłop! — dodał z przekonaniem i po raz nie wiadomo który zaczerwienił się. Takiego „morowego chłopca” podejrzewali o nieczne zamiary, a uwierzyli bez zastrzeżeń fałszywemu redaktorowi!

Bowiem kapitan już wyjaśnił, że Feliks Figler nie pracuje w żadnej redakcji i nigdy nie był dziennikarzem. Studiował co prawda kiedyś dziennikarstwo, stąd miał trochę wiadomości fachowych, ale studiów nie ukończył, a jego życiorys zawierał wiele ciemnych kart. Był już nawet kiedyś karany za oszustwo.

Kapitan Osiński wyjmując teraz z kieszeni szkło powiększające i dokładnie ogląda boczne ścianki pudła.

Po chwili unosi głowę i mówi z triumfem:

— Zdaje się, że znalazłem.

Naciska umieszczony w środku złoczonego okucia ledwo dostrzegalny sztyft i wyścielone czerwonym aksamitem dno pudła wolno unosi się w górę.

Dzieci jęknęły z zachwytem.

Na czerwonej podściółce leżą małe niepozorne krążki, złote, srebrne, miedziane...

Tata ujmuje szkło powiększające i nachyla się nad pudłem.

— Fantastyczne! — mówi po chwili. — Nie jestem

219

numizmatykiem, ale wydaje mi się, że to wspaniały zbiór! To są piastowskie denary i pieniążki Merowin-gów, a tu... ależ tak! Te właśnie monety są ozdobą

kolekcji! To pieniądze rzymskie, bite za czasów republiki... każdy kolejny cesarz od tego zaczynał rządy. Na przykład te... Po parę miesięcy sprawowali rządy trzech kolejni cesarowie: Galba, Othon i Witeliusz, po czym ginęli gwałtowną śmiercią, ale zdążyli wybić pieniążki ze swymi podobiznami...

Ojciec ujmuje delikatnie mały miedziany krążek.

— Patrzcie, dzieci — mówi — prawie dwa tysiące lat temu ktoś tym pieniążkiem płacił w sklepie za chleb lub wino... leżał w kiesce rzymskiego kupca lub w sakiewce centuriona... a potem zawędrował aż tu, na piastowskie ziemie...

Osiemnaście wieków historii...

— To bardzo interesujące, co pan mówi, panie Andrzeju — kapitan Osiński delikatnie wyjął pieniąż z palców zamyślonego taty A.B.C. — ale czas ucieka. Dziś jeszcze muszą być we Wrocławiu.

— Oczywiście, ma pan rację — zmieszał się ojciec.

— Co pan zrobi z tym zbiorem? — nie wytrzymał Artur.

— Po zakończeniu sprawy chyba prześlemy zbiór do Muzeum Śląskiego — odparł kapitan.

A więc jednak... wszystko będzie tak, jak przypuszczali... z tą tylko różnicą, że nikt nie umieści na gablotce ze skarbem napisu „odnalezione przez Agnieszkę i Artura Ciekoskich"... Skarb odnalazła Alinka, i to przypadkiem, wcale nie domyślając się, co zawiera czerwone pudełko... A oni najedli się wstydu!

?— Panie kapitanie — zaczęła nieśmiało Agnieszka — teraz, kiedy pan już wszystko zrozumiał i nie gniewa się na nas za fatalną pomyłkę...

— I za zabranie pistoletu — wtrącił Artur.

— Nie przerywaj! — rozgniewała się Agnieszka. —

220

Proszę nam wyjaśnić, skąd pan wiedział, że ci dwaj ludzie przyjadą do Czarnego Stoku i tutaj będą szukać ukrytego zbioru monet? Kapitan chrząknął i przecierając okulary powiedział:

— To dość długa historia i naprawdę mało efektowna. Boję się, że czeka was kolejne rozczarowanie. Bo przecież rozczarowaliście się widząc, że starszy, niepozorny pan w okularach jest pracownikiem Komendy MO, a czarujący młody człowiek drobnym aferzystą, wynajmującym się za pieniądze do załatwiania różnych brudnych sprawek.

— Ależ my wcale nie rozczarowaliśmy się — zaprotestowała namiętnie Agnieszka — myśmy tylko zaniemówili ze zdumienia! Pan wcale nie wyglądał na milicjanta!

— Nie zawsze jest się tym, na kogo się wygląda — mruknął kapitan — zapamiętajcie to sobie na wypadek, gdybyście jeszcze raz spotkali jakiegoś redaktora Ef-Ef.

<— Ale miał pan opowiedzieć wszystko od początku! — zniecierpliwiła się Alinka.

— No dobrze — uśmiechnął się kapitan. —? Mam jeszcze pół godziny czasu, zresztą zasłużyliście sobie na wyjaśnienia, a zwłaszcza ty, Alusiu...

— Ładna historia! — szepnął Artur do Agnieszki — smarkula będzie zadzierała nosa aż do sufitu!

— Już zadziera!

— A więc na trop Feliksa Figlera skierował nas przypadek. Milicja warszawska odkryła kilka egzemplarzy fałszywych świadectw dojrzałości. To nie była pierwsza sprawa tego rodzaju, więc zebrano akta z całej Polski i szukano powiązań z podobnymi aferami. Pan Figler był przed paru laty zamieszany w sprawę fałszowanych świadectw, ale ponieważ niczego mu nie udowodniono, nie został zatrzymany. Teraz otrzymał „opiekuna”, który oczywiście bez jego zgody i wiedzy

towarzyszył mu we wszystkich poczynaniach. Z początkiem czerwca pan Ef-Ef udał się na Targi Poznańskie, gdzie spędził sporo czasu w towarzystwie pewnego dżentelmena, który przybył do Poznania jako przedstawiciel jednej z firm zachodnich. Nasz wywiadowca stwierdził, że obaj panowie ubili jakiś interes, ponieważ pan Figler zainkasował zaliczkę w postaci kilkunastu zielonych papierków, które w naszym kraju nie są walutą obiegową.

— Dostał dolary! — domyślił się Artur.

— Tak. Ponieważ opinia organów MO o waszym przyjacielu nie należała do najlepszych, postanowiono śledzić go, mimo iż okazało się, że tym razem nie miał nic wspólnego z „lewymi” świadectwami. Pan Figler natychmiast po powrocie do Warszawy, rozwinął ożywioną działalność. Wszedł w kontakt ze zwolnionym przed rokiem z więzienia obywatelem, który w pewnych kołach cieszył się opinią „złotej rączki”. Chodziło mu oczywiście o kogoś, kto bez ryzyka z jego strony dostarczy mu planów podziemi w Czarnym Stoku.

— Zaraz, zaraz — przerwała kapitanowi pani Cie-końska. — Skąd ten człowiek wiedział, że to właśnie my posiadamy plany zamku?

— Droga pani Anno — uśmiechnął się kapitan — ludzie czytają prasę, nawet tę bardzo specjalistyczną, dotyczącą archeologii, historii sztuki...

— No tak — uderzyła się w czoło mama A.B.C. — posłałam notatkę o zamku w Czarnym Stoku do angielskiego „Przeglądu Archeologicznego”. W notatce była mowa o zrekonstruowaniu planów podziemnych przejść i korytarzy. Bo, wie pan, to niesłychanie ciekawe budownictwo dowodzi wpływów...

— Aniu, dajże panu kapitanowi skończyć — wtrącił ojciec.

— Właśnie stamtąd pochodziły informacje pana Fig-

222

lera, przekazane mu przez owego handlowca. Pan Ef-Ef...

— Jaki on tam pan Ef-Ef! — oburzył się Artur. — Niech go pan tak nie nazywa!

— Teraz okazał się raczej panem Fe-Fe — roześmiała się Agnieszka.

— Macie rację. A więc pan Figler miał przed sobą dość skomplikowane zadanie. Po pierwsze — zdobyć plany przechowywane w mieszkaniu państwa Ciekońskich, po drugie — odczytać szyfr dostarczony przez handlowca, po trzecie — odnaleźć skrytkę. Dwa pierwsze punkty programu wykonał, w trzecim uprzedziła go Alinka.

— A kiedy pan włączył się do akcji? — spytał Artur.

— Milicja warszawska przekazała nam sprawę, kiedy okazało się, że aferzyści będą działać w naszym województwie. Mieliśmy na oku obu panów — ale pozwoliliśmy działać panu Figlerowi, ponieważ nie wiedzieliśmy, ani czego będzie poszukiwał, ani gdzie.

— To tak, jak my — szepnęła Agnieszka.

— O, przepraszam — kapitan miał bardzo czuły słuch — wy przecież wiedzieliście, że chodzi o skarb rycerza Arnolda von Schwarzenberga, którego strzeże duch jego żony Berty, ukazujący się o północy w dzień świętego Hieronima...

— Niech pan nam nie dokucza! — fuknęła Agnieszka. — To przecież zupełnie naturalne, że powiązaliśmy ze sobą te dwie sprawy. Pana uznaliśmy za „poszukiwacza skarbów”, więc znaleziona w pańskim pokoju legenda o skarbach mogła być wskazówką.

— A swoją drogą dlaczego przetłumaczył pan i spisał to podanie? — zaciekała się pani Ciekońska.

— To mój konik —? wyznał skromnie kapitan — zbieram legendy i podania dotyczące Dolnego Śląska,

a poza tym lubię wiedzieć wszystko o miejscu, w którym pracuję. Ale wracając do sprawy pana Figlera — kiedy okazało się, że obaj panowie są już w Czarnym Stoku, postanowiłem działać, oczywiście dyskretnie, tak aby nie spłoszyć ptaszków. Miałem tę przewagę, że wiedziałem, kim są, oni natomiast nie wiedzieli, kim ja jestem. Ponieważ wiedzieliśmy o pani poszukiwaniach, postanowiono, że odegram rolę czcigodnego doktora delegowanego przez Muzeum Narodowe. Otrzymałem pismo z Muzeum, zakupiłem skrócony podręcznik historii sztuki, ponieważ moje wiadomości z tej dziedziny nie były zbyt obszerne, dokonałem pewnej charakteryzacji własnej osoby...

— Tak jest, osoby — wtrącił cicho Artur.

— Masz rację, chłopcze. Chciałem uchodzić za roztargnionego naukowca, co to ma różne nawyki, przyzwyczajenia...

— Czy ja mam jakieś nawyki? — oburzyła się mama A.B.C.

— Nie masz nawyków, kochanie, ale jesteś roztargniona — wtrącił z uśmiechem tata.

— A więc zjawiłem się w Czarnym Stoku, prawie równocześnie z panem Figlerem, to znaczy równocześnie z oficjalnym zjawieniem się, ponieważ pan Figler był tu znacznie wcześniej.

— Mieszkali obaj w podziemiach! — krzyknął Artur.

— I to ich rozmowę słyszała Alinka! — dorzuciła Agnieszka.

— Wspólnik pana Figlera najpierw ukrył w lesie płaszcz nadszarpnięty przez Alego, a potem zgubił pasek w pobliżu mojej kryjówki — domyślił się Adam.

— A potem pan Figler zawarł znajomość z rodziną A.B.C. i oczarował wszystkich.

—? Przepraszam, ja wcale nie byłem oczarowany — zaprotestował tata.

— Tylko dlatego, że od razu na początku zdradziłem panu, kim jest ten człowiek i po co tu przyjechał! — odciął się kapitan.

?— Ja też ostrzegałem Artura przed redaktorem —? powiedział nieśmiało Adam — ale potem dałem się przekonać.

— Myśmy myśleli, że właśnie on pracuje w milicji — oświadczyła Ala.

— To był zręczny manewr z jego strony — skinął głową kapitan — jednym pociągnięciem odsunął podejrzenia od swojej osoby i zyskał w was pomocników.

— W nas?! Co pan mówi? Przecież myśmy wcale mu nie pomagali!

— Tak się wam zdaje. Utwierdzając was w przekonaniu, że jestem przestępcą i że należy mnie pilnować, zapewnił sobie swobodę ruchów, bo wszyscy czworo deptaliście mi po piętach. Ach, jakież byłem na was wściekły!

— Nie pomyśleliśmy o tym — zmartwił się Artur — no tak, my wypatrywaliśmy oczy za panem, a on tymczasem swobodnie poruszał się po zamku. Nawet gdybyśmy go spotkali w lochach, wyglądałoby to, że śledzi rzekomego doktora.

— I to on na pewno napadł na mnie wtedy podczas burzy! — krzyknął Adam. — I on związał pana i zostawił tę głupią kartkę...

— I ukradł notatki z pokoju!

— A więc chyba zaczął domyślać się prawdziwej roli kapitana?

— Niekoniecznie, może sądził, że w papierach naukowca znajdzie jakieś wskazówki dotyczące zamku.

— Ojej, a my byliśmy pewni, że...

— że jesteście bardzo mądry i przenikliwi — zaśmiał się kapitan — a tymczasem o mały włos nie narobiliście porządnego bigosu.

15 — NiezwyMe wakacje A.B.C

— Dlatego zabroniłem wam pętania się po zamku — wtrącił ojciec — nie mogłem wam powiedzieć prawdy, bo pan kapitan mi zabronił.

— Im mniej osób zna prawdę, tym lepiej — powiedział sentencjonalnie kapitan. — Bałem się, że nie potrafią utrzymać tajemnicy albo że na własną rękę będą usiłovali unieszkodliwić przestępców. A to ludzie bez skrpułów...

— Tak — wtrącił Adam — przekonałem się o tym na własnej skórze! Kiedy nakryłem ich w podziemiach, zagrozili, że natychmiast odeślą mnie do wuja, jeśli nie będę im posłuszny. Musiałem napisać Ust... pan Figler mi dyktował... chciał, żebyście uwierzyli, że uciekłem i zabrałem pieniądze...

— Więc to on zabrał moją portmonetkę! — mama A.B.C. poczerwieniała z oburzenia.

— A cóż to za podły człowiek! Rzucac podejrzanie na dziecko...

—? Tak, proszę pani — potwierdził Adam — wiedział o mnie wszystko i wykorzystał to. Ponieważ go zdemaskowałem, nie mógł mnie wypuścić. Chciał podrzucić list w obozie, ale Wtedy przybiegł Ali...

—? On mi uciekł, kiedy otworzyłam skrytkę — pisnęła Alinka.

— Ali musiał słyszeć głosy i zwęszył ślad Adama. Kochany Ali! — Agnieszka namiętnie uściśnęła psa.

— No, więc Ali przybiegł i rzucił się na tego drugiego, ale pan Figler kazał mi uspokoić psa i włożyć mu list za obrozę, a potem odprowadzić do wyjścia i polecić, by wracał do domu.

— I Ali cię posłuchał? — spytał Artur.

— Z początku ociągał się, ale kazali mi go siłą wyprowadzić.

— Nie mogłeś wtedy uciec? — zainteresowała się Agnieszka.

— Nie. Oni cały czas szli za mną. A potem pan

226

Figler wyszedł, a ten drugi został i pilnował mnie. Mówił, że zabiorą mnie z sobą i zrobią coś takiego, że nigdy ich nie zdradzę. Trochę się bałem...

— Trochę? Ja bym umarła ze strachu! — wyznała Agnieszka.

— A potem dowiedziałem się, że wyjechaliście, i myślałem, że już wszystko stracone, tym bardziej że wiedziałem o tym, że pan Figler odczytał szyfr i już wie, gdzie szukać skrytki.

15*

227

—? A my tymczasem wróciliśmy i zdążyliśmy w samą porę — podskoczyła Alinka. Artur zmarszczył czoło.

— Teraz rozumiem, dlaczego pan Figler powiedział nam, że słyszał pana kapitana umawiającego się z kimś na wtorek wieczór. Był pewien, że w dalszym ciągu pójdziemy fałszywym śladem, a on w poniedziałek otworzy skrytkę i ulotni się ze zbiorami.

— Mówiłem, że miał w was dzielnych, choć bezwiednych pomocników — uśmiechnął się złośliwie kapitan Osiński — całe szczęście, że oprócz was działali na terenie zamku jeszcze inni zwiadowcy...

Tata A.B.C. wstał z krzesła i powiedział groźnie:

— Ustawić się według wzrostu!

— Tata będzie przemawiał — szepnął Artur. Ojciec przyjrzał się po kolei Agnieszce, Arturowi,

Adamowi, Alince i Alemu, który skromnie przysiadł na ogonie na końcu szeregu.

— Moi drodzy — zaczął tata — myślę, że z tej przygody powinniście wyciągnąć dwa wnioski: po pierwsze, nigdy więcej nie wyręczajcie milicji, bo pomimo że kapitan

był tak łaskaw i nazwał was inteligentnymi dziećmi, jesteście w gruncie rzeczy głuptasami i tylko przypadek zrządził, że nie narobiliście mi większych kłopotów, a po drugie — koniec z tajemnicami! Gdybyście od razu powiedzieli mi o wszystkim...

—? To byłbyś nas od razu wysłał do babci! — powiedziała żałośnie Alinka.

— To prawda —? zaśmiał się tata? — na pewno bym to zrobił!

?—? Ale teraz już możemy zostać? — spytał niepewnie Artur.

— Andrzej! — Mama zerwała się przewracając leżak. — Trzeba natychmiast wysłać depeszę do Józków! Przecież oni tam umierają z niepokoju!

228

— Prawda!

Kapitan Osiński wyjął notes i pióro.

— Proszę mi podać adres, wyślę depeszę do rodziny i do muzeum. Szkoda pańskiego czasu, przecież niedługo przyjedzie prawdziwy specjalista...

— Będę panu bardzo wdzięczny.

Kapitan schował notes i podniósł się z krzesła.

— Na mnie już czas — powiedział.

— Jeszcze chwileczkę, panie kapitanie — szepnął błagalnie Artur — proszę nam powiedzieć, czy pan Figler pójdzie do więzienia?

— Chyba tak — skinął głową kapitan Osiński — ale za przestępstwo dewizowe i zamiar wywiezienia z Polski cennej kolekcji. Gdyby nie wszedł w kontakt z cudzoziemcem i nie otrzymał od niego zapłaty za swoje „usługi”, mógłby spokojnie szukać „skarbów”.

— Na pewno, a gdyby oddał kolekcję do muzeum, to dostałby nagrodę — zamyśliła się Agnieszka.

— A myśmy uważali, że jeśli ktoś szuka skarbów, już jest przestępcą — powiedział Artur.

Kapitan Osiński podszedł do taty A.B.C. i kładąc mu rękę na ramieniu powiedział z udaną surowością:

— Zdaje mi się, że będę musiał aresztować państwa...

—? Za co?! — Agnieszka aż podskoczyła.

— No bo przecież według waszej teorii rodzice są przestępcami — ciągnął dalej kapitan — znaleźli skarb w postaci cennych fresków i trzymają to w tajemnicy... Wszyscy się roześmieli.

Kapitan schował pieczołowicie pudło z kolekcją do teczki i pożegnał serdecznie cały klan A.B.C. Żegnając się z tatą powiedział:

— Obawiam się, że jeszcze będę musiał oderwać pana od pracy. Trzeba będzie przyjechać na przesu-

229

chanie w komendzie. Jest pan przecież ważnym świadkiem.

— Trudno, przyjadę.

?— A wy — zwrócił się do dzieci — nigdy więcej nie rozbrajajcie milicjantów.

Zapewniam was, że mam zupełnie wyjątkowe poczucie humoru i obawiam się, że niepowtarzalne.

— Obiecujemy, panie kapitanie! — wrzasnęli chórem A.B.C., a Ali Baba szczeknął gromko.

— No to do widzenia!

— Do widzenia, do widzenia panu! I dziękujemy za wszystko!

Po odejściu kapitana mama A.B.C. z westchnieniem ulgi opadła na leżak.

— Nareszcie będzie można spokojnie popracować!

— Myślisz? —ojciec sceptycznie uniósł brwi w górę. — Zapomniałaś, że jesteś szczęśliwą matką tej trójki... a w dodatku — spojrzał ciepło na Adama — w dodatku, kto wie, czy nie przybędzie ci czwarta pociecha. Mam nadzieję, że wujek Adasia zgodzi się posłać go do liceum, bo chyba kiepski byłby z niego rolnik. Do każdego zawodu trzeba mieć zamiłowanie...

Chwilę trwała pełna zdumienia cisza, a potem podniósł się taki wrzask, że prawdopodobnie wszystkie duchy zamieszkujące zamek w Czarnym Stoku uciekły, gdzie pieprz rośnie.

W każdym razie Ali Baba podwinął ogon pod siebie i z cichym skomleniem zniknął w namiocie. Lecz Ali Baba, choć uczony, był przecież tylko psem...

Spis rozdziałów

Rozdział I	?— Kto to jest — A.B.C?.....	5
Rozdział II	— Dokąd A.B.C. pojedą na wakacje? . . .	13
Rozdział III	— Czyżby początek przygody? ...	22
Rozdział IV	— Pierwszy dzień wakacji niezbyt udany	35
Rozdział V	— Ali Baba myli się.....	43
Rozdział VI	— Nowy A.B.C.....	54
Rozdział VII	— Za dużo tych przypadków	67
Rozdział VIII	— Alinka na tropie.....	76
Rozdział IX	— Niespodziewani goście.....	90
Rozdział X	— O rany, co się tu dzieje?!	101
Rozdział XI	— Wszystko się wydało!.....	113
Rozdział XII	— Tajemnica Czarnego Stoku ...	123
Rozdział XIII	— Duchy nie znają się na kalendarzu .	132
Rozdział XIV	— Zielona noc.....	145
Rozdział XV	— No to doigraliśmy się! . . . , . . .	155
Rozdział XVI	— Nasza mama jest genialna! ...	162
Rozdział XVII	— Gdzie jest Adam?.....	172
Rozdział XVIII	— To niemożliwe!.....	185
Rozdział XIX	— Z powrotem w Czarnym Stoku . . .	194
Rozdział XX	— Za późno!.....	201
Rozdział XXI	— Wielki dzień Alinki.....	211
Rozdział XXII	— Cała prawda	218